tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 32 (1231)
7-13.08.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

Mariusz Urbanek
Sukces i upadek „Przekroju"

Dr Agnieszka Mrozik
Komunistki feministki, nie paprotki

Single
płacą podwójnie

Jacek Pałkiewicz
na pustynnym szlaku

Prof. Jan Zielonka

Traktaty są głównie na papierze

UNIĘ ROZWALAJĄ NACJONALIZMY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509-3115
32
9 771509 311300

eprasa.pl 9d19eaca00

TEATR CAPITOL

PRZEBOJOWE KOMEDIE BRAWUROWE FARSY GWIAZDORSKIE OBSADY PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

CAPITALNE LATO!

GRAMY CAŁE WAKACJE

KUP BILET TEATR CAPITOL 2023 www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Jerzy Domański

Zapomniany generał Anders

Powstanie warszawskie jest ciągle niezagojoną raną. Do mojego komentarza w poprzednim numerze nawiązali na Facebooku czytelnicy. Krzysztof Orwat napisał: „Moja Mamusia była w Powstaniu, pewnie podpisałaby się pod tym, bo takie miała zawsze poglądy na temat Powstania. Jako jej syn dziękuję w jej imieniu!!!". Michał Łuksa: „Dlaczego nikt nie poniósł odpowiedzialności? To jest takie typowo polskie nieudane powstanie, setki tysięcy ofiar, zniszczona infrastruktura, a świętowanie na maksa. Czemu ma służyć obecna propaganda? Co to za naród, który szczyci się klęskami?". Dariusz Gutowski: „Wielu ludzi uważa wywołanie powstania za zbrodnię, ale nie mają siły przebicia w mediach. Czym innym jest uczczenie ofiar, a czym innym pochwała decyzji o wznieceniu powstania i mówienie, że dzięki powstaniu Polska jest dziś wolna. To nie tylko wina obecnego rządu. Jak wygląda polityka historyczna ostatnich kilkunastu lat w tej sprawie, pokazuje przykład ostatniego cichociemnego, Aleksandra Tarnawskiego, który zmarł 4 marca 2022 r. w wieku 101 lat, mając zaledwie stopień majora otrzymany dopiero pod koniec 2018 r. dzięki staraniom oficerów GROM. Dlaczego nie był hołubiony? Ano dlatego, że był ateistą, niezwiązanym z żadną partią polityczną i nie krył swoich poglądów odnośnie do powstania warszawskiego, mówiąc wprost, że decyzja o jego wybuchu w ówczesnych warunkach była zbrodnią".

Nie mieści się w głowie, że ta obłąkańcza decyzja polityków w mundurach może być dziś honorowana i nagradzana pomnikami, nazwami ulic i placów. Zamiast dnia narodowej żałoby znowu mieliśmy występy polityków i grupki działaczy żyjących z kultu powstania.

Słuchaliśmy bajdurzenia o genie wolności, który pchał młodzież i dzieci na barykady. Oszukani przez dowódców ginęli później tysiącami. Anonimowe groby to najczęstszy widok po miesiącu powstania. Przykro czytać wypowiedzi ludzi, którzy wspominają swój udział w powstaniu, a mieli wówczas 7, 8, 11 i 13 lat.

Gdy patrzymy na dzisiejszych decydentów, możemy jak w lustrze zobaczyć tych, którzy podejmowali decyzję o wywołaniu powstania. Biedny jest naród, o którego losie decydują ludzie tak niekompetentni i przypadkowi. Cynicy i karierowicze.

Prawica często powołuje się na gen. Andersa, ale zapomniała, co mówił o powstaniu. Anders chciał za jego wywołanie postawić przed sądem Bora-Komorowskiego, Okulickiego i Chruściela. Uważał, że był to kardynalny błąd, a z moralnego punktu widzenia zbrodnia. Kiedy do tej i wielu podobnych ocen odniosą się Jan Józef Kasprzyk czy Jan Ołdakowski? Nigdy. Zostanie po nich fetowanie przegranego powstania. Gloryfikowanie jego sprawców. I odwracanie wzroku od grobów. W prawdzie stanie dopiero następne pokolenie.

Dzięki wsparciu finansowemu Czytelników szykujemy kolejne numery tygodnika. Dziękuję za ogromną życzliwość, wiele dobrych słów i przelewy. Zgodnie z obietnicą rozmawiam z tymi darczyńcami, którzy podają numery telefonów. Trochę to potrwa, bo lista jest długa. Proszę o dalsze wpłaty na:

Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU"

BĄKOWSKI

eprasa.pl 9d19eaca0d

W NUMERZE

KRAJ

8 **Żyjemy w erze największego nacjonalizmu od czasów II wojny światowej**
– rozmowa z prof. Janem Zielonką

12 **Singiel płaci dwa razy**
Biznes na samotnych

18 **Nie oddam i co mi zrobisz?**
Zaczęło się od pożyczki

20 **To nie były paprotki**
– rozmowa z dr Agnieszką Mrozik

52 **Polska zarasta barszczem Sosnowskiego**
Byle się nie rozsiało

HISTORIA

24 **Na Pradze zwyciężył rozum**
Powstanie widziane nie tylko z wieży spadochronowej

OPINIE

28 **Jakub Dymek**
Zwrot egoistyczny

30 **Andrew J. Bacevich**
Wielka odnowa amerykańskiego imperium

ZAGRANICA

32 **Wszystkie odcienie kryzysu**
Korespondencja z Libanu

36 **Za dużo gości**
Europa zaczyna pękać w szwach

KULTURA

40 **Misjonarz**
– rozmowa z Mariuszem Urbankiem

44 **Moda na Sokołowsko**
Szanse na rozwój kulturalny

48 **Qulturalia**

66 **Katarzyna Moczulska. Inside-Outside**

SYLWETKI

50 **Mazurski Kloss**
Emil Leyk – bojownik o polskość

OBSERWACJE

56 **Połączeni górskim szlakiem**
Mimo niepełnosprawności

59 **Zjawiskowe diuny**
Podróże Jacka Pałkiewicza

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Zapomniany generał Anders

17 **Jan Widacki**
Wymiana elit

27 **Roman Kurkiewicz**
Widmo etatu krąży nad Europą

39 **Andrzej Szahaj**
Wolny rynek i zamordyzm

47 **Tomasz Jastrun**
Ostra Brama

49 **Wojciech Kuczok**
Turyści i bandyci czasu

55 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Barbie u czarodzieja

20
KRAJ

TO NIE BYŁY PAPROTKI
– rozmowa z dr Agnieszką Mrozik

36
ZAGRANICA

ZA DUŻO GOŚCI
Europa zaczyna pękać w szwach

56
OBSERWACJE

POŁĄCZENI GÓRSKIM SZLAKIEM
Mimo niepełnosprawności

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 9d19eaca0d

My, naród migrantów

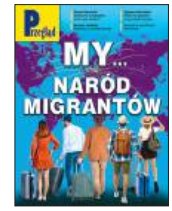

To prawda, jesteśmy narodem migrantów, i w ujęciu historycznym, i współcześnie. Nie ma w Polsce rodziny, która nie miałaby kogoś za granicą. Była to i jest głównie emigracja ekonomiczna i „Pan Balcer w Brazylii" to nie ramotka. Międzywojenne bezrobocie w mieście i na wsi było olbrzymie i gdyby nie emigracja zarobkowa mojego dziadka do Belgii i Francji, jego syn nie ukończyłby przedwojennego gimnazjum. Miałam okazję zwiedzić nowojorskie Muzeum Emigracji na Ellis Island i wrażenie jest przytłaczające, jak wielka masa ludzi z Europy Wschodniej szukała tam chleba i przed wielkim kryzysem, i po nim. A kryzysy i bieda się powtarzają i emigracji nie da się powstrzymać. Do tego dochodzą wojny i kataklizmy naturalne, a Europa się starzeje. Dlatego polityka antymigracyjna i takaż retoryka są błędne i ksenofobiczne.

Ewa Wesołowska

•

Sam jako tłumacz niemieckiego często myślałem o tym, by wyjechać z kraju. Obecne straszenie nas obcymi przybyszami odbieram jako akt desperacji, by znów obudzić demony drzemiące w Polakach. Tylko że takie manewry nie dają nic w zamian. Kto myśli, że takie stanowisko rządu wobec migrantów da nam bezpieczeństwo, ten chyba przespał osiem lat. PiS za żadne skarby nie chce oddać władzy, ponieważ boi się rozliczeń za swoje reformy każdej sfery życia. A już kompletnie niezrozumiałe jest to, że wywołujemy lęki pewną grupą osób, ale przyjmujemy ogrom Ukraińców. To nie jest broń Boże nic złego, ale bądźmy poważni. Mam nadzieję, że niedługo do grona migrantów dołączą nasi obecni rządzący.

Kamil Wójcik

•

Jak wynika z artykułu „My, naród migrantów" , kilka milionów polskich obywateli zmieniło kraj zamieszkania. A jednocześnie Polacy – czy tu, w kraju, czy na emigracji – są wrogami imigracji z innych, „biedniejszych" krajów, głównie z tzw. Bliskiego Wschodu. Wkurza mnie to zakazywanie innym migracji ekonomicznej, gdy samemu się to zrobiło. To takie uważanie się za lepszych i zakładanie, że inni przyjeżdżają do Polski po socjal (jakby w Polsce oferowano komuś jakiś socjal...).

A ja chętnie bym zamienił swoich współpracowników Polaków na imigrantów! Dlaczego? Podejście Polaka do obowiązków jest mocno lekceważące, no, chyba że przełożony coś mu osobiście nakaże. W innym wypadku jeden spycha na drugiego i każdy ma to gdzieś.

Piotr Robecki

Wpuszczeni w maliny

Rolnicy byli w większości wyborcami obecnej władzy. Już dawno powinni się połączyć w grupy produkcyjne, ale by to zrobić, trzeba umieć się dogadać.

Barbara Uhl

•

Od kilkunastu lat co sezon słychać to samo, że w skupach kiepsko płacą, że się nie opłaca, że tanie warzywa i owoce z zagranicy zalewają rynek. Dogadać się ze swoimi najtrudniej, więc to inni dyktują warunki.

Artur Pie

ZDJĘCIE TYGODNIA

– Róbmy wszystko, aby także Polska poczuła przez te trzy dni festiwalu, że takim może być krajem: pełnym miłości, pełnym przyjaźni, pełnym szacunku – mówił podczas inauguracji 29. edycji Pol'and'Rock Festival Jurek Owsiak.

FOT. STANISŁAW WADAS/POL'N'ROCK FESTIVAL

eprasa.pl 9d19eaca0d

10,8% wyniosła inflacja w lipcu.

•

Polska złożyła do Komisji Europejskiej **skargę na Niemcy** za 35 tys. ton nielegalnie przywiezionych i porzuconych odpadów.

•

Narasta konflikt z Ukrainą w sprawie zamknięcia granicy dla produkcji rolnej tego kraju. Podobnie postąpiły też Słowacja, Rumunia, Bułgaria i Węgry. Według prezydenta Zełenskiego jest to „absolutnie niedopuszczalne i otwarcie nieeuropejskie". Taka jest odpowiedź na nadzwyczajną, przekraczającą nasze możliwości pomoc Ukrainie.

•

Rafał Trzaskowski jest liderem w rankingu zaufania Polaków do polityków. Ufa mu 42,7%, a nie ufa 42,5%. Wyprzedza Andrzeja Dudę (ufa 41,5%, nie ufa 49,1%), Mateusza Morawieckiego (36,1%, 57,7%) i Donalda Tuska (35,9%, 50,6%) – badanie IBRiS dla Onetu.

•

Marian Turski, szef działu historycznego „Polityki", został uhonorowany **medalem „Za mądrość obywatelską"** przyznawanym od 17 lat przez miesięcznik społeczno-kulturalny **„Kraków i Świat"** (wcześniej „Kraków") ludziom, którzy są autorytetami i kształtują wzorce postępowania dla przyszłych pokoleń.

•

W naszej gospodarce pracowało w I kwartale br. **prawie 17 mln osób**, co jest wynikiem rekordowym, podobnie jak najwyższy w historii wskaźnik aktywności zawodowej: 58,4%.

•

O 700% wzrósł budżet KPRM za czasów Mateusza Morawieckiego w porównaniu z rządem PO-PSL – do 843 mln zł w 2022 r. A w tym roku może być nawet 1,5 mld zł.

•

W 2022 r. za „organizowanie lub pomoc w organizowaniu nielegalnego przekraczania granicy" **aresztowano 401 osób.** W tym 174 Ukraińców, 47 Polaków i 37 Gruzinów. W tym roku zatrzymano już 171 Ukraińców, 37 Gruzinów i 33 Białorusinów.

•

Waldemar Fornalik zaliczył jako trener Ekstraklasy już 500 spotkań. Był trenerem Górnika Zabrze (78 meczów), Odry Wodzisław (35), Ruchu Chorzów (188), Piasta Gliwice (180) i Zagłębia Lubin (19). Rekordzistą jest trener Orest Lenczyk, który ma w dorobku 587 meczów.

•

Długi za jazdę bez biletu komunikacji miejskiej sięgają 500 mln zł. Rośnie liczba ludzi w wieku 25 lat, którzy nie płacą za bilety. W 2022 r. było ich 48,3 tys., z długiem na 41,7 mln zł.

•

W 37 z 954 miast, które są w Polsce, mieszka ponad 100 tys. osób.

•

W Polsce żyje **ok. 8 mln kotów,** z czego ok. 700-800 tys. to koty rasowe. Najpopularniejsze są koty brytyjskie i maine coony, a także koty perskie, syjamskie i rosyjskie niebieskie.

•

Prawie **287 tys. pozwoleń na broń** wydano w Polsce do końca 2022 r. Zarejestrowanych jest ponad 760 tys. sztuk broni.

•

W 450 gminach nie ma ani jednego psychologa szkolnego. Najgorzej jest na Podkarpaciu, gdzie w ponad połowie szkół są wakaty.

PRZEBŁYSKI

Kapelan dekoracyjny

Na pytanie, jakie wpływy polityczne ma ks. Zbigniew Kras, większość zareaguje też pytaniem: a kto to jest? Ano właśnie. Ks. Kras od 2015 r. jest kapelanem prezydenta Dudy. Ma 63 lata, a przed przeprowadzką do stolicy 16 lat był proboszczem parafii św. Andrzeja Apostoła w Lipnicy Murowanej. Pochodzi z niej św. Szymon, XVI-wieczny bernardyn, kanonizowany w 2007 r. W Lipnicy na rynku stoi kolumna św. Szymona. I to do niej pielgrzymował ks. Kras. Pieszo wędrował, w lipcu, przez 11 dni. Miał wiele czasu, by pomyśleć o prezydencie Dudzie, który jakoś godzi dewocyjną pobożność z obłudą i kłamstwami polityka. Trudno u Dudy dostrzec efekty pracy kapelana prezydenta.

OHP płaci za Zwiercan

Można być skandalistką. Można być osobą prawomocnie skazaną za sfałszowanie sejmowego głosowania. I można w nagrodę dostać posadę komendanta głównego Ochotniczych Hufców Pracy. Opiekunką tej młodzieży jest, jakkolwiek w tym przypadku by to zgrzytało, Małgorzata Zwiercan. Tak. Ta sama, która głosowała na dwie ręce. Tą drugą za nieobecnego wtedy Kornela Morawieckiego, ojca premiera. No i czy osoba tak zasłużona dla rodziny Morawieckich, bo wcześniej ukrywała Kornela w latach 80., mogła trafić na bezrobocie?

Minister Maląg zadbała o posadę dla Zwiercan. W OHP. A co zrobiła Zwiercan, jak się dorwała do kasy OHP? Kazała dofinansować swoją inwestycję, czyli Forum Wizja Rozwoju w Gdyni. OHP nie mają kasy nawet na jedzenie dla junaków. Ale musiały bulić na promocję Zwiercan i premiera.

Naiwni i nieporadni

Mający zazwyczaj trafne prognozy geostrategiczne Lech Mażewski jest pesymistą w sprawie przyszłych, powojennych relacji Polski z Ukrainą. Na łamach „Do Rzeczy" przewiduje, że głównym partnerem Kijowa będzie wówczas Berlin. Dlaczego? Bo Polska już nic więcej Ukrainie dać nie może. A Niemcy mają silne karty. Co pokazali, rozbudowując relacje niemiecko-ukraińskie długo przed wojną. Takie są zasady Realpolitik. Dobrze rozumieją to liderzy ukraińscy. A nasi? Według Mażewskiego „nie są w stanie tego pojąć nasi prostolinijni i wręcz naiwni przywódcy, u których polityczna nieporadność idzie na wyścigi z rusofobią".

Jasina wyjedzie do Londynu. Albo nie?

Szukali roboty byłemu rzecznikowi MSZ i chyba znaleźli. Łukasz Jasina ma zostać szefem Instytutu Polskiego w Londynie. Pewności nie ma, bo w PiS jest silne lobby anty-LGBT. Ale również silny jest obóz sceptycznie oceniający przekazywanie Ukrainie tego, czego sami mamy mało. A Jasina ma tu pewne zasługi. Bo go zawiesili za parę słów prawdy o naszych relacjach ze wschodnim sąsiadem. Oczekiwanie od prezydenta Zełenskiego przeprosin nie mieści się w głowie prezydentowi Dudzie. Jeszcze nie. Ale Ukraińcy kolejnymi żądaniami mocno pracują na otrzeźwienie polskich polityków.

FOT. YOUTUBE (2), INSTYTUT SPRAW OBYWATELSKICH

eprasa.pl 9d19eaca0d

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czego internet nie zastąpi?

PROF. ALEKSANDRA PRZEGALIŃSKA,
futurolożka, Akademia Leona Koźmińskiego

Po pierwsze, niezastąpiony jest bezpośredni kontakt międzyludzki. Ciało, obecność fizyczna, dotyk i wzajemna interakcja nie mogą być zastąpione przez wirtualne komunikatory. Internet może dawać nam narzędzia do porozumiewania się na odległość, ale nie jest w stanie zastąpić pełnego spektrum emocji, które wyrażamy za pomocą mimiki, gestów i tonu głosu. Po drugie, ani internet, ani Metaversum, ani sztuczna inteligencja nie zastąpią nam przeżycia pełni zmysłów w świecie rzeczywistym. Internet nie zdoła oddać nam pełnego doznania, jakie możemy mieć podczas odkrywania nowych miejsc, smakowania kulinarnych specjałów, słuchania koncertów na żywo czy obcowania z naturą. Wreszcie internet nie zastąpi nam głębokiej refleksji i samorozwoju. Wirtualne źródła mogą nam dostarczać wiedzy i umożliwiać rozwijanie pewnych umiejętności, ale prawdziwa transformacja osobista wymaga czasu, skupienia i introspekcji.

DR JAKUB KUŚ,
psycholog, Uniwersytet SWPS

Internet nigdy nie zastąpi zdolności krytycznego i refleksyjnego myślenia. Nawet najlepszy algorytm sztucznej inteligencji nie jest w stanie oddać złożoności ludzkiego umysłu, jego piękna i umiejętności tworzenia nowych idei. Warto na to zwrócić szczególną uwagę w okresie wielkiej popularności takich narzędzi jak choćby słynny czat GPT. Naukowcy do dziś próbują zrozumieć choćby fenomen świadomości. Internet nigdy nawet nie zbliży się do tak wyrafinowanego funkcjonowania jak świadomy umysł. Człowiek jest istotą zdolną zarówno do wielkiego dobra, jak i do wielkiego zła. Trudno powiedzieć, żeby internet był w stanie przetwarzać informacje w zakresie moralnym, tak więc cała sfera etyczna pozostaje w domenie człowieka. Możemy nauczyć algorytm tego, co ma oceniać jako „dobre", a co jako „złe", ale to od nas wyjdą te definicje.

DR MIRA MARCINÓW,
filozofka, psycholożka, IFiS PAN

Internet nie zastąpi odpowiedzialnych relacji międzyludzkich. Wiele badań wskazuje, że w życiu online ludzie częściej oszukują, a jednocześnie piętnują innych niż w rzeczywistości offline. Sam sposób, w jaki komunikujemy się w internecie, sprzyja agresji. Gdy kontaktujemy się ze sobą drogą mejlową, nie bierzemy takiej odpowiedzialności za własne wypowiedzi jak wtedy, gdy mamy bezpośredni kontakt. Akceptowalne dla nas stają się te nasze zachowania wobec innych, które poza internetem wzbudzałyby poczucie winy. Jeśli więc odpowiedzialność rozumiemy zgodnie ze źródłosłowem jako zdolność do odpowiedzi na wezwanie drugiego człowieka, to można powiedzieć szerzej, że internet nie zastąpi nam po prostu samych relacji.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 9d19eaca0d

ŻYJEMY W ERZE NAJWIĘKSZEGO NACJONALIZMU OD CZASÓW II WOJNY ŚWIATOWEJ

Traktaty unijne, które pomagają państwom negocjować swoje interesy, są głównie na papierze

Rozmawia Robert Walenciak

Polska jest w Unii Europejskiej czy obok?

– Formalnie jest.

A faktycznie?

– Można powiedzieć, że jest członkiem obstrukcyjnym. Nie wiem, czy jest lepsze słowo.

Skąd ta obstrukcja się bierze? Jak widzi to Zachód?

– To zależy, kto na Polskę spogląda. Jak pan patrzy oczami polityków liberalno-prawicowych czy liberalno-lewicowych, to Polska jest bardzo trudnym partnerem. Ale jeżeli pan patrzy z pozycji antyliberalnych, takiej koalicji, jaka jest teraz we Włoszech… Pani Meloni na początku swoich rządów otwarcie powiedziała, że PiS jest dla niej wzorem.

Mamy więc spór o kształt Unii Europejskiej?

– Dokładnie tak. Suwereniści chcą przekształcić Europę w sojusz międzypaństwowy, stworzyć wspólnotę suwerennych państw narodowych, które same decydują, co będą robić, a czego nie. Wetując. To jest, moim zdaniem, koniec Europy, która istniała jeszcze nie tak dawno temu, ale nie jest to kompletną niespodzianką. Otóż integracja europejska opiera się na założeniu, że najważniejszym organem decyzyjnym jest Rada Europejska, w której skład wchodzą demokratyczni przedstawiciele państw narodowych. To jest stół decyzyjny, przy którym siedzą suwereniści, niektórzy miękcy, a inni twardzi. Nawet Macron, przy całej swojej retoryce europejskiej, widzi się przede wszystkim jako prezydent Francji, realizujący interesy swoich wyborców. Doszliśmy do sytuacji, w której każdy sobie rzepkę skrobie i nie można podjąć wspólnych działań.

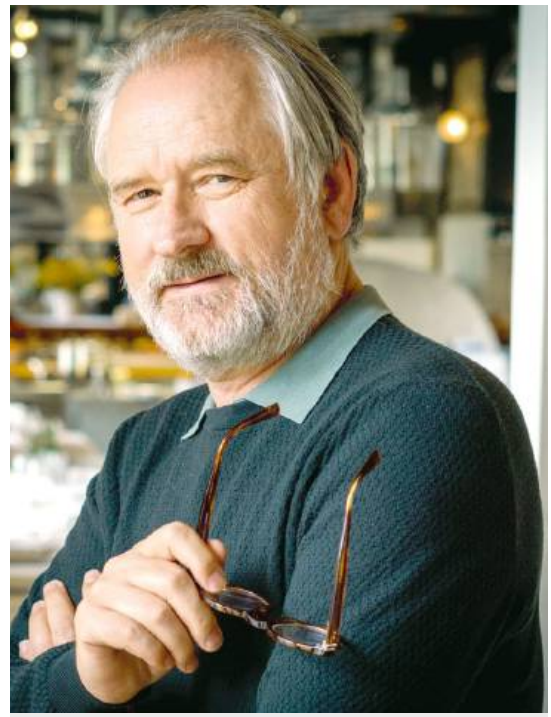

PROF. JAN ZIELONKA
– europeista, wykłada na Uniwersytecie Ca' Foscari w Wenecji, od jesieni br. będzie także wykładał w Centrum Europejskim Uniwersytetu Warszawskiego.

Może więc lepiej wyjść? Najtwardszy suwerenista tak zrobił.

– Po brexicie państwa nie mają ambicji wychodzenia z Unii! Politycy suwerenistyczni nie chcą z niej wyjść, bo widzą cenę wyjścia. Ale naciskają na to, żeby kontrolować ją od wewnątrz, jednostronnie.

Żeby wpływać na jej działanie?

– Żebyśmy dobrze rozumieli – międzynarodówka suwerenistów jest zaprzeczeniem samej siebie. Porównajmy politykę wobec Rosji Orbána i Morawieckiego. Nie da się tego sprowadzić do wspólnego mianownika. Ale ponieważ suwereniści nie chcą wyjść z Unii, sytuacja jest taka, że oni wszyscy wspierają się w Radzie Europejskiej, godzą się tylko na takie decyzje, które odpowiadają ich egoistycznym interesom. I – niespodzianka! – na koniec okazuje się, że te decyzje nie zmieniają nic albo zmieniają bardzo mało.

Bo wspólny mianownik jest taki, że de facto niczego nie zmienia?

– Innymi słowy, doszliśmy do punktu, który przewidział David Mitrany już w latach 50. – że integracja oparta na monopolu państw narodowych skończy się tym, czym skończyła się teraz. Państwa będą musiały albo oddać władzę na rzecz państwa europejskiego i popełnić zbiorowe samobójstwo, albo wyjść z Unii. Każda z tych opcji jest kosztowna. Wiemy już, ile kosztuje wyjście z Unii – popatrzmy,

eprasa.pl 9d19eaca0d

co dzieje się w Wielkiej Brytanii. Z kolei państwa, które zasiadają przy stole decyzyjnym, nie chcą się przekształcić w rządy lokalne. I tak kręcimy się w kółko.

Jak wyjść z tej pułapki?

– Jeśli nie można iść do góry ani nie można iść w dół, to idźmy w bok. Taka jest moja filozofia – starajmy się ograniczyć monopol państw narodowych poprzez włączenie do decyzji i dostępu do środków innych aktorów publicznych. Podzielmy władzę bardziej, wyjdźmy z dylematu: państwa narodowe czy państwo europejskie. Bo to niczego nie rozwiązuje i na tym korzystają jedynie tacy ludzie jak Xi Jinping czy Putin.

Unia skłócona wewnętrznie jest zdecydowanie słabsza na arenie międzynarodowej. To banał.

– Celem polityki jest rozwiązywanie konfliktów. Różnice między państwami, spory, konflikty – to coś naturalnego. Problemem jest tylko to, czy mamy mechanizm, który prowadzi do rozwiązań twórczych, a nie samobójczych. Bo jeżeli wynikiem jest powszechny paraliż, to oznacza, że organizacja taka jak Unia nie zdaje egzaminu. A Unia jest potrzebna.

Dlaczego?

– Dlatego, że państwa narodowe z natury rzeczy obracają się w ramach swoich granic i dysponują jedynie siłą, którą w tych ramach mają. A dzisiaj większość problemów jest ponadnarodowa, ponadgraniczna. Ale są też lokalne problemy, których państwa narodowe nie są w stanie rozwiązać. Na przykład Katalonia. Drugi argument za tym, że Unia jest potrzebna, to fakt, że gdyby jej nie było, państwa największe, najsilniejsze znowu by dominowały. A historia pokazała, że to się kończy źle dla tych słabszych i mniejszych. Polska ma w tym względzie szczególnie złe doświadczenia.

Gdyby nie było Unii, pozycja Niemiec wobec Polski byłaby silniejsza czy słabsza?

– Dużo silniejsza. Dzisiaj Niemcy, jeżeli chcą robić rzeczy, które są w ich egoistycznym interesie, muszą to negocjować z wieloma aktorami równocześnie. To je ogranicza, wiąże. Najlepszym przykładem jest sytuacja państw spoza strefy euro po brexicie. Kiedy Wielka Brytania była w Unii, takiemu państwu jak Polska było dużo łatwiej negocjować np. z Niemcami, które zdominowały strefę euro, bo był silny partner, Brytyjczycy. Jak Wielka Brytania wyszła z Unii, Polska z tych dużych krajów została właściwie sama.

Czy Niemcy nie potrafią być unijnym liderem? Nie są do tego przygotowane, nie mają na to ochoty?

– Specjalnej ochoty nie mają. Kiedy rozmawiam w Berlinie i jest mowa o przywództwie Niemiec w Europie, to oni mi mówią: „Wołacie o niemieckie przywództwo, to znaczy, że chcecie naszych pieniędzy". Ale są też powody historyczne: Niemcy, w przeciwieństwie do innych krajów, mają świadomość błędów, które popełniły w historii. I nie domagają się roli hegemona w Europie, tak jak to jest w przypadku wielu innych krajów, łącznie z Polską.

O, tak! Są kraje, które chciałyby odgrywać główną rolę w Europie, uważają, że ta rola im się należy – Francja, Polska...

– Bo są stosunkowo duże. Ale mogę pana zapewnić, że i mniejsze, np. Holandia, mają swoje ambicje.

I?

– W Unii Europejskiej istnieje wiele koalicji różnego rodzaju, w zależności od problemu. Czy jest to węgiel, czy rolnictwo, czy rybołówstwo... Różne kraje mają różne zainteresowania. Austria czy Węgry inaczej patrzą na sprawę rybołówstwa niż Portugalia. Tak samo, jeśli chodzi o położenie geograficzne – państwa na wschodzie mają inne problemy niż te na południu. Koalicji jest wiele. Problem w tym, że traktaty unijne, które pomagają państwom negocjować ich interesy, właściwie nie funkcjonują, są głównie na papierze.

Dlaczego tak się dzieje?

– Bo powstały trzy dekady temu, u zarania rewolucji geopolitycznej, neoliberalnej i cyfrowej. Świat bardzo się zmienił od tego czasu. A ponieważ w Unii nie ma ani woli, ani możliwości zmian traktatowych, decyduje polityka nieformalna. Przekonali się o tym Grecy w czasie kryzysu finansowego. Kiedy Janisa Warufakisa wyproszono z zebrania, ministrów finansów, ECOFIN zapytał, na jakiej podstawie prawnej. Odpowiedzieli mu: „Jesteśmy nieformalnym ciałem i nie mamy statusu". Ale problem jest szerszy. Nasz system rządzenia w Europie i w całym świecie zachodnim nie funkcjonuje, ponieważ instytucje nie nadążają za zmianami technologicznymi i społecznymi. Rewolucja internetowa stworzyła „płaski świat". Przyśpieszyła wszystkie transakcje.

Przepływ informacji i pieniędzy odbywa się w ułamku sekundy...

– Dlatego nasze demokracje nie nadążają za biegiem wydarzeń. Jakie są ostatnie lata? Kryzys finansowy, kryzys imigracyjny, pandemia, a teraz – wojna rosyjsko-ukraińska. Mamy non stop zarządzanie w typie stanu wyjątkowego. Wszystko dzieje się bardzo szybko i nie ma czasu, żeby rozwiązać problemy normalną drogą demokratyczną. Nawet w jednym państwie, nie mówiąc już o 27 wspólnie. Gdy np. Ursula von der Leyen negocjowała sprawę szczepionek w czasie pandemii, kiedy każda godzina oznaczała życie lub śmierć tysiąca ludzi w Europie, to prowadziła negocjacje, jak się dowiedzieliśmy, na WhatsAppie. Niedawno była fuzja bankowa w kraju, który szczyci się demokracją bezpośrednią, referendami

Unia jest potrzebna, gdyby jej nie było, państwa największe, najsilniejsze znowu by dominowały.

Coraz więcej spraw: płaca, praca, bezpieczeństwo, zdrowie, zmiany klimatyczne, ma charakter ponadnarodowy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, NUR PHOTO/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d19eaca0d

Zwolennicy polexitu, Warszawa, 2 października 2021 r.

– w Szwajcarii. To była fuzja pomiędzy bankami UBS i Credit Suisse, która stworzyła wielu zwycięzców i wielu przegranych, na miliardy. Odbyła się w ciągu weekendu. Państwo, regulator, i banki musiały w ciągu nocy z soboty na niedzielę dogadać się w sprawie wielkiej operacji, która uderzyła nie tylko w Szwajcarów, ale i w światowe banki. Debata w parlamencie czy referendum nie wchodziły w grę. To pokazuje, w jakim stopniu dawne zasady gry nie przystają do współczesności. Jak świat się zmienił.

A czy nie jest też tak, że społeczeństwa europejskie są dziś bardziej egoistyczne niż 30 lat temu? Dlatego trudniej się porozumieć.

– I to jest ironia historii. Coraz więcej spraw – płaca, praca, bezpieczeństwo, zdrowie, zmiany klimatyczne – ma charakter ponadnarodowy. Ironia polega na tym, że żyjemy w erze największego nacjonalizmu od II wojny światowej. To do niczego dobrego nie prowadzi. Możemy spekulować, dlaczego tak jest. Moje wytłumaczenie? Jeżeli polityk nie ma pomysłu na przyszłość, to spogląda w przeszłość. Zmienia nazwy ulic, mianuje nowych dyrektorów muzeów, obala pomniki… Łatwiej manipulować przeszłością niż przyszłością. To mi trochę przypomina żart z komunizmu: że przyszłość jest pewna, ale przeszłość ciągle się zmienia.

Skąd to się bierze? Ze słabości klasy politycznej? Mediów?

– Nas wszystkich! Takie analizy trzeba zawsze zacząć od spojrzenia w lustro. W tym przypadku więc uważam, że klasa intelektualna, w tym naukowa, nie zdaje egzaminu. W procesie edukacji społecznej polityk jest dopiero na ostatnim etapie. Najpierw muszą być pomysły alternatywne, jak zarządzać światem w nowej rzeczywistości. Następnie dziennikarze muszą to przetłumaczyć na język zrozumiały dla ludzi, a dopiero później politycy wypisują te hasła na sztandarach. Ale to tak nie funkcjonuje.

A jak funkcjonuje?

– Politycy zbierają opinie o tym, co ludzie myślą, przy pomocy specjalistów od sondaży i marketingu. Takich, którzy wiedzą, jak zbadać, czy ludzie w tym roku wolą różowe mydło, czy zielone. Wygląda to mniej więcej tak jak strategia supermarketów. Politycy nie prowadzą poważnego dialogu z ludźmi, tylko czytają sondaże, które są marnej jakości, i oferują ludziom to, co te sondaże pokazują. Uważają przy tym, że oferują to, czego ludzie chcą w danej chwili. Czy to jest w ogóle demokracja? To jest postawienie demokracji na głowie. Bo jeżeli suwerenem w demokracji jest obywatel, to obywatel powinien wyjść z inicjatywą.

Nasze demokracje nie nadążają za biegiem wydarzeń.

W takiej sytuacji się znaleźliśmy… A media społecznościowe zmieniły sposób komunikacji, czasami na lepsze, czasami na gorsze.

Myślę, że zdecydowanie na gorsze.

– Niekoniecznie. Niech pan nie zapomina, że przed erą internetu ludzie byli zakładnikami lokalnych instytucji, przede wszystkim rodziny, Kościoła, miejscowych polityków czy szkoły. Internet ich od tego wyzwolił. Jestem za demokracją lokalną, ale to często były środowiska opresyjne. Nawet rodzina mogła taka być. Widzimy to zresztą – idea powrotu do starego modelu rodziny, w wydaniu skrajnej prawicy, jest jaskrawo opresyjna.

eprasa.pl 9d19eaca0d

Czy wojna zmieniła Europę? Wszystkim się wydawało, że Europa się rozpadnie, skłóci, ale nastąpiło coś innego.

– Zmieniła w dużym stopniu. Na przykład zdecydowanie zmieniła się polityka niemiecka. Ale też nie jest tak, że na dłuższą metę Polacy, tak jak Włosi, będą bardziej zainteresowani Libią czy Tunezją niż Ukrainą. Pewne rzeczy są wynikiem historii, geografii. Natomiast jeśli chodzi o samą Unię Europejską, to wielkich zmian nie ma. Dlatego że na płaszczyźnie wojskowej Unia ma bardzo mało uprawnień. Choć robi rzeczy ważne, np. stara się rozwinąć wspólną produkcję broni i pomaga państwom członkowskim dostarczać broń Ukrainie. Ale jeśli chodzi o wojsko... Po wojnie w Jugosławii obiecano stworzyć 60-tysięczną armię pod flagą europejską. I gdzie ona jest?

Ale w sprawie gazu Europa zachowała się zaskakująco skutecznie.

– Bo państwa zrozumiały, że polityka zależności od Rosji w sprawie gazu i ropy tylko powoduje koszty. Na przykład Włosi zachowali się bardzo sprytnie. Premier Mario Draghi pojechał do Algierii i innych krajów Afryki Północnej i szybko znalazł alternatywne źródła.

Emmanuel Macron powiedział, że z powodu wojny Rosja geopolitycznie wiele straciła. Czy to znaczy, że Europa geopolitycznie wzrosła?

– Wzrosło ponownie znaczenie Ameryki w Europie. Ale na jak długo – to się okaże w przyszłym roku, po wyborach w USA. Mamy złe doświadczenia z ery Trumpa... Stany Zjednoczone to tradycyjne mocarstwo, mają siłę militarną, której nie ma Europa, więc w sytuacji każdej wojny Ameryka jest ważniejszym aktorem. Europa jest dobra do działania w warunkach, w których pokój istnieje albo wraca, a dobrobyt ma szansę na rozwój. Natomiast nie jest dobra w gaszeniu pożarów, bo proces decyzyjny jest tu skomplikowany i zbyt wolny. Poza tym ma podzielone środki działania. Mamy mnóstwo żołnierzy w Europie, ale ich siła wojskowa jest ograniczona, bo armie są rozdrobnione, nie potrafią współpracować i – co najważniejsze – nie mają wspólnego generała, który by je prowadził do celu.

A Polska? Dlaczego Polska nie potrafi sobie znaleźć dobrego miejsca w Europie i wybrała kontestację?

– To znaczy obecny polski rząd?

Tak.

– Muszę powiedzieć, że poprzedni rząd też czasem blokował współpracę. Pamiętam, jak premier Kopacz nie była zachwycona unijną polityką w zakresie ochrony środowiska, wymagającą zamykania kopalń. A jeśli chodzi o kwoty rozdziału imigrantów, była temu bardzo niechętna i dopiero w ostatniej chwili jej rząd na to się zgodził. Ale w przypadku obecnego rządu to jest oczywiście inna planeta. Oni są z zasady niechętni polityce unijnej, chyba że mogą wziąć jakąś kasę. To jest radykalne podejście i moim zdaniem nie zdaje egzaminu, nawet na warunkach, które ten rząd sobie stawia.

Dlaczego nie zdaje egzaminu?

– Dlatego, że alians suwerenistów jest w dużej mierze fikcją. Polacy zostają na lodzie raz po raz. Nawet Węgrzy często odwracają się do nich tyłem, już nie mówię o Wyszehradzie czy wspólnocie bałtyckiej. Poza tym pełna sprzeczności jest polityka rządu. Z jednej strony, chcemy być poważnym aktorem gospodarczym, a z drugiej – prowadzimy awanturniczą kampanię polityczną wobec naszego największego partnera, jakim są Niemcy. W kraju naruszana jest niezależność sądów, a gdy Unia zwraca na to uwagę, jest atakowana. A jak można mieć wspólny rynek w sytuacji, kiedy nie ma niezależnych sądów? Żaden poważny przedsiębiorca nie zainwestuje w kraju, w którym może mu grozić, że skończy jak Leszek Czarnecki.

W Europie wierzą, że jest takie ryzyko?

– Oczywiście, że wierzą. Owszem, nie każdy przedsiębiorca uważa za najważniejsze rządy prawa, demokrację i kodeks etyczny. Są tacy, którzy wchodzą w biznes bez tego pakietu, ale wtedy podejmują określone ryzyko. Unia Europejska, która jest oparta na prawie, nie może sobie na to pozwolić. Gdy więc ktoś myśli, że Polska może się pozbyć demokratycznego pakietu i zostać w Unii, że możemy mieć wspólny rynek bez rządów prawa, to albo nie zna się na polityce europejskiej, albo sam siebie oszukuje.

A jednak Polsce wiele rzeczy w Europie uchodzi na sucho. Dlaczego?

– Polska może czasem liczyć na sojuszników, bo przy stole decyzyjnym w UE siedzą premierzy państw członkowskich. Ilu z nich myśli: „A może jutro Komisja Europejska będzie mnie rozliczać? Może zawiązać się w Radzie jakaś większość przeciwko mnie”? Mamy też wojnę zaraz za wschodnią granicą. A Ukrainie Zachód może pomagać tylko z pomocą Polski, korzystając z polskich lotnisk i przejść. I Stany Zjednoczone, i kraje Unii są więc poddane pokusie – że najpierw trzeba zapewnić bezpieczeństwo, a później będziemy rozmawiać o wolności prasy. To są uwarunkowania pozwalające przetrwać polityce, która ani logicznie, ani historycznie się nie spina.

Państwa będą musiały albo oddać władzę na rzecz państwa europejskiego i popełnić zbiorowe samobójstwo, albo wyjść z Unii. Każda z tych opcji jest kosztowna.

Jeżeli polityk nie ma pomysłu na przyszłość, to spogląda w przeszłość. Zmienia nazwy ulic, mianuje nowych dyrektorów muzeów, obala pomniki.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Singiel płaci dwa razy

W pojedynkę, a jednak drożej. Single są dla biznesu żyłą złota. Szczególnie osoby, które szukają miłości

Kornel Wawrzyniak

– Poznałem ją przez aplikację randkową. Spotykaliśmy się już prawie pięć miesięcy. Wszystko fajnie się układało. Ale kiedy zrobiło się między nami poważnie, zaczęła być jakaś tajemnicza. Coś ją z każdym dniem coraz bardziej zżerało. Mówiła, że musimy pogadać, a potem zmieniała temat. Wreszcie, kiedy byłem w pracy, przysłała mi SMS-a: „Jestem mamą. Teraz już wiesz". Poczułem się, jakbym dostał w pysk, ale choć w żartach, to wszyscy mnie przestrzegali, abym nie szukał miłości przez Tindera – wspomina 40-letni Miłosz.

To jedna z wielu historii współczesnych singli i singielek, którzy randkowanie, jak przystało na XXI w., zaczynają od znalezienia kogoś w internecie lub za pomocą specjalnych aplikacji. Jednak nie na samotnych rodzicach czy osobach szukających przygodnego seksu będziemy się skupiać. Najciekawszym elementem opowieści o singlach są firmy świadczące dla nich usługi. Życie w pojedynkę jest dla firm kopalnią pieniędzy. A randki przez portale źródłem wielu bolesnych często historii.

Randka z kasą

Z danych zebranych przez GUS podczas Narodowego Spisu Powszechnego wynika, że 22,7% wszystkich gospodarstw domowych w Polsce stanowią osoby mieszkające w pojedynkę. 10 lat temu było to 20,3%. Odsetek w miastach – 27% gospodarstw domowych, czyli prawie 4% więcej niż podczas poprzedniego spisu. Tendencja jest więc wzrostowa

eprasa.pl 9d19eaca0d

– w naszym kraju przybywa osób żyjących solo.

Jak wskazuje psycholog z London School of Economics prof. Paul Dolan, zgodnie z najnowszymi danymi bezdzietne singielki żyją dłużej niż ich rówieśniczki obciążone domowymi obowiązkami. Ponadto kobiety żyjące w pojedynkę są szczęśliwsze, mają lepsze perspektywy zawodowe i nie muszą dostosowywać swojego życia do planów partnera, co również przekłada się na poczucie spełnienia. Singielki coraz częściej chwalą sobie taki stan rzeczy. Współcześnie rodzina czy dzieci przestały być bowiem wykładnikiem szczęścia i sukcesu.

związku, inni są tu od lat i szukają ONS (z ang. *one night stand*), czyli przygód na jedną noc, lub FWB (friends with benefits), to znaczy przyjaciół, z którymi uprawia się seks bez dodatkowych zobowiązań.

Przed erą komórkowych aplikacji największą popularnością cieszyły się portale randkowe, takie jak Sympatia.pl, zresztą cały czas trzymają się na rynku bardzo mocno. Jednak zasada działania niezależnie od platformy jest podobna. Tworzymy profil użytkownika ze zdjęciami i krótkim opisem. Zaznaczamy, czy szukamy kogoś na krótko, czy na dłużej. W wersji podstawowej większość użytkowników. A to tylko pierwsza trójka z kilkunastu portali oferujących randkowanie.

Kosztowna codzienność

Polskie realia pokazują, że życie singla, szczególnie w stolicy, wiąże się z ogromnymi kosztami, które trzeba dźwigać w pojedynkę. – Parom jest łatwiej. Przede wszystkim dzielą się na pół kosztami mieszkania. Musiałem niedawno się przeprowadzić. Jakimś cudem znalazłem kawalerkę na wynajem za niecałe 3 tys. zł miesięcznie. Wydaję więc połowę pensji tylko na to, żeby mieć gdzie mieszkać. Zaczynam myśleć, że bycie singlem to styl życia dla zamożnych – twierdzi Andrzej pracujący w instytucji związanej z kulturą.

Według raportu Inicjatywy Pracowniczej z 2020 r. niecałe 4 tys. zł miesięcznej pensji pozwalały na w miarę godne życie w Warszawie, ale ponad połowę wypłaty zabierał sam koszt wynajmu mieszkania. Gdy doliczyło się do tego zwyczajne wydatki na życie, pod koniec miesiąca nie zostawało prawie nic. Nie mówiąc o oszczędzaniu. Od wybuchu wojny w Ukrainie osobom żyjącym w pojedynkę jest jeszcze trudniej, ponieważ ceny najmu poszły w górę średnio o 10%. Dodatkowo zmagamy się z inflacją, więc wszystko w sklepach też jest droższe.

Wzrost liczby singli pasuje jednak biznesom, które oferują coraz więcej produktów i usług skierowanych do osób żyjących w pojedynkę. – Zwróć uwagę, że niektóre oferty biur podróży są nawet o 60% droższe, niż miałbyś zapłacić od głowy, gdy jedziesz we dwójkę – mówi 35-letnia Maria, która uwielbia podróżować, a od dwóch lat żyje solo i sama zwiedza świat. Szybki przegląd ofert z różnych biur podróży pokazuje, że ma rację. Pierwsza z brzegu propozycja wyjazdu na stronie jednego z największych biur podróży wygląda tak: 2399 zł za osobę przy rezerwacji dla dwóch osób za tygodniowy wyjazd *all inclusive*. Dla singla wychodzi 5499 zł. Kolejne biuro i podobna sytuacja. 2900 zł kontra 3600 zł. Znów singiel płaci więcej za ten sam wyjazd.

22,7% wszystkich gospodarstw domowych w Polsce stanowią osoby mieszkające w pojedynkę. 10 lat temu było to 20,3%.

Według GUS obecnie na 100 mężczyzn przypada w Polsce średnio 107 kobiet. Liczba ta jest zmienna zależnie od regionu. Najwięcej kobiet jest w Łodzi – 110 na 100 facetów – i na Mazowszu (109 na 100). Różnice te maleją, im dalej na północ. W województwie kujawsko-pomorskim to 107, a na Pomorzu tylko 105 pań na 100 mężczyzn. Wydawać by się mogło, że statystyki przemawiają na korzyść mężczyzn, którzy mogliby siedzieć i cierpliwie czekać na wybrankę. Praktyka pokazuje jednak, że wszystkim jest tak samo trudno znaleźć miłość.

Na osobach poszukujących drugiej połowy przede wszystkim zarabiają aplikacje i portale randkowe. Jedną z najpopularniejszych dziś aplikacji jest Tinder, program wykorzystujący lokalizację użytkowników, którzy dobierają się w pary na podstawie swoich zdjęć i opisów. Jeśli dwie osoby polubiły wzajemnie swoje profile, mogą zacząć ze sobą pisać. Tinder został uruchomiony w 2012 r. w Stanach Zjednoczonych i szybko zyskał popularność na całym świecie. Przez ponad dekadę napisano o nim masę artykułów, analiz, a nawet kilka książek. Większość singli szukających drugiej połówki chociaż raz miała tutaj konto. Niektórzy wracają po kolejnym nieudanym

aplikacji i portali jest darmowa. Ale by zwiększyć szanse na znalezienie pary, trzeba zapłacić. Tinder, który najpopularniejszy jest wśród milenialsów, ma cały zakres płatnych dodatków. To m.in. *boost* (44,99 zł za sztukę), czyli funkcja, która zwiększa naszą widoczność wśród innych użytkowników aplikacji. W pierwszym płatnym pakiecie, czyli Gold, dostajemy zaś możliwość podglądania, kto nas do tej pory polubił. To już koszt 120 zł miesięcznie. Dostępny jest też pakiet Premium, który kosztuje 145 zł na miesiąc i daje jeszcze więcej opcji, takich jak wysłanie wiadomości do kogoś, z kim jeszcze nie połączyliśmy się w parę, i kilka innych iluzorycznych korzyści.

W konkurencyjnych aplikacjach jest podobnie. Serwisy typu Sympatia.pl czy eDarling.pl również oferują abonamenty z różnymi możliwościami płatności. Wyraźnie jednak widać, że niezależnie od platformy niewiele da się zdziałać bez podpięcia karty kredytowej.

Według badania Mediapanel obecnie najpopularniejszą aplikacją do randkowania w Polsce jest Badoo. W zeszłym roku odwiedziło ją 3,59 mln osób. Na drugim miejscu plasuje się wspomniany już Tinder z 2,27 mln wejść. Podobny wynik ma Sympatia.pl z 2 mln

eprasa.pl 9d19eaca0d

Nie można jednak nie zauważyć, że pojawiły się też biura podróży z ofertami kierowanymi do singli. W sieci znajdziemy ciekawe wycieczki po całym świecie. Zwykle w grupach nie większych niż kilkanaście osób. Część takich propozycji jest adresowana do osób jednej płci, więc z założenia nie są to wyjazdy, na których będzie można znaleźć parę. Jest także klub podróżniczy Soliści, który co prawda nie skupia się na singlach, ale nie nalicza dodatkowych opłat za jednoosobowe podróżowanie.

Można znaleźć wiele ośrodków SPA z ofertami dla osób żyjących w pojedynkę. Tymczasem jeden z hoteli, które w sieci reklamowały się jako idealne na wyjazd dla singli, nie ma pojedynczych pokoi. Rezerwacja na stronie automatycznie zaznacza, że przyjedziemy z drugą osobą, i liczy nam za dwójkę w dwuosobowym pokoju. Tej opcji nie można zmienić. W turystyce właściwie nic dla singli nie kosztuje połowy tego, co płaciłaby para, mimo że ten biznes opiera się na tzw. osobodobach. Można wręcz stwierdzić, że jest tanio wtedy, kiedy coś kosztuje „tylko" tyle, co dla pary.

Do podróżowania część singli wykorzystuje aplikacje randkowe, szukając tzw. przewodników. – Wyjechałam ze znajomymi na wycieczkę do Francji. Miałam jednak dłuższy urlop niż oni, więc zostałam w Marsylii, podczas gdy towarzystwo wróciło już do Polski. Miałam jednak ochotę spędzić trochę czasu z kimś. Zaczęłam więc szukać na Tinderze facetów z okolicy, którzy wiedzą, gdzie się idzie na kolację, a gdzie do klubu, i chętnie potowarzyszą dziewczynie w takich wyjściach. No i umówiłam się tak na kolację, która skończyła się dwuletnim związkiem – opowiada pracująca w korporacji Maria.

A co z singlami i przemysłem rozrywkowym? Weźmy gry komputerowe. Zmalała liczba tytułów z opcją grania w kilka osób na jednym ekranie. Rozgrywka wieloosobowa odbywa się przez internet. Warto wspomnieć, że dziś w gry gra się tak samo, jak ogląda filmy – płaci się abonamenty od kilkudziesięciu do kilkuset złotych miesięcznie. Również platformy streamingowe mają chrapkę na portfele singli. Popularny Netflix ma abonament rodzinny za 60 zł miesięcznie dla czterech osób. Abonament dla jednego użytkownika kosztuje 29 zł. Singiel płaci więc jak za dwie osoby.

Osoby żyjące solo z założenia mieszkają ciaśniej. Na stronie jednego z deweloperów czytamy, że dzisiaj single są wymagający i poszukują większych, nawet dwupokojowych mieszkań o powierzchni „aż" 37 m kw. Ale są i mikrokawalerki o powierzchni… 9 m kw. Według deweloperów to idealne lokale dla samotnych, bo stereotypowo single w domu jedynie sypiają.

Singlom jest trudniej o kredyt hipoteczny niż małżeństwom. Banki widzą tu większe ryzyko, dlatego stawiają wymagania, np. dodatkowe ubezpieczenie na życie. Trudno też dostać kredyt na ponad pół miliona. Jeśli zatem singiel chciałby kupić lokal, w którym kiedyś zamieszkałby z rodziną, ma utrudnione zadanie.

Najpopularniejszą aplikacją do randkowania w Polsce jest Badoo. W zeszłym roku odwiedziło ją 3,59 mln osób. Tinder miał 2,27 mln wejść, a Sympatia.pl – 2 mln.

Mama singielka

– Mówi się: „wszystkie dzieci nasze są" i coś w tym jest. Mam dwójkę. Z początku trzymałam tę informację na pierwsze, drugie spotkanie. Jednak w pewnym momencie zaznaczyłam to jasno na swoim randkowym profilu. Chodziło mi o to, żeby ominąć ewentualne rozczarowania z obu stron. Trochę się obawiałam tego ruchu, ale okazało się, że zaczęłam dostawać więcej wiadomości od facetów niż przedtem. Śmieję się, że mężczyźni szukają sobie mamuśki – opowiada 37-letnia Dominika, miejska urzędniczka.

Według danych z Narodowego Spisu Powszechnego w 2021 r. mieliśmy w Polsce prawie 2,3 mln samotnych rodziców. Udział osób samotnie wychowujących dzieci wśród wszystkich rodzin wynosi 22,6%. To 1,9 mln samotnie wychowujących dzieci matek i 385,7 tys. samotnych ojców. – Jak byłem na studiach, niektórzy koledzy śmiali się, że na podryw najlepiej pożyczyć dzieciaka od znajomych i pójść do piaskownicy polować na opiekunki i samotne matki. Myślałem, że to takie głupie gadanie. Dziś jestem samotnym ojcem. Mam kilkuletniego syna. I przyznaję, że w każdym żarcie jest ziarno prawdy. W tym przypadku nawet bardzo duże – śmieje się 42-letni Bartek z branży IT.

Pojawiają się też coraz bardziej egzotyczne przedsięwzięcia nastawione na samotnych. Reporterka Oktawia Kromer w książce „Usługa czysto platoniczna" opisuje, jak zarabia się na zdesperowanych singlach. Jedną z usług dostępnych od kilku lat w Polsce jest płatne przytulanie. Cała filozofia tego biznesu opiera się na stwierdzeniu, że aby być w dobrym zdrowiu, człowiek potrzebuje przynajmniej czterech uścisków dziennie.

Pierwsza tego typu usługa, Przytulanie.pl, miała swoje pięć minut w mediach, m.in. w programie Dzień Dobry TVN, gdzie na ochotnika z usługi skorzystał Filip Chajzer. Profesjonalny przytulacz ma zapewnić klientom „przyjacielski, troskliwy dotyk, platoniczne przytulanie, ciepło, uwagę, akceptację bądź po prostu obecność lub inne czynności o charakterze platonicznym". Jeszcze w 2017 r. godzina przytulania kosztowała w warszawskim salonie 79 zł. W 2021 r. było to już 229 zł za 45 minut. Obecnie strona nie działa.

Tymczasem na stronie Salonu Przytulania, który reklamuje się jako „jedyne takie miejsce na Śląsku", półgodzinna sesja tulenia kosztuje 99 zł, a najdłuższa, dwugodzinna, „zaledwie" 299 zł. Ze strony dowiadujemy się, jaki jest program takiej wizyty: „Pokój do przytulania urządzony jest w iście królewskim stylu, wyposażony w kabinę prysznicową z hydromasażem oraz luksusową wannę. Sesje przytulania poprzedza

eprasa.pl 9d19eaca0d

kąpiel, po której nasz gość otula się ciepłym, przyjemnym i milusim białym szlafroczkiem. Przytulanie odbywa się wśród puchatych pachnących poduszeczek i kocyków, w tle gra spokojna muzyka, w powietrzu unoszą się przyjemne zapachy, a pokój rozświetla blask świec oraz palący się kominek. Na każdego naszego gościa czeka słodki poczęstunek, kawa, herbata, gorąca czekolada bądź kieliszek szampana". Analizując opis usługi, można odnieść wrażenie, że to raczej randka w SPA niż usługa platoniczna.

Kolejnym hitem jest rynek trenerów podrywania. „W dziedzinie uwodzenia osiągniesz poziom, którego będą zazdrościć Ci wszyscy znajomi. Nabędziesz umiejętność bezstresowego poznawania kobiet w każdym możliwym miejscu, zarówno w dzień, jak i w nocy. Zaskoczy Cię ilość seksualnych interakcji, o których dotąd mogłeś tylko marzyć. Zaprezentuję Ci innowacyjny sposób uwodzenia oparty na czysto seksualnych interakcjach", czytamy pod adresem samiecalfa.pl. W ofercie są szkolenia indywidualne i grupowe. Podrywaczem, któremu żadna się nie oprze, można zostać już po trzech dniach. Oczywiście na stronie z tak sugestywną nazwą nie ma żadnej oferty skierowanej do samic, które też może chciałyby kogoś poderwać. Mnóstwo zresztą tutaj zdjęć powypinanych kobiet w fikuśnej bieliźnie. Ciekawa natomiast jest sama struktura kursu indywidualnego – dwie godziny teorii, cztery godziny praktyki w dzień i trzy godziny praktyki w nocy. Wszystko pod okiem trenera o imieniu James, który wbrew pozorom jest Polakiem. Mężczyzna twierdzi w jednym z filmików, że znany jest również w pewnych kręgach z zajmowania się tzw. rozwojem osobistym. „Kołcz" od podrywu chwali się, że przeszkolił już ponad 200 facetów w sztuce skutecznego uwodzenia. Na stronie są trzy pakiety kursów. Kobietę można zdobyć już od 699 zł w opcji standard. Do tego warto dokupić e-book za 450 zł. W końcu wtedy żadna się nie oprze, a była dziewczyna wróci, błagając o drugą szansę.

Stron żerujących na męskim braku pewności siebie jest wiele. Na atrakcyjnyfacet.pl czytamy: „NASZ KURS UWODZENIA DA CI UMIEJĘTNOŚCI, dzięki którym zaczniesz regularnie spotykać się ze ślicznymi dziewczynami w Twoim typie" (pisownia oryginalna). Podstawowy kurs w ofercie „atrakcyjnego" kosztuje 995 zł, a pakiet VIP już prawie 2 tys. Pakiet ten zawiera m.in. „około 40 Fragmentów nagrań z ukrytej kamery potwierdzających teorię prezentowaną w materiale; 30-minutowe wideo z nagraniami z ukrytej kamery pt. Jak podejść w różnych okolicznościach oraz nowość – moduł: SPRAW, BY TO ONA ZABIEGAŁA O CIEBIE". Tylko do czego w tym

Niektóre oferty biur podróży są nawet o 60% droższe, niż miałbyś zapłacić od głowy, gdy jedziesz we dwójkę.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d19eaca0d

wszystkim służą nagrania z ukrytej kamery?!

To ja, twój ideał

Gdy przychodzi do randkowania, kłamstwo jest powszechne. To element nie tylko krótkich spotkań, ale i dłuższych relacji. Łatwo coś zataić. – Pisałam z jednym gościem. Fajny był, mówił, że ma 30 lat, tak jak ja. To nasze pisanie trwało tydzień. Mieliśmy się spotkać, ale coś mnie tknęło. Nie wiem, może kobieca intuicja. Sprawdziłam faceta w sieci. Po porównaniu z jednym z portali społecznościowych okazało się, że gdzieś mu się zgubiło 10 lat życia i żona – opowiada Maria. Niektórym zdarza się zapomnieć o tym, że są w związku. Inni się z tym nie kryją. – Można spotkać masę mężczyzn, którzy nawet mają w profilu zdjęcia, tyle że z zakrytą twarzą. Tacy piszą wprost, że szukają przygód i nie chcą, żeby żona się dowiedziała – mówi Dominika.

Przyglądając się, jak ludzie dzięki internetowi dobierają się w pary, warto zadać pytanie, kogo szukają single i singielki. W kolejnych opisach na profilach widać, że zaczęli traktować siebie jak produkt. Żeby dać czytelnikom obraz tej płytkości, oto kilka przykładów: „Bycie sobą, szczerość, ciekawość. Spędzam dużo czasu na siłowni, lubię filmy i seriale"; „Słowa tego nie opiszą, przekonaj się na własnej skórze"; „Szukam osoby otwartej na drugiego człowieka, osoby lojalnej chcącej stworzyć szczerą relację"; „Pozdrów ode mnie swojego psa!"; „Szanujmy siebie i swój czas! Żadnych ONS i FWB"; „Ideał, musisz tylko mnie docenić". – W Tinderze przesuwasz osoby w prawo na tak albo w lewo, gdy ci się nie podobają. Ten system zaczyna w końcu uzależniać, jak przewijanie każdego medium społecznościowego. Na dobrą sprawę, gdy się nad tym zastanowić, to wygląda jak sklep z lalkami. Po kilku dniach przestajesz czytać, co kto o sobie pisze, już tylko mechanicznie machasz paluchem, w lewo, w prawo, w lewo, w prawo – przyznaje Bartek.

> Ludzie zaczęli traktować siebie jak produkt.

Weterani i weteranki aplikacji randkowych wskazują, że większość osób ma bardzo podobne profile, co wynika z chęci wpasowania się w obecne trendy. Ludzie chcą się podobać, więc tworzą swój fałszywy obraz. – Wszyscy mają zdjęcia w windzie i na siłowni. Oczywiście wszyscy lubią sport i szukają superaktywnej partnerki, która będzie rano chodzić z nimi na siłownię, wieczorem na rower, a w czasie lunchu na rolki – nabija się Oliwia, która przestała już liczyć na to, że znajdzie przez internet kogoś na dłużej. – Wszyscy podróżują po świecie i oczywiście chodzą po górach. Spotkałam się raz z takim „podróżnikiem". W trakcie rozmowy wyszło, że w ciągu ostatnich trzech lat był raz na Mazurach – dodaje.

Gdy przyjrzeć się komunikatom zawartym zarówno w męskich, jak i damskich biogramach, widać, że wszystkim zależy też na czasie. Nie chcą go tracić, o czym informują na samym wstępie. – Jest taki rodzaj faceta, którego nazwałam typowym człowiekiem po SGH. Jego zainteresowania to zawsze rozwój osobisty i inwestowanie. Kiedy jeszcze codziennie zaglądałam do tych wszystkich aplikacji randkowych, widziałam takich gości setki – Maria przewraca oczami.

Oczywiście tworzenie fałszywego obrazu napompowanych ust, biustów i sześciopaków na tle wind odbija się wielu randkującym czkawką. – Mam zaledwie 170 cm wzrostu, na dodatek spore zakola jak na 35 lat. Odpadam dla części dziewczyn w przedbiegach, bo przecież lubią założyć szpilki, a do tego, żeby się pokazać, potrzebny jest wysoki facet. Nie liczy się moje wykształcenie i zainteresowania, tylko wygląd. I tak patriarchat zaczął zaganiać mężczyzn w kozi róg. Dziewczyny zaczęły oceniać nas po pozorach, tak samo jak przez dekady robili to mężczyźni – kwituje ze smutkiem Jędrzej, młody lekarz tuż po specjalizacji.

Bycie singlem nie jest więc lekką sprawą. To właściwie życie pełne pułapek, które trzeba z dużą ostrożnością omijać, inaczej będzie się miało zszargane nerwy lub uszczuplony portfel. Na dodatek, jeśli ktoś szuka miłości, musi być idealny jak Barbie i Ken, ponieważ – jak mówi piosenka o najpopularniejszej lalce świata – *life in plastic, it's fantastic.*

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Z Galicji

Jan Widacki

Wymiana elit

Kaczyński nie ukrywa, że jednym z celów PiS jest wymiana elit w Polsce. W szczególności dotyczy to elit naukowych. Zwłaszcza zaś nauk humanistycznych i społecznych. Ta wymiana już się dokonuje. Jednak Polskiej Akademii Nauk tak po prostu zlikwidować nie można. Byłaby ogromna awantura nie tylko w Polsce – tym PiS za bardzo się nie przejmuje – ale także w świecie, bo PAN ma rozwinięte kontakty zagraniczne, wielu zagranicznych członków, wśród których są liczni uczeni światowej klasy. Powołuje się więc konkurencyjną Akademię Kopernikańską. Z czasem będzie się ograniczać finansowanie PAN, za to środki płynąć będą do Akademii Kopernikańskiej, zrzeszającej naukowców uznanych i wskazanych przez prezydenta. Tak po prostu nie da się też z dnia na dzień przejąć starych uniwersytetów, tworzy się zatem nowe, a stare dyscyplinuje poprzez regulowanie dofinansowania.

Do tego dochodzi patologiczny system punktacji, wedle którego ten jest większym uczonym, kto ma więcej punktów, a o tym, kto ma więcej punktów, decyduje arbitralnie minister. To on bowiem ustala, które czasopismo jest wysoko punktowane, które mniej, a o wysokości punktacji nie decyduje obiektywna wartość czasopisma, wartość publikowanych w nim prac – liczą się względy ideologiczne i polityczne, a czasem, jak to w Polsce bywa, prywatne relacje i znajomości. Za artykuł opublikowany w niewątpliwie najpoważniejszym czasopiśmie prawniczym, jakim jest wydawane przez Komitet Nauk Prawnych PAN „Państwo i Prawo", uzyskuje się 70 pkt. W wielu lokalnych, ba, prowincjonalnych pismach prawniczych, wydawanych przez instytucje kościelne lub inne bliskie PiS, za byle artykuł można otrzymać 100, a nawet 140 pkt. Suma zdobytych punktów brana jest pod uwagę nie tylko przy awansach naukowych, ale również przy tzw. parametryzacji uczelni, która z kolei wiąże się z uprawnieniami do nadawania stopni doktora lub doktora habilitowanego, a także z wysokością dotacji na badania naukowe. Jeśli jakieś badania i ich wyniki nie podobają się władzy (jak ostatnio badania nad postawami polskiego społeczeństwa wobec Holokaustu), minister po prostu, bez żadnej żenady, obcina dotację całemu instytutowi.

Tak jak w czasach stalinowskich utworzono jako konkurencję dla wydziałów prawa konserwatywnych zdaniem władzy uniwersytetów Szkołę Duracza (Centralną Szkołę Prawniczą im. Teodora Duracza), która miała kształcić „słusznych prawników", teraz taką rolę ma odgrywać Szkoła Wyższa Wymiaru Sprawiedliwości, która ma, jak można przeczytać na jej stronie internetowej, „oprócz kształcenia funkcjonariuszy Służby Więziennej (…) kształcić przyszłe kadry organów wymiaru sprawiedliwości".

Rzecz w tym, że elity tak po prostu wymienić się nie da. Jak pokazuje historia, każda taka próba zawsze kończy się tak samo. Elitę zastąpić można co najwyżej pseudoelitą. Zrozumieli to nawet komuniści. Po latach stalinowskich, w których z uniwersyteckich katedr usunięto wielu wybitnych uczonych, do których władza nie miała zaufania, wszyscy oni powrócili na uniwersytety. Wspomnianą Szkołę Duracza zlikwidowano zaraz po śmierci Stalina.

Drugi zaś raz w PRL, po wydarzeniach marcowych 1968 r., próbowano starą kadrę profesorską rozwodnić, tworząc instytucję tzw. docentów marcowych, na które to stanowiska powoływano ludzi bez habilitacji, za to cieszących się zaufaniem partii. Efektu nie osiągnięto. „Docenci marcowi", mający wszystkie w zasadzie uprawnienia profesorów, nie tylko nie zdominowali środowiska naukowego, ale nawet nie uzyskali w nim większego wpływu. Byli za to przedmiotem drwin i niezliczonych dowcipów. Mówiło się np. tak: „Co trzeba zrobić, aby zostać docentem marcowym? Trzeba wydać jeden skrypt i dwóch kolegów". Do ulubionych rozrywek niektórych moich kolegów z ówczesnego wydziału prawa należało dzwonienie w środku nocy do jednego z takich docentów z pytaniem: „Władek! Piszesz co?". Dziś uznano by to za stalking i zrobiono im sprawę karną.

Elity tak po prostu wymienić się nie da. Elitę zastąpić można co najwyżej pseudoelitą.

Ze wspomnianego docenta Władka naigrawali się też studenci. Gdy w czasie remontu budynku wydziału prawa na ścianie wisiał jakiś odkuty spod tynku kabel, dopisali: „Przewód habilitacyjny…" – tu padało nazwisko Władka, które przemilczę.

Dziś sprawa jest poważniejsza. Uczeni z nominacji nowej władzy, beneficjenci punktów i dotacji, oraz ich uczelnie zaczęli już produkować nowych doktorów i doktorów habilitowanych. To oni będą pisać opinie i ekspertyzy dla władz, programy nauczania, podręczniki dla uczniów i studentów. Psucie nauki odbywa się w postępie geometrycznym. I szczerze mówiąc, nie bardzo widzę wolę środowisk naukowych, aby podjąć jakąś próbę przeciwdziałania temu procesowi. Coraz powszechniejsze są postawy rezygnacji i narzekania, ale niestety tylko we własnym wąskim gronie. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

NIE ODDAM I CO MI ZROBISZ?

Problemy zaczęły się, gdy w 2002 r. serdeczny przyjaciel poprosił o pożyczkę – 1,5 mln zł. Obiecał spłacić ją po trzech miesiącach

Marek Czarkowski

Mojego rozmówcę poznałem od razu. Prosił, bym nie ujawniał jego nazwiska, choć jego zdjęcia można znaleźć w magazynach sprzed ponad 20 lat, poświęconych modzie, architekturze i temu, co nazywamy stylem glamour. Na przełomie XX i XXI w. był odnoszącym sukcesy biznesmenem. Firma, którą założył, zatrudniała ok. 100 osób. Miał bogatych i renomowanych klientów. Wraz z żoną, jedną z ówczesnych gwiazd telewizyjnych, tworzyli parę znaną w kręgach warszawskiej socjety. Wydawało się, że nic nie może zburzyć tej idylli. A jednak.

Początkiem kłopotów nie stał się rozwód, który udało im się przeprowadzić bez, jak to bywa w tym środowisku, awantur i skandali. Ona kontynuowała karierę w mediach, on skupił się na rozwijaniu biznesu. – Moje problemy zaczęły się, gdy w 2002 r. serdeczny, od 30 lat przyjaciel, syn znanego aktora, poprosił mnie o pożyczkę – 1,5 mln zł. Obiecał spłacić ją po trzech miesiącach.

W roku 2002 była to poważna kwota, lecz panowie nie rozmawiali ani o umowie, ani o wekslach. Po prostu na kartce w kratkę zapisali kwotę. – Najgorsze było to, że pieniądze pochodziły z rachunku bankowego mojej firmy – tłumaczy. Nie zmartwiło go, gdy minęły pierwszy i drugi termin zwrotu pożyczki. Uważał przyjaciela za człowieka honoru, który dotrzymuje słowa.

•

Czas mijał, a odmowy i kolejne terminy spłaty długu zaczęły grozić utratą płynności jego firmy. Co dwa tygodnie, każdego miesiąca, na rachunku musiały być środki, by opłacić kontrahentów.

– Pożyczałem wśród znajomych. Od jednego 200 tys. zł, od drugiego kilkadziesiąt, zbierałem tak od kilkuset tysięcy do ponad 1,5 mln zł. Pokrywałem niedobór w kasie i rozliczałem się z kontrahentami, a gdy po kilku dniach spływały środki od partnerów biznesowych, zwracałem je osobom, które mnie wsparły. Niedotrzymanie terminów nie wchodziło w grę. To nie była kwestia ambicji, lecz konieczność. Gdyby partnerzy, od których kupowaliśmy usługi, zorientowali się, że mam kłopoty, mogliby rozwiązać umowy, odebrać licencję i zostałbym z niczym. Tak działo się przez lata. Wszystkie prywatne pożyczki były przeze mnie zwracane w terminie, choć trudno sobie wyobrazić stres, jaki mi towarzyszył.

Jedną z inwestycji, które wówczas prowadził mój rozmówca, była budowa luksusowego apartamentowca bliźniaka na obrzeżach Warszawy, z mieszkaniami przeznaczonymi na wynajem. Przedsiębiorca zakładał, że dzięki wysokim czynszom po ośmiu latach kredyt zaciągnięty we frankach szwajcarskich zostanie spłacony. Chciał jak najszybciej odzyskać pieniądze od dłużnika. Gdy panowie się spotkali, ten roześmiał się w twarz mojemu rozmówcy i oświadczył, że „to nie on ma problem".

Przyszło znów pożyczyć pieniądze, tym razem z procentem, od jednego z biznesmenów, którego nazwisko regularnie pojawia się na liście 100 najbogatszych Polaków tygodnika „Wprost".

Bohater tej historii chciał pogasić w ten sposób 11 kredytów bankowych i skończyć ze spiralą zadłużenia. Sprzedał nieukończony apartamentowiec. Wymuszona cena okazała się niższa od tej, którą by uzyskał, gdyby nie śpieszył się z transakcją. – Straciłem na tym ponad 1 mln zł, lecz gdybym tego nie zrobił, byłoby jeszcze gorzej – mówi.

Firma co prawda przynosiła dochód, lecz obsługa pozostałych zobowiązań pochłaniała poważne środki. Mój bohater posiadał jeszcze kilka

eprasa.pl 9d19eaca0d

mieszkań w Warszawie i z częścią przyszło się rozstać. Pieniądze poszły na spłatę zobowiązań.

Za radą adwokata zdecydował się odzyskać półtoramilionowy dług na drodze sądowej. Prawnik byłego przyjaciela okazał się wyjątkowo zręczny i wykorzystując poczucie obowiązku wobec przyjaciół, którzy w trudnych chwilach mu pomagali, szantażem zmusił go do wycofania pozwu. – Wiedziałem, że popełniam błąd, lecz nie mogłem postąpić inaczej. Nie chciałem, by życzliwi mi ludzie zostali zamieszani w ten skandal. Ich nazwiska nie powinny się pojawić na sali sądowej. I tak nic to nie dało. Sprawa stała się głośna i wielu niegdyś bliskich mi ludzi zapomniało, że się znaliśmy.

Wskazuje leżący na biurku stos dokumentów: – Tu jest wszytko, tylko nie ma to już żadnego znaczenia.

•

– Najgorsze spotkało mnie ze strony wieloletniej znajomej. Lubiliśmy się. Czasem pożyczała mi pieniądze, które po kilku dniach zwracałem. Wiedziała dobrze, w jakiej jestem sytuacji finansowej. Kilka lat temu zaproponowała mi pożyczkę: „Za jednym zamachem spłacisz wszystkie zobowiązania, a później się rozliczymy. W końcu przestaniesz żyć w ciągłym stresie".

– Chodziło o ponad 2,8 mln zł – wyjaśnia. – Zabezpieczeniem miały być umowa pożyczki i podpisany przeze mnie weksel. Miał być wpis na hipotece mojej nieruchomości. To były ważne środki, gdyż rosła presja terminowego regulowania rachunków firmy. Znajoma się nie śpieszyła, a gdy zostało mi już tylko kilka dni na spłatę zobowiązań, zaproponowała zaskakujące rozwiązanie. „To nie są moje pieniądze, lecz rodziców – tłumaczyła. – Wiesz, jak jest z podobnymi umowami. Jeśli coś pójdzie nie tak i nie będziesz płacił odsetek od pożyczki, odzyskanie tej kwoty może trwać długo i być skomplikowane. Proponuję, aby rodzice się nie denerwowali, byś notarialnie sprzedał mi swój apartament na Powiślu, a ja ci natychmiast przeleję środki. Umówimy się, że będziesz mógł w nim mieszkać. Spłacaj tylko odsetki w wysokości 7,5% rocznie w złotówkach, jak zwrócisz całą kwotę, ja sprzedam ci ten apartament za 3,8 mln zł. Tak się rozliczymy". Zgodziłem się. A moim największym wierzycielem stała się dobra znajoma. To był błąd.

Przez jakiś czas nic się nie działo. Mój rozmówca obsługiwał odsetki od owych 2,8 mln zł. Zapłacił ok. 1,5 mln odsetek, płacił rachunki i sądził, że powoli staje na nogi. Co prawda, interesy nie szły tak dobrze jak niegdyś, ale można było żyć. Apartament na Powiślu był wyjątkowy. Zaprojektowany i urządzony ze smakiem. Wyposażony w eleganckie meble, z łazienką wyłożoną alabastrem, z ogromnym tarasem, z którego rozciągał się widok na Wisłę. Właściciel włożył w niego nie tylko sporo pieniędzy, ale i dużo serca. Opisy eleganckiego lokalu znalazły się w kilku luksusowych periodykach poświęconych architekturze wnętrz. Rzeczoznawca wycenił go na ok. 5,8 mln zł. Czyli za pożyczkę 2,8 mln znajoma stała się posiadaczką mieszkania za 5,8 mln zł.

– Sytuacja gwałtownie zmieniła się trzy lata temu, gdy zażądała niemal natychmiastowej spłaty długu – ciągnie opowieść mój rozmówca. – Mimo że sprzedałem firmę, nie miałem takich pieniędzy. Starałem się negocjować. Bezskutecznie. Zagroziła, że jeśli się nie wyniosę, sprowadzi kilku Czeczenów, a oni już przekonają mnie do zmiany decyzji. Jesienią zjawiło się u mnie kilku umięśnionych młodzieńców, którzy oświadczyli, że są tutaj zameldowani. Na początek wymontowali drzwi wejściowe, była znajoma zaś bez zbędnej kurtuazji powiedziała, że mam się wynosić. Policjanci, których wezwałem, oświadczyli, że sprawa ich nie interesuje i mogę dochodzić swoich praw na drodze sądowej.

Przez kilka tygodni był spokój, potem młodzieńcy przystąpili do działania. Najpierw nie odstępowali mnie na krok, następnie wyjęli wszystkie wewnętrzne drzwi, mieli wyjąć okna, by przeciągi i niska temperatura uniemożliwiły normalne życie. Rozwalili sanitariaty, zniszczyli wyłożoną alabastrem łazienkę i zapowiedzieli, że znajoma zaprosiła na wieczór 20 bezdomnych z Dworca Centralnego i zaczną imprezować. W takich warunkach nie da się długo wytrzymać. Kiedy wyszedłem do apteki po lekarstwa, nie wpuszczono mnie już do mieszkania. Zostałem z niczym. Sprowadzona przez moją oprawczynię firma spakowała rzeczy bez mojego udziału i wystawiła je na klatkę schodową. Następnie wywiozła je do wynajętego magazynu, nie podając mi adresu.

Okazało się, że w zatrzymanych rzeczach był segregator zawierający wszystkie dokumenty finansowe mojego bohatera. – Wśród nich były dwa weksle, jeden na 150 tys. zł i drugi na 4,5 mln zł. Była znajoma zagroziła, że weksel na 4,5 mln zamierza odsprzedać za 10% jego wartości, i zaproponowała tę transakcję jego wystawcy. Po negocjacjach zaakceptowała jego odsprzedaż za 300 tys. zł. Brak dokumentów finansowych spowodował dotkliwe szkody i straty materialne, których ta pani w żaden sposób nie zamierzała pokryć. Na wielokrotne żądania zwrotu zagrabionych dokumentów i ruchomości spotykałem się zawsze z kategoryczną odmową. Adwokat radził, bym dochodził praw w sądzie. Wówczas okazało się, z jak bezwzględną osobą miałem do czynienia.

Za radą adwokata zdecydował się odzyskać półtoramilionowy dług na drodze sądowej.

Mój rozmówca wylicza: – Zażądała nie tylko dodatkowych 400 tys. odsetek, lecz także zagroziła, że złoży doniesienie do prokuratury na moją córkę, która jakoby działa w zorganizowanej grupie przestępczej, współtworząc piramidę finansową. Chodziło również o to, że w roku 2018 przepisałem na nią jedno z dwóch mieszkań, które mi zostały. W ocenie znajomej było to działanie niezgodne z prawem. Zrezygnowałem. Bałem się o córkę. Ten szantaż sprawił, że wycofałem z sądu pozew o posiadanie, który był kluczowy do odzyskania mieszkania. Straciłem wszystko.

Mam ponad 73 lata, a mój majątek mieści się w kartonach w 21-metrowym lokalu. Nie mam przyjaciół i nie mogę liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony państwa. Osoba, której niegdyś ufałem, nadal żąda 400 tys. zł. Nie wiem, co mnie czeka.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d19eaca0d

To nie były paprotki

Po 1989 r. komunistki nie tyle zastąpiono, ile wymazano z historii. Nasze feministki uznały, że jedyna rewolucja, jaka dokonała się w Polsce, to rewolucja Solidarności

Rozmawia Paweł Dybicz

Czy to, co się wydarzyło po 1945 r. na ziemiach polskich, można nazwać rewolucją płci?

– Zdecydowanie tak, choć ta rewolucja zaczęła się już wcześniej, wojna bowiem była jej katalizatorem, w jakimś sensie naturalnym. Mężczyźni poszli do wojska, część aresztowano, część znalazła się w obozach. Zostały kobiety, które musiały zorganizować codzienne życie rodzinne. I myślę, że dla wielu to był impuls, by przedefiniować swoje życie osobiste. Niemały wpływ na te zmiany miały postanowienia władz, dziś pogardliwie określanych jako komunistyczne. Jedne z pierwszych fundamentalnych dekretów nowej władzy po wojnie dotyczyły właśnie życia osobistego, życia małżeńskiego, rodzinnego kobiet i mężczyzn w Polsce.

Wiąże to pani z wypowiedzeniem przez Polskę konkordatu?

– Oczywiście, że to ma związek. Dziś nie mówi się, że to powojenna władza, właśnie po wypowiedzeniu konkordatu, wprowadziła od 1 stycznia 1946 r. śluby cywilne i prawo do rozwodów, a w kolejnych miesiącach zrównała w prawach dzieci urodzone ze związków małżeńskich z tymi urodzonymi poza małżeństwami. Do tego wprowadzono obowiązek alimentacyjny i zmiany w małżeńskiej własności majątkowej. Te rewolucyjne przemiany domknął Kodeks rodzinny z 1950 r.

Czy utworzenie Wydziału Kobiet w PPR było czytelnym sygnałem, że władza ludowa dostrzega problemy kobiet?

– Wydziały kobiece istniały jeszcze przed wojną, miały je Polska Partia Socjalistyczna i Komunistyczna Partia Polski. W 1946 r. na czele Wydziału Kobiecego Polskiej Partii Robotniczej stanęła Edwarda Orłowska, komunistka z przedwojennym stażem partyjnym, która przed 1939 r. nie miała wiele wspólnego z kwestią praw kobiet, ale z pracy na nowym stanowisku wywiązała się bardzo dobrze. Później, po zjednoczeniu PPR i PPS, kierowała Wydziałem Kobiecym w PZPR, aż do jego oficjalnej likwidacji w styczniu 1953 r.

> Jedne z pierwszych fundamentalnych dekretów nowej władzy po wojnie dotyczyły życia osobistego, małżeńskiego, rodzinnego kobiet i mężczyzn w Polsce.

Czy Orłowska i inne zaangażowane politycznie kobiety to były komunistki feministki?

– Wydaje mi się, że dla większości moich bohaterek określenie „feministki" mogłoby okazać się problematyczne, bo z perspektywy komunistek feminizm uchodził za ruch burżuazyjny. W związku z tym nie nazywały się feministkami. Mówiły o ruchu kobiet pracujących, o działalności na rzecz kobiet z klas ludowych, motywowanej przede wszystkim kwestiami ekonomicznymi i społecznymi. Rozwiązanie tych problemów miało doprowadzić do wyzwolenia kobiet.

Kim były ówczesne działaczki na rzecz kobiet?

– Bohaterki mojej książki są bardzo różne, wiele pracowało na rzecz praw kobiet jeszcze przed wojną. Jedną z nich była Wanda Wasilewska, która wtedy nie należała do KPP, ale do PPS, była członkinią rady naczelnej tej partii. Inne, jak wspomniana Edwarda Orłowska, dopiero po wojnie zostały przesunięte na „odcinek kobiecy". Wśród moich bohaterek są zarówno polityczki, jak i działaczki kobiece niebędące w żadnej partii. Przykładowo w 1945 r. na czele Ligi Kobiet stanęła początkowo bezpartyjna Irena Sztachelska (w PZPR od 1948 r.). Platerówka, która przed wojną nie miała wiele wspólnego z kwestią kobiecą.

Partia rzucała swoje działaczki na odcinek kobiecy?

– W pewnym sensie tak, chociaż były takie aktywistki, które, rzec można, zawodowo zajmowały się problemami kobiet. Myślę tu o publicystkach, dziennikarkach, a także pisarkach. Wymienię tylko kilka. Anna Lanota, pierwsza redaktorka naczelna „Przyjaciółki", czasopisma, którego roli w pracy na rzecz kobiet w Polsce trudno nie docenić. To samo można powiedzieć o znanej dawniej pisarce Janinie Broniewskiej, redaktorce naczelnej czasopisma „Kobieta". Warto też wspomnieć Wandę Żółkiewską, autorkę książek dla dzieci i młodzieży, która niestety kojarzona jest dziś głównie jako pierwsza żona marksistowskiego krytyka i badacza Stefana Żółkiewskiego. Zresztą w ogóle wiele moich bohaterek – i o tym piszę w książce – w debacie publicznej funkcjonuje jako pierwsze żony swoich mężów, znanych polityków. Zapomina się, że miały one własną historię, niezwykle ciekawą, do niedawna zupełnie nieznaną, której istotnym elementem było właśnie zaangażowanie na rzecz praw kobiet, w tym na forum organizacji międzynarodowych.

eprasa.pl 9d19eaca0d

DR AGNIESZKA MROZIK

– Instytut Badań Literackich PAN, autorka książki „Architektki PRL-u. Komunistki, literatura i emancypacja kobiet w powojennej Polsce"

O co te kobiety walczyły, co chciały osiągnąć?

– Na działalność ówczesnych komunistek feministek patrzę przez pryzmat czasów, w których przyszło im żyć i pracować. Zawsze zwracam uwagę na kontekst – zniszczoną Polskę, która przed wojną była krajem rolniczym. Bardzo tradycyjnym, jeżeli chodzi o relacje rodzinne. W międzywojniu kwestia kobieca wypisana była na sztandarach wielu organizacji, ale gdy przyjrzymy się temu uważniej, zobaczymy, że przedwojenne feministki nierzadko koncentrowały się na emancypacji kobiet pochodzących z inteligencji, z warstwy mieszczańskiej. Owszem, mówiono o prawach robotnic czy chłopek, ale realizacja tych postulatów napotykała przeszkody. W okresie powojennym to się zmieniło. Kwestiami podstawowymi były wówczas powszechny i bezpłatny dostęp do edukacji oraz uregulowanie relacji rodzinnych – praw małżeńskich, majątkowych, opieki nad dziećmi. Ogromna zmiana dokonała się na początku lat 50., wraz z wprowadzeniem planu sześcioletniego, którego istotnym założeniem była aktywizacja zawodowa kobiet. Zniesiono podział zawodów ze względu na płeć, umożliwiając kobietom wejście na rynek pracy w tzw. zawodach męskich, lepiej płatnych i cieszących się społecznym prestiżem. Do tego zapewniono kobietom dostęp nie tylko do edukacji podstawowej, ale również do wykształcenia technicznego, na poziomie średnim i wyższym.

To była realizacja wizji socjalistycznej emancypacji kobiet, emancypacji przez edukację i pracę?

– Ten projekt emancypacji realizowano we wszystkich krajach bloku wschodniego. Nie tyle poprzez działalność polityczną, ile właśnie przez zdobycie wykształcenia i uzyskanie źródła utrzymania. Podejmując pracę, kobiety zyskiwały większą niezależność, co wpływało na ich sytuację rodzinną, małżeńską, relacje z dziećmi itd.

Da się powiedzieć albo uzasadnić powiedzenie, że w tamtym czasie kobiety w polityce odgrywały rolę paprotek?

– Wydaje mi się, że nie. Oczywiście, jeżeli będziemy mierzyli naszą historię polityczną nośnymi dzisiaj wyznacznikami, takimi jak obecność kobiet w Biurze Politycznym czy Sekretariacie KC, na najwyższych stanowiskach w partii, to zapewne dojdziemy do takiego wniosku. Faktycznie nie było za wiele kobiet na stanowiskach sekretarzy wojewódzkich, na politycznej górze, ale jeśli spojrzymy na koncepcję sprawowania władzy w państwie socjalistycznym inaczej niż w sposób obiegowy, okaże się, że kobiety miały niemały wpływ na politykę tego państwa. Może nie zawsze były ministrami, ale wiceministrami bywały często. Nie przebadałam wszystkich aspektów aktywności zawodowej ówczesnych działaczek i polityczek, bo interesowały mnie głównie edukacja, nauka i kultura, ale mogę powiedzieć, że w tych sferach nadbudowy, jak się dawniej mówiło, kobiety zajmowały znaczące stanowiska: wiceministrów, dyrektorów departamentów. Ale nie to jest najważniejsze. Kluczowe jest to, co osiągnęły w wyniku swojej działalności. W dużej mierze właśnie kobiety odpowiadały za realizację reformy szkolnictwa zaraz po wojnie, za reformę programów nauczania i podręczników.

Może jakieś nazwiska?

– Zofia Dembińska była wiceministrem oświaty ds. opieki nad dzieckiem. Zajmowała się placówkami szkolno-wychowawczymi, działającymi na terenie szkoły i poza nią. Inna bohaterka mojej książki, która powinna się doczekać osobnej biografii, zresztą nie tylko ona, to Eugenia Krassowska, działaczka Stronnictwa Demokratycznego. Przez prawie 20 lat, bo od 1946 do 1965 r., pełniła funkcję wiceministra. Najpierw w Ministerstwie Oświaty, potem w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Reformowała uniwersytety w duchu socjalistycznej doktryny, odpowiadała za politykę kadrową w oświacie i nauce.

Padają wobec niej zarzuty, że zwalniała przedwojennych profesorów albo przesuwała w inne miejsca, choćby do PAN.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 9d19eaca0d

– Po pierwsze, nie robiła tego bez przyzwolenia najwyższych władz państwa, a po drugie, niejeden odsunięty profesor uniwersytecki mówił po latach, że przesunięcie do PAN uwolniło go od nielubianej dydaktyki, pozwoliło skupić się na pracy naukowej.

A co się stało z tymi komunistkami feministkami po 1956 r.? Stalinizm dość powszechnie kojarzył się, obok zbrodni i represji, z kolektywizacją, „żydokomuną" i „babochłopami".

– W książce wykazałam, że te oceny w decydującym stopniu artykułowali mężczyźni i w stosunku do kobiet nie były one sprawiedliwe. Rzeczywiście w powszechnym odbiorze stalinizm kojarzył się z „babochłopami" i „żydokomuną". Wiele moich bohaterek pochodziło z rodzin żydowskich, ale nie akcentowały tej kwestii. Po pierwsze, pochodziły z rodzin od dawna mocno spolonizowanych, a po drugie, interesowały je przeobrażenia społeczne, praca na rzecz kobiet, a to nie miało nic wspólnego z pochodzeniem etnicznym czy narodowością. Po 1956 r., na fali destalinizacji, wiele z nich straciło pracę, szczególnie te, które zajmowały ważne stanowiska polityczne. Przesuwano je na inne, mniej eksponowane. Trafiały np. do wydawnictw książkowych, redakcji czasopism, niektóre oddelegowano na forum międzynarodowe.

Zeszły z pierwszej linii frontu walki o prawa kobiet, ale czy porzuciły tę tematykę?

– Niektóre, zwłaszcza starsze, nie zajmowały się już aktywnie kwestią kobiecą, ale pisały wspomnienia, w których poruszały ten wątek. Z tych, które nadal działały, podejmując w pracy tematykę kobiet, warto wymienić kilka postaci. To pisarki Zofia Bystrzycka i Elżbieta Jackiewiczowa, autorka powieści dla dziewcząt, a także Wilhelmina Skulska, scenarzystka, dziennikarka, publicystka. One i wiele innych po Październiku 1956 r. nie skończyły w jakimś ślepym zaułku, nie wyjechały za granicę, pozostały w Polsce i, można powiedzieć, przebranżowiły się, zostając, jak piszę w książce, „agentkami nowoczesności". Pisały poradniki dla młodzieży, prowadziły kolumny w czasopismach, przygotowywały scenariusze popularnych seriali telewizyjnych, w których oczywiście wątek kobiecy, emancypacji i edukacji, był jak najbardziej obecny.

Serial „Doktor Ewa" na podstawie scenariusza Wilhelminy Skulskiej jest tego przykładem.

– Tak samo jak powieści dla dziewcząt Elżbiety Jackiewiczowej, popularnej swego czasu, czy Zofii Bystrzyckiej. Pokazywały kobiety i dziewczęta już bez stalinowskiego rysu. Wiodące nowoczesne życie w socjalistycznej Polsce, bez ciągłych ostrzeżeń o „wrogu klasowym".

Dziś nie mówi się, że to powojenna władza po wypowiedzeniu konkordatu wprowadziła od 1 stycznia 1946 r. śluby cywilne i prawo do rozwodów.

Zupełnie nieznana jest rola polskich kobiet, często komunistycznej proweniencji, na forum międzynarodowym. Wniosły ogromny wkład w regulacje prawne światowych organizacji, w tym ONZ, dotyczące kobiet i rodziny.

– Te kobiety z racji przede wszystkim świetnego przedwojennego wykształcenia, znajomości języków obcych, doskonale nadawały się do tego, żeby reprezentować Polskę nie tylko jako dyplomatki, ale też jako kadra urzędnicza i ekspercka. Polityką na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ zajmowali się zawodowi politycy, ale cały proces przygotowywania dokumentów – w tej i nie tylko tej organizacji – spoczywał na ekspertach, urzędnikach, tłumaczach. I wśród nich znajdziemy wiele Polek. W tym miejscu trzeba wymienić Fryderykę Kalinowską, polską Żydówkę, urodzoną we Lwowie, świetnie wykształconą, poliglotkę, która przeżyła Holokaust i po wojnie odnalazła się w służbie dyplomatycznej. Reprezentowała Polskę w powstałej w 1946 r. Komisji ds. Statusu Kobiet działającej przy ONZ. W kolejnych latach była zaangażowana w tworzenie tekstu Powszechnej deklaracji praw człowieka, która została przyjęta przez Zgromadzenie Ogólne w 1948 r. To, że ta deklaracja ma taki kształt, takie treści, jest w dużej mierze zasługą Kalinowskiej.

Ciekawe jest to, że Polska wtedy tej deklaracji nie podpisała.

– Ale nie odrzuciła.

Które jeszcze Polki wyróżniły się na forum międzynarodowym?

– Dwie już wymieniłam, bo wcześniej dały się poznać na forum krajowym – Zofia Dembińska i Eugenia Krassowska. Dembińska przez wiele lat, od 1954 do 1968 r., reprezentowała Polskę w Komisji ds. Statusu Kobiet ONZ i, co ważne, nie tylko w niej zasiadała, ale także pełniła różne funkcje, wiceprzewodniczącej, a nawet przewodniczącej. Z jej inicjatywy narodził się pomysł i pierwsza wersja tekstu Deklaracji o eliminacji dyskryminacji kobiet, przyjętej przez ONZ w 1967 r. Rzecz absolutnie nieznana w Polsce. Zresztą Dembińska zgłosiła również postulat, aby deklaracja, która była mniej wiążącym dokumentem dla państw członkowskich, została przekształcona w konwencję, co nastąpiło w 1979 r., choć już bez jej udziału. Tak samo w niewielkim stopniu znamy działalność Eugenii Krassowskiej w UNESCO – przez cztery lata zasiadała w radzie wykonawczej tej instytucji. Wspomniana wcześniej Fryderyka Kalinowska udzielała się też na konferencjach Międzynarodowej Organizacji Pracy, podnosząc kwestię praw ekonomicznych kobiet.

W książce pisze pani, że o roli Polek na forum międzynarodowym dowiadujemy się głównie za sprawą zachodnich badaczek. To dość zawstydzające.

– Niezwykle smutne. W tej chwili czytam książkę francuskiej autorki Sandrine Kott o funkcjonowaniu międzynarodowych organizacji w okresie zimnej wojny. Pojawia się w niej wiele nazwisk Polek i Polaków zaangażowanych w wypracowywanie równościowych, antyprzemocowych regulacji o znaczeniu dla całego

eprasa.pl 9d19eaca0d

świata. Tu muszę przywołać jeszcze jedno nazwisko, Zofii Wasilkowskiej, socjalistki, pierwszej w historii Polski minister sprawiedliwości, która w latach 50. reprezentowała Polskę w Komisji Praw Człowieka, m.in. gdy ONZ uchwalała Deklarację praw dziecka. Tak więc historia tych kobiet, w tym ich międzynarodowej aktywności, pozostaje do opowiedzenia, a to, że przypominają o nich dopiero zagraniczne historyczki, faktycznie jest zawstydzające.

Czym to tłumaczyć? Przecież jesteśmy prawie 35 lat po transformacji, a w Polsce mamy dość prężnie rozwijające się studia feministyczne.

– Rzeczywiście mamy nieźle opisane zaangażowanie Polek w działania na rzecz praw kobiet w XIX w., w 20-leciu międzywojennym i w opozycji antykomunistycznej w PRL. Natomiast opowieść o roli lewicowych działaczek i polityczek w powojennej Polsce i świecie cieszy się niewielkim zainteresowaniem rodzimych feministek. Pierwotnie sądziłam, że to efekt antykomunizmu środowisk feministycznych w Polsce. Teraz myślę, że chodzi o coś jeszcze, o inne postrzeganie historii. Zagraniczne badaczki patrzą na historię świata, różnych regionów, a nawet lokalną z perspektywy globalnych procesów, my natomiast patrzymy na to, co działo się w Polsce, na przeszłość w naszym regionie, głównie przez pryzmat historii narodowej. My a Rosja, my a Stany Zjednoczone itp. Nie widzimy zdarzeń w szerszym ujęciu, wykraczającym poza „polskie sprawy".

Czy ten brak wiedzy o dokonaniach polskich komunistek, socjalistek, działaczek lewicy nie wynika również z tego, że niezbyt chętnie mówiły i pisały o swojej powojennej działalności?

– W znacznym stopniu tak. Przeczytałam wiele wspomnień, dzienników i kwestia zaangażowania w działalność na rzecz praw kobiet po wojnie nie u wszystkich moich bohaterek się pojawia, czasami wręcz trzeba szukać tych informacji między wierszami.

W opisie powojennej Polski dokonywanym przez nasze współczesne feministki komunistki zostały zastąpione przez bohaterki Solidarności, z Anną Walentynowicz i Aliną Pieńkowską na czele.

– Komunistki nie tyle zastąpiono, ile po 1989 r. wymazano z historii powojennej. Nasze feministki uznały, że jedyna rewolucja, jaka dokonała się w Polsce, to rewolucja Solidarności. Komunistki feministki nie pasują do współczesnego opisu powojennej Polski, zresztą nie pasowały już w historiografii PRL-owskiej. Dionizja Wawrzykowska-Wierciochowa, autorka licznych książek popularyzujących historię kobiet i ruchu kobiecego, w niewielkim stopniu poruszała temat prokobiecej działalności lewicowych aktywistek w Polsce po wojnie. Natomiast faktycznie po 1989 r. pojawiło się sporo prac poświęconych działaczkom Solidarności, można nawet powiedzieć, że nastąpił bum na badanie kobiet S.

Jeden rozdział w pani książce traktuje o tym, jak dzieci i wnuki odnoszą się do przeszłości matek i babć. Można odnieść wrażenie, że wstydzą się tego, co ich przodkinie robiły po wojnie. To smutne.

– I przykre. Może nie tyle nie chcą się do nich przyznawać, ile trudno im zrozumieć ich wybory i decyzje. W publikowanych dziś historiach rodzinnych pojawiają się różne zabiegi narracyjne do opisu działalności krewnych po 1945 r. Okres powojenny jest w tych historiach często nieobecny albo mocno okrojony. Ich autorki i autorzy niespecjalnie interesują się działalnością publiczną przodkiń: matki, babcie, ciotki rewolucjonistki pokazywane są często na gruncie życia rodzinnego, jako żony komunistów, a nie samodzielne aktywistki. O ile ich przedwojenna działalność jest jeszcze relacjonowana, akceptowana, o tyle ta powojenna okazuje się problematyczna. O udziale lewicowych krewnych w rewolucji obyczajowej w międzywojniu przypomina się z dumą, ale wdrażanie rozwiązań systemowych po wojnie jest już kłopotliwe. Bo kojarzy się z komunizmem, a ten nie ma w Polsce dobrej prasy.

Dlaczego potomkowie nie próbują zrozumieć przodkiń?

– Czasami starają się wytłumaczyć ich postępowanie, ale bywa, że mówią jak Anna Bikont, córka Wilhelminy Skulskiej: „Moja matka nie była komunistką". Czasami, jak Ewa Zawistowska, wnuczka Janiny Broniewskiej, w ogóle nie zgłębiają pewnych aspektów historii rodzinnej, nie czytają tego, co ich przodkinie pisały.

Czesław Miłosz w książce „Rok myśliwego" napisał: „Prawdziwe życiorysy komunistów nigdy nie będą napisane". Dodajmy: komunistek też. Zgadza się pani z tym zdaniem noblisty?

– Pewnie tak, choć nie mam jednoznacznej opinii. Poznanie prawdziwych życiorysów komunistów i komunistek napotyka wiele przeszkód. Zewnętrznych, takich jak dostęp do archiwaliów, czy wewnętrznych, bo same komunistki niezbyt chętnie dzieliły się wiedzą o powojennych latach. Do tego dodałabym niewielkie zainteresowanie badaczy i badaczek działalnością ówczesnych polityczek i aktywistek. Myślę, że przed nami długa, filozoficzna wręcz, dyskusja o prawdzie zawartej w życiorysach komunistów i komunistek. Moja książka jest przyczynkiem do tej dyskusji. Czy będą one kiedykolwiek napisane? Mam nadzieję, że tak.

Bo nie da się napisać prawdziwej historii Polski Ludowej bez prawdziwych życiorysów komunistów/komunistek?

– Zdecydowanie tak, dlatego powinno się podejmować wysiłek wydobywania z zapomnienia tych ludzi, bo to ważne postacie w naszej historii.

Na początku lat 50. zniesiono podział zawodów ze względu na płeć, umożliwiając kobietom wejście na rynek pracy w zawodach męskich, lepiej płatnych i cieszących się prestiżem.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Na Pradze zwyciężył rozum

Widziane nie tylko z wieży spadochronowej

Tadeusz Zakrzewski

Żelazna konstrukcja wieży powstała w parku Praskim krótko przed wybuchem wojny i była największą atrakcją lunaparku. Miałem wtedy sześć lat. Bałem się wejść na górę, bo miała z 10 pięter. Wolałem pękać ze śmiechu w gabinecie krzywych luster, a najbardziej – jeździć na karuzeli. Na bilet trzeba było zapracować. Najpierw właziłem do kieratu i razem z kumplami kręciliśmy urządzeniem pod komendą właściciela.

W czasie okupacji wesołe miasteczko zamarło. Biegaliśmy do parku tylko po to, żeby pograć w nogę.

Żołnierze 1. Armii Wojska Polskiego forsujący niemieckie zasieki podczas walk na Pradze we wrześniu 1944 r.

Z motyką na słońce

Godzina „W" dopadła nas z Wieśkiem Świerzyńskim na Pelcowiźnie. Wracaliśmy spod Białołęki z ziemniakami na plecach, a ja dodatkowo z dynią pod pachą. Kradliśmy wtedy wszystko, co dało się wsadzić do pieca albo włożyć do garnka. I nikt nie nazywał tego po imieniu. Każdy „kombinował", „organizował", „podwędzał". Taka była recepta na przeżycie.

W okolicach bramy cmentarnej nagle rozległy się strzały, a grupka mężczyzn z biało-czerwonymi opaskami na ramionach rozbrajała patrol żandarmów. Nam kazali zmykać do Dziadówy. Dziadówą nazywano budynek gimnazjum Lisa-Kuli. Mieściło się tam najtańsze kino w Warszawie – za 10 gr mogłem obejrzeć kowbojski film.

Nie wiedzieliśmy, co się dzieje, piwnica szybko wypełniła się ludźmi. Jedni byli przerażeni, drudzy tłumaczyli spokojnie, że to powstanie, a ktoś zorientowany dodał, że oddział Armii Krajowej szykuje się do ataku na koszary położone po drugiej stronie nasypu kolejowego.

Wtedy zrobiliśmy z Wieśkiem wielkie oczy. Tereny 36. pułku przy 11 Listopada leżały na trasie naszych codziennych wycieczek aprowizacyjnych. Ostatnio przechodziliśmy tamtędy kilkanaście godzin temu i na placu alarmowym widzieliśmy pełno wojska, czołgów i dział, a w okopie na zewnątrz ogrodzenia sterczały gniazda karabinów maszynowych.

Nienaruszona przez Niemców Praga doczekała się wyzwolenia 15 września.

– Jak oni chcą te koszary zdobyć? Będą nacierać z granatami w ręku? – komentowaliśmy zgodnie. Po pięciu latach okupacji znałem się na wojnie całkiem nieźle. Było jej pełno w każdej „Kronice filmowej", a do Syreny przy Inżynierskiej dreptałem regularnie raz w tygodniu. Obowiązkowo. Krawiec Maszkiewicz z mojego podwórka słuchał na strychu audycji „Tu mówi Londyn", jedynego źródła informacji z wolnego świata, i chciał wiedzieć, co o tym samym mówią Niemcy. Jednak bał się łapanek. Na Pradze gestapo też wyciągało ludzi prosto z kina do bud i dlatego do Syreny chodziłem ja. Dostawałem od krawca dwa złocisze i kolejne dwa za fatygę. A ponieważ wchodziłem do kina „na gapę", zarabiałem podwójnie.

– Nie martwcie się, chłopcy, niedługo będzie po balu – pocieszała nas dziewczyna w wojskowej furażerce. Był środek nocy. Wciąż dochodziły do naszych uszu odgłosy strzałów, wybuchów i serii z karabinów maszynowych. Przybywało rannych powstańców, ale niemieckiego jeńca nie zobaczyłem ani jednego. Nad ranem ucichło.

– Można iść na Pragę na własną odpowiedzialność. Nie radzę właziić pod wiadukt kolejowy, bo tam z koszar strzelają do ludzi – zakomunikował jakiś oficer. Nie posłuchaliśmy. Byliśmy niewyspani, zmęczeni, zdesperowani. Poszliśmy starą trasą, krótszą.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 9d19eaca0d

Pod wiaduktem leżało dwóch zabitych mężczyzn. Niemcy z okopów spoglądali na nas czujnie. Przed bramą koszar stała ich cała grupka. Padły okrzyki: *Halt! i Komm, komm!* Sprawdzili nasze woreczki. – *Kartoffeln… Kartoffeln* – zarechotał gruby sierżant i rzucił w kolegów moją dynią. Zaczęła się zabawa. Dynia fruwała z rąk do rąk, a ja drżałem, że upadnie na bruk i rozleci się na kawałki. Na szczęście byli sprawni. Kiedy usłyszałem: *Raus*, złapaliśmy woreczki. Ale mój zrobił się dwa razy cięższy. Opadłem z sił, nie mogłem sobie poradzić.

– *Herr, bitte hilf* – popisałem się znajomością niemieckiego. Grubas pomógł i jeszcze wcisnął mi dynię pod pachę. Dziesięć minut później byliśmy w domu. W bramie czekały na nas matki. Świerzyńska była zalana łzami, a moja skwitowała sytuację jak zwykle: – Mówiłam, że złego diabli nie biorą.

Euforia wyzwolenia

Bracia Tkaczykowie z drugiego piętra wrócili do rodziny dzień później. Atakowali most Poniatowskiego, ale serie z karabinów maszynowych zatrzymały ich 300 m przed celem. Straty oddziału rosły bez nadziei na sukces.

Wieczorem pojawił się młodszy Seroczyński, którego oddział próbował opanować most Kierbedzia. Nikt z podwórka nie chciał mu powiedzieć, że jest wiadomość o jego bracie, zginął na Starówce już pierwszego dnia walk. – A tak w ogóle to po jakiego grzyba zdobywaliśmy te mosty, skoro Ruskich nie ma w pobliżu? – pieklił się.

Na Pradze nie zdobyto żadnego z 50 wyznaczonych celów, ale na szczęście dowódca VI Obwodu, ppłk Antoni Żurowski, rozkazał swoim chłopcom zawiesić broń na kołku i wracać do domu. Tą decyzją uratował od zagłady całą dzielnicę.

Zaczęliśmy z Wieśkiem biegać do parku Praskiego. Właziliśmy na wieżę spadochronową i z najwyższej platformy gapiliśmy się na Starówkę. Mieliśmy ją jak na dłoni, ale leżała daleko, nie słyszeliśmy nawet odgłosów strzelaniny. Tylko sztukasy nadlatywały regularnie nad dzielnicę i bombardowały wypatrzone cele.

Wracaliśmy do domu zawsze z pełnymi woreczkami pomidorów, ogórków, rzodkiewek i cebuli, „skombinowanych" z ogródków działkowych w zoo. Nadwyżki warzyw moja mama wymieniała z sąsiadami na mąkę, kaszę lub smalec.

Nienaruszona przez Niemców Praga doczekała się wyzwolenia 15 września. To była euforia. Kiedy pierwszy polski czołg stanął na rogu Stalowej i Środkowej, ludzie szaleli ze szczęścia. Grupka żołnierzy siedząca na T-34 znalazła się w rękach mieszkańców okolicznych domów. Kobiety całowały kościuszkowców w usta, policzki i po rękach. Nawet mężczyźni płakali.

Myślałem, że wolne jest całe miasto, i w te pędy pobiegłem w stronę Wisły. Chciałem dostać się na Starówkę, zobaczyć co z Dziadkiem (Kazimierzem Lisieckim, inicjatorem powstania Towarzystwa Przyjaciół Dzieci Ulicy – przyp. red.) i Ogniskiem na Długiej. Ale stanąłem jak wryty – przęsła mostu Kierbedzia leżały w wodzie, a za Wisłą trwały walki.

Stare Miasto zobaczyłem z bliska dopiero 17 stycznia 1945 r. Byłem jednym z pierwszych, którzy skoro świt przeszli po zamarzniętej Wiśle na lewy brzeg. Trzymałem się blisko powalonych przęseł i omijałem przeręble. Ognisko było jedną kupą gruzów, a plac zabaw pokrywały groby. Wszędzie panowała przerażająca cisza, a smród rozpadających się ciał był nie do zniesienia. Pierwszą żywą duszę zobaczyłem na Miodowej – radziecki saper pisał na kawałku muru: Min niet. Jakoś nie mogę wymazać tego obrazka z pamięci, chociaż wiem, że jest teraz „głęboko niesłuszny".

Sens godziny „W"

Na powstanie zacząłem patrzeć krytycznie, kiedy dorosłem i zgromadziłem dokumenty na ten temat:

DEMASKUJEMY KŁAMSTWA O POWSTANIU

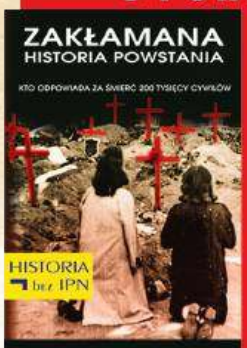

~~41 zł~~ 31 zł
Kto odpowiada za śmierć 200 tysięcy cywilów

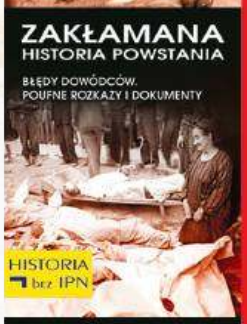

~~42 zł~~ 32 zł
Błędy dowódców. Poufne rozkazy i dokumenty

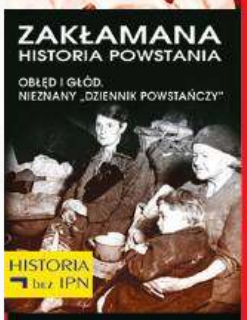

~~40 zł~~ 30 zł
Obłęd i głód. Nieznany „dziennik powstańczy"

~~44 zł~~ 34 zł
Raporty oficerów AK: To się skończy katastrofą

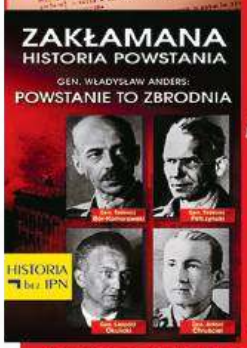

~~43 zł~~ 33 zł
Gen. Władysław Anders: Powstanie to zbrodnia

5 tomów w pakiecie
~~210 zł~~ 140 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 9d19eaca0d

wywiady, artykuły, felietony i książki. Uczestniczyłem w dyskusjach.

Z pewnością zgubiła nas obłąkańcza teoria dwóch wrogów, co potwierdził m.in. Paweł Jasienica, historyk, który niespecjalnie przepadał za Polską w ludowym wydaniu. Napisał: „Powstanie warszawskie było wymierzone militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciwko Sowietom, demonstracyjnie przeciwko Anglosasom, a faktycznie – przeciwko Polsce".

Surowo brzmi opinia brytyjskiego historyka Normana Daviesa: „Nieszczęście Polaków polegało na tym, że byli znienawidzeni i przez Rosjan, i przez Niemców, a zmaganiom Armii Krajowej przyglądała się obojętnie większość zachodnich aliantów".

Nie mam krztyny szacunku dla szaleńców, którzy parli do zwarcia z Niemcami. Gen. Okulicki pokrzykiwał: „Mury będą się walić, krew poleje się strumieniami, aż opinia światowa wymusi na aliantach zmianę decyzji z Teheranu". Z kolei Bór-Komorowski cieszył się z braku pomocy ze strony Rosjan: „To dobrze, dadzą światu dowód swojej perfidii".

Kiedy pierwszy polski czołg stanął na rogu Stalowej i Środkowej, ludzie szaleli ze szczęścia.

Obaj ci panowie traktowali swoich żołnierzy instrumentalnie. Tych, dla których zabrakło broni, zachęcali, by „zdobywali ją na wrogu", „sięgnęli po siekiery i kilofy", „stawiali kosy na sztorc". Innych oszukiwali. Andrzej Łapicki wspominał: „Kiedy spytałem dowódcę, czy otrzymamy pomoc od Sowietów, wzruszył ramionami: A po co? Wszystko jest z Niemcami dogadane, szybko się poddadzą".

Najtrafniejszą puentą są słowa gen. Władysława Andersa: „Jestem na kolanach przed walczącą Warszawą. Ale skutki powstania są fatalne: zniszczono inteligencję, zginął kwiat polskiej młodzieży. To była ZBRODNIA. Dowódcy AK powinni stanąć przed sądem wojennym".

Gdyby nie powstanie, dzisiejszą Polską rządziliby mądrzejsi.

Tadeusz Zakrzewski

LIST

Niszczeje zespół parkowo-pałacowy w Koniecpolu

Droga redakcjo, zwracam się do Was z prośbą o interwencję w sprawie zespołu parkowo-pałacowego w Koniecpolu (województwo śląskie, powiat częstochowski). W skład zespołu wchodzą: XVII-wieczny pałac, przypałacowe oficyny, park oraz znajdujący się za pałacem dawny hotel z basenem. Pałac powstał już na początku XVII w. z inicjatywy Koniecpolskich. W ciągu 300 lat przechodził z rąk do rąk. Jego właścicielami byli Walewscy, Czapscy, Lubomirscy i wreszcie Potoccy. Obiekt przechodził także liczne przebudowy, będąc na początku zamkiem obronnym, a później rezydencjalnym.

W wyniku działań wojennych oraz pożaru, który wybuchł w styczniu 1945 r., obiekt doszczętnie spłonął. Pozostały tylko ogołocone fasady oraz wielkie gruzowisko. Po wojnie na skutek reformy rolnej cały zespół parkowo-pałacowy w Koniecpolu-Chrząstowie przejął skarb państwa. W 1953 r. na terenie sąsiadującego z pałacem Chrząstowa otwarto Koniecpolskie Zakłady Płyt Pilśniowych. Wtedy był to największy zakład w tej części byłego województwa kieleckiego. Nastąpił dynamiczny rozwój Chrząstowa i Koniecpola, powstawały nowe obiekty, rozbudowano przyzakładowe osiedle robotnicze. Stale zwiększała się liczba mieszkańców. 1 stycznia 1960 r. Chrząstów i Koniecpol połączono w jedno miasto – Koniecpol.

Dynamiczny rozwój Koniecpola zaowocował potrzebą powstania domu kultury z prawdziwego zdarzenia. W latach 1956-1961 przystąpiono do odbudowy zrujnowanego zespołu parkowo-pałacowego w Koniecpolu. W odbudowę zaangażowane zostały dyrekcja i załoga Koniecpolskich Zakładów Płyt Pilśniowych. Pałac po remoncie i oddaniu do użytku przez dziesięciolecia był jednym z najpiękniejszych tego typu obiektów w województwie kieleckim, a od 1975 r. w częstochowskim. Pałac pełnił funkcję domu kultury, znajdowały się w nim miejska biblioteka publiczna, klubokawiarnia, kino Pilica. Był też siedzibą wielu sekcji i stowarzyszeń sportowo-kulturalnych: klubu sportowego MLKS Pilica Koniecpol, sekcji kolarstwa, modelarni, klubu krótkofalowców, ludowego zespołu tanecznego Chrząstowianki oraz wielu innych. W jednej oficynie siedzibę miał Zespół Szkół Zawodowych w Koniecpolu, w drugiej były mieszkania dla pracowników ośrodka, a od lat 90. warsztaty terapii zajęciowej dla osób z niepełnosprawnościami.

W otaczającym pałac parku odtworzono alejki, zainstalowano oświetlenie. W latach 60. wybudowano amfiteatr, który wiosną, latem i wczesną jesienią był tętniącym życiem centrum kultury dla Koniecpola i okolicznych miejscowości. Za pałacem w latach 60. wybudowano 120-metrowy basen pływacki, który był największym tego typu obiektem w południowej Polsce. W latach 90. zbudowano także hotel, domykając tym samym bazę sportową.

Na początku lat 90. pałacem zainteresowali się spadkobiercy Potockich – ostatnich jego przedwojennych właścicieli. W 2012 r. decyzją sądu zarządzająca tym terenem gmina Koniecpol straciła zespół parkowo-pałacowy na rzecz Potockich. W 2005 r. Potoccy zbyli cały kompleks na rzecz pana Roberta Pacha – przedsiębiorcy z Kielc zajmującego się przerobem odpadów. Od tego czasu zespół parkowo-pałacowy w Koniecpolu z każdym rokiem coraz bardziej niszczeje. Obiekt nie jest należycie zabezpieczony, nie ma nad nim nadzoru. Pałac, park, oficyny i basen są stale dewastowane. Niszczona jest elewacja obiektów, powybijane zostały niemal wszystkie szyby, pokradziono metalowe elementy wyposażenia, zdewastowano meble. Ukradziono elementy metalowego ogrodzenia na basenie, słupy oświetleniowe i pokrywy studzienek kanalizacyjnych, co sprawia, że łatwo tam o wypadek. Często zdarzają się podpalenia.

Władze miasta i gminy Koniecpol wielokrotnie obiecywały pomoc w uratowaniu tego bezcennego zabytku. Niestety, na obietnicach się skończyło. Problemem kradzieży i dewastacji nie interesuje się też lokalna policja. Również konserwator zabytków nic w tej sprawie nie robi.

Wierzę, że interwencja redakcji przyniesie pozytywny skutek i zespół parkowo-pałacowy w Koniecpolu wróci do dawnej świetności.

Teresa Luty

eprasa.pl 9d19eaca0d

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Widmo etatu krąży nad Europą

Komisja Europejska, przyglądając się funkcjonowaniu platform cyfrowych, takich jak Uber, Bolt czy Glovo, zamierza uporządkować (ucywilizować) formy zatrudnienia pracujących tam osób, które, choć de facto są w pełni pracownikami, funkcjonują wedle reguł samozatrudnienia. Tym samym nie obejmują ich fundamentalne prawa pracownicze: do minimalnego wynagrodzenia, do określonego czasu pracy i płatnego urlopu, mają też utrudniony dostęp do ochrony socjalnej – wszelkie składki muszą opłacać same. Dyrektywa miałaby wejść w życie w 2025 r. i najpewniej objęłaby nie tylko „samozatrudnionych" z platform, ale także podobnie funkcjonujących w innych branżach. W samej Polsce może to oznaczać konieczność rezygnacji z prowadzenia tzw. działalności gospodarczej (czego wszakże nie robią) przez nawet 1,5 mln pracujących. Może jest to wystarczający pretekst, żeby zacząć rozmawiać nie tyle o wypaczeniach miłościwie nam i bezkrytycznie panującego kapitalizmu, ile o jego obecnym patologicznym, afunkcjonalnym, nierozwojowym i niszczącym kształcie? Etaty to ledwie część koniecznej zmiany, wcale nie najważniejsza i niesięgająca sedna problemu.

Wciąż jestem pod wpływem historii opowiedzianej filmowo przez Nolana o Oppenheimerze, powtarzam lektury, doczytuję, nie mogę wyjść z tego Los Alamos. W nagrodzonej Pulitzerem biografii „ojca bomby atomowej" autorstwa Kaia Birda i Martina J. Sherwina (na jej podstawie powstały zręby scenariusza) raz po raz wraca w opowieściach współpracowników, przyjaciół, wielkich fizyków (Einstein, Fermi, Bohr) to, że sam Oppenheimer nie należał do świata geniuszy fizyki, jego osiągnięcia formalne (publikacje, odkrycia) zasadniczo nie były „pierwszorzędne" ani dobrze policzone i starannie przedstawione. Był natomiast absolutnym fenomenem wychwytywania w mig istoty i konsekwencji pomysłów innych, miał wyjątkową zdolność nazywania sedna problemu, precyzyjnego podsumowywania dyskusji i sporów, robił to po mistrzowsku.

Zachowując wszelkie proporcje, ta jego zdolność przypomniała mi się z nieodpartą siłą, kiedy wziąłem do ręki wydaną po polsku książeczkę Ladislaua Dowbora, brazylijskiego ekonomisty o polskich korzeniach i z doktoratem na SGPiS (dzisiaj SGH) zrobionym w latach 70. Dowbor, profesor uniwersytetu w São Paulo, autor kilkudziesięciu książek, współpracownik agend ONZ, dawny bojownik i partyzant, więziony i torturowany za rządów prawicowych w latach 60., współpracownik prezydenta Luli, współautor programów pomocowych dla milionów najuboższych Brazylijczyków – ma podobny dar, kiedy mówi o ekonomii, współczesnym systemie światowego rentyzmu (wszyscy pomnażamy bez wytchnienia majątki globalnych rentierów, pośredników, cyfrowych wyłudzaczy albo naciągaczy z systemu bankowego), powszechnym wyzysku i nierównościach. W opublikowanym właśnie eseju „O społeczną funkcję ekonomii" (tłum. Joanna Bednarek, Książka i Prasa, Warszawa 2023) jasno i na podstawie badań kreśli diagnozę współczesnej, globalnej patologii systemowej, czyli ponadnarodowej władzy prywatnych, nielicznych instytucji finansowych (o których większość z nas nigdy nawet nie słyszała), i choć głównie analizuje przypadek Brazylii, to wnioski i zalecenia mogą być (powinny?) zastosowane wszędzie indziej, bo kapitalizm w tym wariancie po prostu nie działa nigdzie. Dowbor uznaje, że ekonomiczna rzeczywistość jest w rzeczy samej odwzorowaniem naszego (społecznego) obrazu zorganizowania świata, tym samym może się zmieniać. Zadaje najprostsze pytania, komu taki system służy, kto na nim bezprzytomnie korzysta i dlaczego garstce krezusów nad krezusami pozwalamy wyzyskiwać bez przeszkód i ograniczeń (choćby podatkowych) ośmiomiliardową społeczność planety Ziemia. Szczególnie że funkcjonujący tak degradująco system doprowadził nas na skraj katastrofy klimatycznej, rabuje bogactwa naturalne i ściąga na nas plagi zanieczyszczeń, głodu i chorób. To nie działa – mówi krótko Dowbor. A kto twierdzi inaczej (np. pogrobowcy neoliberalnej rewolty z lat 90.), albo jest idiotą, albo na tym korzysta. Albo łączy oba fenomeny. Współczesny kapitalizm finansowy jest nieodrodnym potomkiem dawnych form powszechnego wyzysku i uprzywilejowania garstki – niewolnictwa i feudalizmu. Zaskakujące jest, kiedy przyjrzymy się tym elementom współczesności, ile mają ze sobą wspólnego. Wyzysk pozostaje ten sam, zmienia się tylko narracja – czy inaczej, legitymizacja tego, co dominuje, decyduje i zarabia, a czego nie widać.

W miejsce rentyzmu i wszechwładzy finansów, oderwanych od produkowania i wytwarzania czegokolwiek, rozrastających się „wstecznych elit" (Jessé Souza), technofeudalizmu (Ellen Brown) i „kapitalizmu pasożytniczego" (Zygmunt Bauman) – czas na zmianę paradygmatu systemowego i ekonomicznego. Ekonomia jest nauką społeczną i za taką jej funkcją stoją inne wartości niż zysk i globalny drenaż. Dowbor punktuje system, jego opłakane konsekwencje dla miliardów, zadaje pytanie, dlaczego nie ułożyć tego na nowo, skoro wiemy, co nie działa, co działa źle i jak można by to naprawić.

A tymczasem w Polsce nasz domowy, katolicki kapitalizm handluje sadzonkami dębu z „żołędzi zebranych w 2003 r. z najstarszego w Polsce dębu Chrobry, które poświęcił Ojciec Święty Jan Paweł II w dniu 28 kwietnia 2004 r.". I jak nie ma być lepiej? ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Zwrot egoistyczny

Polacy uważają, że sami poradzą sobie ze wszystkim najlepiej, byle nie pomagać innym

Jakub Dymek

Co łączy te wszystkie zjawiska? Kiepskie przyjęcie propozycji 800+ i wyciekające przez dno poparcie Lewicy; wybicie się Konfederacji na trzecie miejsce wśród polskich partii; Tuska atakującego PiS za przyjmowanie migrantów i rosnące przekonanie o „roszczeniowej postawie" przebywających w naszym kraju obywateli Ukrainy? Mam pewną hipotezę i nazywam ją hipotezą zwrotu egoistycznego. Oto ona.

Rodacy zostali poważnie nastraszeni, że panujący w Polsce kryzys (covidowy, inflacyjny, energetyczny, zadłużeniowy…) uderzy w ich portfele lub doprowadzi do radykalnego zubożenia. Ludzie od taksówkarza po profesora mówią tak: „Idą lata chude, rząd wszystko porozdawał, za chwilę nie będzie z czego płacić emerytur, pensji i zasiłków, a w ogóle, panie, to musi być jakiś szwindel, bo te pieniądze powinny im się dawno skończyć, a dalej wydają, więc to oszustwo". Ten najgorszy scenariusz jeszcze się nie ziścił. Ale skoro owo dramatyczne uderzenie dopiero przed nami, tym bardziej należy się zabezpieczać.

Niech nic nie dają, byleby nic nie zabierali

Pojawia się zatem zataczające coraz szersze kręgi wołanie, aby rząd wreszcie te „nasze" pieniądze przestał wydawać, bo mogą się przydać na trudne czasy. Polacy chcieliby mieć pewność, że gdy oni będą zajęci gromadzeniem zapasów i zabezpieczaniem swojego poziomu życia, nikt potajemnie nie rozda „ich" pieniędzy obcym. Do tego dochodzi przekonanie, że szalejąca inflacja również została nakręcona wydatkami socjalnymi państwa, a najkrótszą drogą do jej zdławienia jest ograniczenie „rozdawnictwa". Do poczucia, że coraz więcej ludzi ustawia się do metaforycznej kolejki po dobrobyt, dokładają się faktycznie rosnące kolejki „obcych" – czyli Ukraińców – do przedszkoli, przychodni i po mieszkania.

Ludzie uważają, że najpewniejszą drogą do ochrony ich własnych portfeli jest natychmiastowe wstrzymanie transferów do innych grup.

Zwrot egoistyczny oznacza więc tyle: ludzie uważają, że najpewniejszą ochroną ich własnych portfeli, oszczędności i majątku w czasach podwyższonej ekonomicznej niepewności jest natychmiastowe wstrzymanie transferów do innych grup. Nie oczekują, że państwo da im cokolwiek dodatkowego, potrzebują gwarancji, że nie zmusi ich do podzielenia się z innymi. Dopuszczają, że wspólny tort się nie powiększa, ale kompletnie nie akceptują tego, że właśnie teraz do stołu mieliby się dosiąść inni biesiadnicy i wyciągnąć łapę po kolejny kawałek. Im więcej zostanie na stole, tym – być może – więcej uszczkniemy dla siebie. Niech nic nie dają, byleby nic nie zabierali – to pierwsze hasło zwrotu egoistycznego.

Drugim hasłem jest: nie stać nas na solidarność. To znaczy, że państwo może i powinno inwestować w zbrojenia albo energetykę, ale wszystkie projekty wyrównywania szans to zbytek – ludzie mają sami (i tylko sami!) dbać o siebie. Stąd niechęć i sprzeciw: żadnych wspólnych polityk migracyjnych z innymi krajami, żadnych świadczeń dla Ukraińców, żadnego rozszerzania 500+, laptopów dla dzieci albo trzynastek dla seniorów.

Trzecie hasło zwrotu egoistycznego brzmi: jeśli już mają zabierać, to tym, którzy mają mniej ode mnie. Po dekadach wychowania pod wpływem gloryfikującej zamożnych i gardzącej biednymi propagandy III RP polski zwrot egoistyczny nie ma ludowo-populistycznego rysu zemsty na bogaczach, to walka klasy średniej z biednymi przeciwko interesom jednych i drugich, a bez żadnego uszczerbku dla bogatych. Na jeszcze większej obniżce podatków stracą miliony – budżetówka będzie głodzona bez granic, z polskich urzędników i nauczycieli zrobimy armię pracujących biednych, a zyskają najbogatsi. „Dobrowolny ZUS" byłby transferem do kieszeni przedsiębiorców spłacanym z przyszłych emerytur. Jeszcze większa kwota wolna od podatku – którą postuluje także opozycja – oznacza biedniejsze, oszczędzające na wszystkim i jeszcze bardziej uzależnione od władzy centralnej samorządy.

Amoralny familizm

Mamy sytuację odtwarzania się, choć w innych okolicznościach, opisywanego przez socjologów w PRL zjawiska pustki socjologicznej – identyfikowania się tylko z własną

eprasa.pl 9d19eaca0d

rodziną, dbania o dobrobyt ograniczony właściwie wyłącznie do niej, bez szerszego wiązania swojego losu z powodzeniem innych. Inne pojęcie dostarczane przez słownik nauk społecznych do opisania podobnej sytuacji to amoralny familizm. Oznacza przekonanie, że w czasach kryzysu należy rozluźnić normy moralne i stosować inne systemy wartości wobec „swoich", a inne wobec „obcych", w pierwszej kolejności zajmując się zaspokojeniem potrzeb najbliższych.

Jak na ironię do opisu dzisiejszej Polski stosujemy porównania z latami 80., tymczasem upadek więzi społecznych i zwrot ku rodzinnemu egoizmowi był dużo bardziej zrozumiały w czasach kryzysu i gospodarki niedoboru ostatniej dekady PRL niż w Polsce roku 2023. Ta bowiem według wszystkich dostępnych danych wychodzi z każdego kolejnego kryzysu lepiej niż inne państwa Europy i regionu, znajduje się na ścieżce trwałego i szybkiego wzrostu, właściwie już mogłaby być członkiem klubu 20 największych gospodarek świata.

Skąd niby to wiesz? – słusznie zapytacie. Jak każda podobna interpretacja rzeczywistości jest ona tworzona na gorąco. W moim przypadku na podstawie rozmów z badaczami, analitykami pracującymi dla partii politycznych, moimi kolegami i koleżankami dziennikarzami i socjologami, którzy znajdą chwilę, by podzielić się spostrzeżeniami ze swoich nowych prac. Ale mamy również twardsze dowody na słuszność hipotezy o zwrocie egoistycznym i przynoszą je badania nastrojów.

Pierwszą wskazówką jest stosunek do uchodźców z Ukrainy, a konkretnie widoczna niechęć do rozszerzania na Ukraińców zdobyczy państwa dobrobytu. Gdy bowiem zapytać Polaków, czy ogólnie są za pomocą Ukrainie i uchodźcom z Ukrainy – 85-90% odpowie: tak. Gdy jednak zapytać, czy uważają, że Ukraińcom powinny w Polsce przysługiwać takie same prawa i świadczenia, przede wszystkim świadczenie rodzinne 500+, odsetek odpowiedzi twierdzących spada do… 18%. Dziś jest ponad trzy razy więcej Polaków, którzy sądzą, że Ukraińcom nie należy dawać 500+ (60% plus 20% niezdecydowanych), niż tych, którzy popierają objęcie tej grupy świadczeniem. Zapytani o to, czy Ukraińców charakteryzuje „postawa roszczeniowa", częściej odpowiadamy twierdząco.

Połowa z nas uważa, że Ukraińcy powinni mieć dostęp do bezpłatnej służby zdrowia, a 80%, że po wojnie powinni wrócić do własnego kraju. Wiemy to dzięki badaniom zespołu LAB UW pod kierownictwem dr. Roberta Staniszewskiego, które mają tę wielką zaletę, że opierają się na ankietach powtarzanych w czasie – możemy więc na podstawie niezmiennej metodologii śledzić zmiany postaw. Jeśli chodzi o 500+, odsetek chętnych do podzielenia się z Ukraińcami spadł od kwietnia 2022 r. – gdy trwał jeszcze szok inwazji na Kijów – z i tak mało imponujących 28% do 18%, o ponad jedną trzecią. Odsetek niechętnych wzrósł o niemal połowę, z 41% do 60%. Urosły też wskaźniki niechęci w innych kwestiach – np. przekonanie, że Ukraińców charakteryzuje „inna kultura". Jedna z interpretacji tych liczb jest taka: chcemy pomagać, dopóki niewiele to nas kosztuje, nie tworzy u odbiorców pomocy „postawy roszczeniowej" i nie wiąże się z długotrwałym zobowiązaniem.

Nie inaczej jest ze świadczeniami społecznymi dla Polaków. Genialny pomysł Jarosława Kaczyńskiego z 800+ ku zaskoczeniu wielu nie wypalił – z co najmniej kilku powodów. Został źle (i z zaskoczenia) zakomunikowany, a Donald Tusk szybko ruszył, żeby go rozbroić. To wszystko prawda. Ale ten pomysł po prostu nie trafił w społeczne nastroje. W kilku różnych sondażach podwyżkę dobrze ocenia od 30% do 48% Polaków – najczęściej bliżej dolnej granicy tych widełek. To oznacza, że apetyt na rozszerzanie świadczeń osłabł – zgodnie z logiką zwrotu egoistycznego, czyli „po pierwsze: nie dawać". Propozycja, żeby dawać obcym – a jeszcze imigrantom spoza Europy – wydaje się w tym świetle podwójnie absurdalna i obraźliwa. Teraz, kiedy niszczą Paryż i podpalają europejskie miasta? TERAZ mamy się podzielić? Nic z tego.

Panuje przekonanie, że w czasach kryzysu należy rozluźnić normy moralne i stosować inne systemy wartości wobec „swoich", a inne wobec „obcych".

Instytucje publiczne zawodzą, to fakt, ale zagłodzone zawodzić będą jeszcze bardziej.

Solidaryzm społeczny – pogląd luksusowy

Dowodem na istnienie zwrotu egoistycznego jest także sukces Konfederacji – partii, która z odwrócenia się od państwa i obcięcia wszelkich świadczeń uczyniła swój program. Konfederacja odzwierciedla pewien rodzaj indywidualizmu, który doskonale wpisuje się w dzisiejsze nastroje i odpowiada przedstawicielom najróżniejszych klas społecznych. Ów indywidualizm mówi bowiem, że każdy i każda z nas poradzi sobie lepiej

eprasa.pl 9d19eaca0d

bez zobowiązań, ograniczeń i cudzej pomocy. Co więcej, faktycznie uciążliwe lub niekorzystne zmiany w naliczaniu składki zdrowotnej czy emerytalnej tylko uwiarygodniły Konfederację, podobnie jak fundament pod jej działalność położyło 30 lat ekonomicznego płaskoziemstwa głównego nurtu mediów w Polsce.

Skoro hasłem trwającego dziś w Polsce zwrotu egoistycznego jest: niech państwo nic mi nie daje, byleby nie zabierało, to czy może dziwić sukces partii, która z tej zasady uczyniła swój slogan wyborczy?

Obecnie solidaryzm społeczny i chęć podzielenia się z innymi dobrobytem to, jak mówią, pogląd luksusowy (*luxury belief*). Stać na niego tych, którzy nie boją się o swoje bezpieczeństwo i stabilność ekonomiczną. Wszyscy pozostali są za ograniczeniem redystrybucji.

Sorry, czas poświęceń się skończył – teraz wszyscy chcemy konsumować, póki można i póki nas stać, i z niczego nie rezygnować. I oczywiście na pewnym poziomie w Polsce – kraju, gdzie na wielu etapach życia naprawdę uczymy się radzić sobie sami – właściwie egoizm nie jest ani głupią, ani niezrozumiałą strategią.

Jednak za zwrotem egoistycznym stoi pewna okrutna ironia. Polacy mogą zagłosować jak karp za przyśpieszeniem Wigilii – dziś na państwowy socjal narzekają często ci, którzy sami są jego beneficjentami. W postaci dopłat do cen energii, tarcz antyinflacyjnych, płatnych urlopów rodzicielskich, 500+ i 800+, bezpłatnego szkolnictwa i ochrony zdrowia oraz polityki budżetowej – instytucje publiczne zawodzą, to fakt, ale zagłodzone zawodzić będą jeszcze bardziej.

Na Lewicę coraz częściej głosują nie biedni, lecz ci, którym niczego nie brakuje i którzy dojrzeli do przekonania, że chcą się dołożyć do bardziej egalitarnego społeczeństwa.

Czy dlatego na Lewicę coraz częściej głosują nie biedni, lecz przeciwnie, ci, którym niczego nie brakuje i którzy dojrzeli do przekonania, że chcą się dołożyć do bardziej egalitarnego społeczeństwa? Tak.

Ale zwrot egoistyczny nie kończy się na świadczeniach – sięga tak naprawdę wszystkiego, co mogą „dać" i „zabrać". Jeśli kogoś dziwi albo śmieszy zakłamany slogan Mentzena, że każdego Polaka będzie stać na dom, dwa samochody, wakacje i grill, to znaczy, że jeszcze owej dialektyki nie łapie. Slogan o samochodzie i grillu jest w pełni zrozumiały, jeśli dodać do niego obawę, że po drugiej stronie stoją jacyś Zieloni/Niemcy/Unia/Lewica i „Gazeta Wyborcza", którzy dokładnie to: samochód spalinowy, podróże samolotem, schabowego i podatki, chcą normalnemu człowiekowi zabrać. O to przecież chodzi – by nie oddać niczego, a samochód i grill są, dodajmy, wyjątkowo mocnym symbolem.

Polacy, którzy są chronieni przed najdotkliwszymi skutkami inflacji i wojny za granicą przez politykę publiczną, zagłosują za jej demontażem, aby dostać płatne szkoły i wizyty u lekarza, jeszcze większe kolejki do lekarzy i po miejsce w przedszkolu (także prywatnym), zero wsparcia socjalnego i uwolnienie cen energii, koniec tarcz i zerowego VAT na żywność i benzynę. I będą mogli pokonkurować sobie na wolnym rynku (bez płacy minimalnej i zabezpieczeń socjalnych) z milionem Ukraińców, Hindusów i Gruzinów – których być może nie chcą, ale szef kazał ściągnąć.

Nie byłby to pierwszy taki przypadek w historii, choć niewykluczone, że nasze społeczeństwo podejmie tę próbę z największym i niespotykanym wcześniej samobójczym entuzjazmem.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Andrew J. Bacevich

Andrew J. Bacevich gościł już na łamach PRZEGLĄDU 13 marca 2023 r. za sprawą głośnego i wyśmienitego tekstu „Hipokryzja i obrona cywilizacji". Nie trzeba zatem specjalnie go przedstawiać. Wypada może tylko przypomnieć, że ten amerykański żołnierz (absolwent West Point) to emerytowany profesor stosunków międzynarodowych i historii na Uniwersytecie Bostońskim. W swoich książkach i publicystyce występuje jako surowy krytyk kierunków amerykańskiej polityki zagranicznej. Jest jednym z najzagorzalszych krytyków amerykańskiej wojny w Iraku, w której zginął jego syn.

W prezentowanych fragmentach Bacevich pokazuje, w jaki sposób Ameryka, wykorzystując NATO oraz wojnę w Ukrainie, dąży do odnowy swojej pozycji imperium. Tekst ukazał się w witrynie internetowej The American Conservative 14 lipca 2023 r. Całość można przeczytać na: www.theamericanconservative.com/ukraine-the-empire-strikes-back/.

•

(...) Grey Anderson i Thomas Meaney [w zamieszczonym w „New York Timesie" 11 lipca 2023 r. artykule „NATO Isn't What It Says It Is" – NATO nie jest tym, czym mówi, że jest] przekonująco wywodzą, że – wbrew twierdzeniom architektów i obrońców Sojuszu – jego celem od samego początku nie było odstraszanie agresji ze Wschodu ani tym bardziej promocja demokracji, lecz „przywiązanie Europy Zachodniej do znacznie szerszego projektu porządku światowego kierowanego przez Stany Zjednoczone". W zamian za gwarancje bezpieczeństwa w okresie zimnej wojny europejscy sojusznicy Ameryki okazali uległość i ustępstwa w kwestiach handlowych oraz polityki pieniężnej. Wspomniani autorzy piszą, że w wypełnianiu tej misji NATO „okazało się nadzwyczaj skuteczne". (...) Europa stała się centralnym punktem powojennego imperium amerykańskiego.

Zakończenie zimnej wojny podało powyższe ustalenia w wątpliwość. Zwolennicy Sojuszu – desperacko

eprasa.pl 9d19eaca0d

Wielka odnowa amerykańskiego imperium

Rozsądna rewizja strategii bezpieczeństwa narodowego powinna się rozpocząć od ogłoszenia harmonogramu wycofania się z NATO

pragnący jego przetrwania – twierdzili, że musi on „wyjść poza dotychczasowy obszar działań albo przestanie istnieć". NATO przyjęło postawę aktywisty, wiodącą do lekkomyślnych interwencji w Libii i w Afganistanie. (…) Sprawę uratowało pojawienie się na scenie Władimira Putina. Rosyjska inwazja na Ukrainę nie tylko dostarczyła USA usprawiedliwienia pozwalającego zapomnieć o własnych porażkach militarnych doznanych po 11 września 2001 r. Umożliwiła także NATO przekształcenie się w główny instrument obrony Zachodu, i to – co najistotniejsze – bez konieczności ponoszenia krwawej ofiary czy to przez Amerykanów, czy Europejczyków. W tym kontekście rzeczywisty los Ukrainy jawi się jako coś drugoplanowego. Istota sprawy skupia się na podbudowaniu nadwerężonych amerykańskich aspiracji dotyczących globalnego przywództwa. W zasadzie jednomyślnie establishment systemu bezpieczeństwa narodowego stoi na stanowisku, że USA muszą pozostać jedynym światowym supermocarstwem, nawet jeśli odbywa się to kosztem ignorowania mnóstwa dowodów, że jest inaczej, że wyłonił się porządek wielobiegunowy. W tym sensie brawura Putina wręcz spadła z nieba.

NATO przyjęło postawę aktywisty, wiodącą do lekkomyślnych interwencji w Libii i w Afganistanie.

Jest w tym wszystkim element geniuszu. Pokonanie Rosji bez konieczności wyprowadzania na pole bitwy własnych wojsk pomaga przywrócić przekonanie o amerykańskiej niezbędności słabnące przez dziesięciolecia, które upłynęły od upadku muru berlińskiego. Dla Waszyngtonu, jak podnoszą Anderson i Meaney, prawdziwa stawka wojny w Ukrainie wykracza daleko poza kwestię, czyja flaga powiewa nad Krymem. Jeśli Ukraina „wygra" wojnę z Rosją – bez względu na to, jak zdefiniuje się „wygraną" i jak wielkie koszty muszą ponieść Ukraińcy – samo NATO oraz natowskie lobby w Waszyngtonie wysuną żądania windykacyjne. Zapewniam państwa, że najważniejsze europejskie narody wycofają się po cichu z obietnic zwiększenia wydatków wojskowych, a faktyczna odpowiedzialność za europejskie bezpieczeństwo ponownie spocznie na barkach USA. Ponieważ zbliża się setna rocznica wybuchu II wojny światowej, da to dodatkowy asumpt do pozostawienia wojsk amerykańskich na stałe w Europie. Uraduje to cały amerykański kompleks przemysłowo-zbrojeniowy, stanowiąc zapowiedź jego prosperity.

Prężąc muskuły, Stany Zjednoczone zmuszą bez wątpienia znacznie rozszerzone NATO do skupienia uwagi na egzekwowaniu „opartego na zasadach porządku międzynarodowego" w rejonie Azji i Pacyfiku, do skupienia się na Chinach jako przeciwniku. (…) Globalna obecność wojskowa USA zwiększy się. Spełzną na niczym wysiłki zmierzające do uporządkowania spraw wewnętrznych (w Stanach Zjednoczonych – przyp. P.K.). Palące problemy świata, takie jak kryzys klimatyczny, będą traktowane jako drugorzędne. Ale imperium, które nie musi mieć nazwy, przetrwa, co jest ostatecznym celem gry.

Prezydent Biden lubi mówić, że świat znalazł się w „punkcie zwrotnym", co sugeruje potrzebę zmiany kierunków myślenia. Jednak nadrzędną cechą jego podejścia do polityki zagranicznej jest zastój. Wykazuje przywiązanie do geopolitycznej logiki, która doprowadziła do powstania NATO w 1949 r. Wtedy, gdy Europa była słaba, a Stalin rządził Związkiem Radzieckim, ta logika mogła mieć pewne zalety. Ale dzisiaj znaczenie przypisywane NATO świadczy nade wszystko o bankructwie amerykańskiej myśli strategicznej i niezdolności do nadania priorytetu faktycznym interesom narodowym USA, zarówno w polityce zagranicznej, jak i wewnętrznej. Rozsądna rewizja amerykańskiej strategii bezpieczeństwa narodowego powinna się rozpocząć od ogłoszenia harmonogramu wycofania się z NATO i przekształcenia go w sojusz będący w całości własnością Europy i przez nią zawiadywany. Niemożność wyobrażenia sobie takiego kroku uczynionego przez Stany Zjednoczone dowodzi niedostatku wyobraźni w Waszyngtonie.

NATO powinno się przekształcić w sojusz będący w całości własnością Europy i przez nią zawiadywany.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

eprasa.pl 9d19eaca0d

Wszystkie odcienie kryzysu

Liban, kiedyś nazywany Szwajcarią Bliskiego Wschodu, dziś po zmroku tonie w ciemnościach

Dalia Mikulska
Korespondencja z Libanu

Kiedy trzy lata temu w bejruckim porcie zaczął tlić się ogień, na miejsce wezwani zostali strażacy: kuzynowie 22-letni Szarbel Hitti, 26-letni Nadżib Hitti i 37-letni Szarbel Karam oraz ich sześciu kolegów, a także 27-letnia ratowniczka medyczna Sahar Fares. Nie wiedzieli, że w magazynie, który mieli ugasić, składowany był azotan amonu. Trzech mężczyzn usiłowało otworzyć drzwi za pomocą metalowego narzędzia. Nie udało im się. Przechowywana długo w nieodpowiednich warunkach substancja wybuchła, niszcząc magazyn, port i zabijając dziesięcioro strażaków i jeszcze dwie setki istnień ludzkich.

Spośród ekipy strażackiej odnaleziono później tylko ciało Sahar. Ponieważ na miejscu nie było nikogo, kto potrzebowałby pomocy medycznej, młoda kobieta usiadła na wozie strażackim i zadzwoniła do narzeczonego. Opowiadała mu przez telefon, jak dziwne dźwięki dochodzą z magazynu. Jej przyszły mąż zaniepokoił się i kazał jej uciekać, ale było już za późno.

Mieli się pobrać za kilka miesięcy. Na pogrzebie 27-letniej dziewczyny zagrała kapela, która miała grać na ich weselu. Tłum żałobników na chwilę stał się tłumem weselników, podrzucając w górę białą trumnę, tak jak podrzuca się nowożeńców.

Rodziny kolegów Sahar z ekipy strażackiej nie miały nawet kogo pochować.

Wyczucie czasu

4 sierpnia 2020 r. życie straciły też dzieci tak małe jak trzyletnia Alexandra Nadżar i dwuletni Isaac Oehlers, syn pracowniczki ONZ. Zginął także Ali Mcheik, pracownik portu, któremu wypłata nie wystarczała na życie i musiał dorabiać. Akurat pracował po godzinach za dodatkowe 50 centów. I Dżad Samaha, który tego dnia był w szpitalu i przywitał na świecie swoje nowo narodzone dziecko. Oraz artyści, taksówkarze, wojskowi, pielęgniarki, kelnerzy. Matki i ojcowie, synowie i córki, mężowie i żony. Przynajmniej 215 osób. Tysiące zostało rannych. Niektórych znajdowano w gruzach jeszcze tygodnie po eksplozji. Ucierpiała w szczególności wschodnia część miasta, zachodnią ochroniły przed siłą uderzenia wysokie na 48 m silosy, w których przechowywano zboże. Libańczycy to dziś naród ze zbiorową traumą.

W sierpniu ub.r., równo po dwóch latach od wybuchu, libańskie władze ogłosiły, że uszkodzone tamtego dnia silosy się zawalą i nie jest to kwestia dni, ale godzin. Tak też się stało. Libańczycy przecierali oczy ze zdumienia, że te wielkie konstrukcje zawaliły się akurat 4 sierpnia, w rocznicę tragedii, w której zginęli ich bliscy lub oni sami ucierpieli czy stracili dobytek.

Tego dnia Libańczycy wyszli na ulice pod hasłem „4 sierpnia, wybuch wielkości ojczyzny". Nieśli podobizny dzieci, kobiet i mężczyzn, których pochowali dwa lata wcześniej, i hasła o sprawiedliwości, na którą wciąż czekają. Niektórzy mieli portrety polityków z napisem „Wanted", czyli ścigani za zbrodnię. Bo nie jest tajemnicą, że o niebezpiecznej substancji przechowywanej w porcie wiedzieli i ówczesny prezydent Michel Aoun, i inne osobistości, a mimo to nie ochronili obywateli przed tragedią, którą można było przewidzieć. Raport Human Rights Watch pokazał, że była ona wynikiem kombinacji zaniedbań i korupcji, ale politycy zasłaniają się immunitetem. Winnych wciąż nie ukarano, a prowadzący śledztwo sędzia sam boi się o swoje życie, bo wzywając polityków na przesłuchania, naraził się wielu wpływowym osobom.

O niebezpiecznej substancji przechowywanej w bejruckim porcie wiedzieli i prezydent Michel Aoun, i inne osobistości.

Zniszczenia

W wyniku wybuchu dach nad głową straciło ok. 300 tys. mieszkańców Bejrutu. Zniszczone zostało również

eprasa.pl 9d19eaca0d

Portrety strażaków, którzy zginęli w wybuchu, nie pozwalają zapomnieć o tragedii sprzed trzech lat.

Gdyby nie wsparcie Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej, pani Nawal nie stać byłoby na czynsz.

Pan Szarbel również otrzymał pomoc z PCPM na zapłatę czynszu.

biuro Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. Pracownicy mieli szczęście, bo opuścili budynek kilka minut przed eksplozją, która wstrząsnęła miastem tuż po godz. 18.

– Zwykle jestem w biurze nieco dłużej, ale tego dnia musiałam wyjść wcześniej – opowiada Ghina, pracowniczka PCPM. Dziewczyna pojechała do swojego rodzinnego Al-Batrun, nadmorskiej miejscowości położonej godzinę drogi od stolicy. Tam siła eksplozji nie dotarła. O tragedii Ghina dowiedziała się z mediów społecznościowych. Przerażeni Libańczycy pytali siebie nawzajem, co się dzieje, dzielili się informacjami i pogłoskami, a także zdjęciami zniszczeń i obrażeń.

Tak jak codziennie kolejnego ranka Ghina przyjechała do Bejrutu do pracy. Na miejscu zjawiły się też pracowniczki PCPM z Polski – Rana, Agnieszka i Ewa. Dziewczyny chodziły po zgliszczach i planowały, jak najskuteczniej pomóc bejrutczykom, którzy ucierpieli w wyniku tragedii. Odwiedziły m.in. jednostkę straży pożarnej w Karantinie.

– Nadal wspieramy tę jednostkę i za każdym razem, gdy tam wchodzę, przed oczami stają mi zniszczenia, które wtedy zobaczyłam – opowiada Ghina. – Budynek został już wyremontowany, ale portrety strażaków, którzy zginęli tamtego dnia, nie pozwalają zapomnieć o tragedii. Oprawiono też w ramkę kawałek czyjegoś stroju strażackiego. Tylko tyle zostało po człowieku. Nadal po plecach przechodzą mi ciarki, kiedy o tym myślę. Zaczęliśmy wtedy wspierać finansowo rodziny, których domy zostały zniszczone w wybuchu. Część osób musiała poszukać nowego schronienia, inni z pieniędzy, które od nas dostali, zapłacili za remont swoich mieszkań.

Wsparcie otrzymali mieszkańcy Bejrutu oraz Burdż Hammud, sąsiadującego z Bejrutem wielokulturowego miasta zamieszkanego m.in. przez Ormian, którzy schronili się tu podczas ludobójstwa pod koniec I wojny światowej.

Powolny upadek Szwajcarii

Wybuch w porcie to zaledwie wierzchołek góry problemów, które jak rak zżerają Liban od 2019 r. To wtedy libańska waluta zaczęła drastycznie tracić na wartości, a banki zamroziły Libańczykom konta. Do dziś nawet ci, którzy mieli pokaźne oszczędności, nie mają do nich dostępu. Kraj, który kiedyś był nazywany Szwajcarią Bliskiego Wschodu, teraz po zachodzie słońca tonie w ciemnościach z powodu przerw w dostawach prądu.

– Kiedyś bardzo widoczna była klasa wyższa i średnia. Dzisiaj większość Libańczyków żyje na podobnym poziomie. Część z nas po prostu nie ma pieniędzy, a inni mają je na rachunkach dolarowych, ale nie mogą ich wypłacić – wyjaśnia Ghina.

eprasa.pl 9d19eaca0d

Libańskie banki przestały również udzielać pożyczek. Chyba że kredytobiorca za otrzymane pieniądze zainstaluje panele słoneczne. W niektórych miejscach Libanu solary wyrastają więc jak grzyby po deszczu.

Dzięki środkom finansowym z programu Polska Pomoc Polskiemu Centrum Pomocy Międzynarodowej udało się wesprzeć wielu ubogich Libańczyków, których warunki życia drastycznie się pogorszyły przez panujący w kraju kryzys. PCPM rozpoczęło działania w Libanie w reakcji na kryzys syryjski, bo w tym kraju wielkości województwa świętokrzyskiego schroniło się ponad 1 mln uchodźców z Syrii. Wtedy jeszcze w Libanie był tylko kryzys uchodźczy. Od 2019 r. do słowa kryzys zaczęto dodawać nowe przymiotniki, takie jak ekonomiczny, paliwowy, energetyczny. Wielu Libańczyków znalazło się w równie dramatycznej sytuacji co Syryjczycy.

Tak jak pani Nawal, starsza kobieta, która mieszka z dorosłym synem z zespołem Downa i nie ma żadnego źródła zarobku. Gdyby nie wsparcie fundacji, nie byłoby jej stać na zapłatę czynszu. Wcześniej, kiedy kurs libańskiej waluty utrzymywał się na stałym poziomie (1 dol. był równy 1,5 tys. libańskich funtów), ich czynsz wynosił 100 tys. funtów, czyli równowartość ok. 67 dol. Od 2019 r. sztucznie utrzymywany kurs libańskiej waluty poleciał na łeb na szyję, a ceny produktów, usług i najmu poszybowały w górę. Dziś za 1 dol. dostaniemy 93 tys. funtów, a czynsz pani Nawal wynosi już 600 tys. funtów. Co prawda, to raptem 6 dol., ale ona nie tylko nie zarabia w dolarach – ona nie zarabia wcale. Dlatego pomoc PCPM w ramach programu Cash for Rent jest dla niej ogromnym wsparciem. Niestety, to wsparcie tymczasowe, bo z trudnościami w zapłacie czynszu mierzy się wielu zubożałych Libańczyków i syryjskich uchodźców. Starsza kobieta oszczędza jak może – ani ona, ani jej syn nie chodzą do lekarzy, choć mają liczne problemy zdrowotne. – Chyba musiałabym sprzedać wszystko, co mam – mówi.

W maleńkim Libanie schroniło się ponad milion uchodźców z Syrii.

Szarbel, ojciec dwójki dzieci, 12-letniego chłopca i 10-letniej dziewczynki, jest kierowcą szkolnego autobusu, latem nie pracuje i nie dostaje wypłaty. A w ciągu roku szkolnego zarabia niewiele ponad 1 mln funtów. Tyle samo kosztują jego leki, więc bierze je tylko wtedy, kiedy dostanie je od organizacji pozarządowych. Przed 2019 r. leki kosztowały ok. 3 tys. funtów, czyli wówczas 2 dol. Szarbel pracował wtedy jako kierowca taksówki. Za pieniądze, które dostawał od klientów, mógł wynajmować samochód (bo własnego nie miał) i tankować. – Żyłem na dobrym poziomie, stać mnie było na czynsz, benzynę. A później przyszedł kryzys i wszystko się zmieniło – wzdycha. Zapłata czynszu za duże mieszkanie, które rodzina wynajmowała od dwóch lat (850 tys. funtów), przerosła jego domowy budżet. Nie miał nawet u kogo się zapożyczyć, bo wszyscy jego bliscy są w podobnej sytuacji. Przez kilka miesięcy zalegał z czynszem. Rodzina została więc eksmitowana. Przez jakiś czas mieszkali u rodziny żony, aż z pomocą przyjaciela znalazł nowe mieszkanie i podobnie jak pani Nawal otrzymał wsparcie od PCPM w zapłacie czynszu.

Szarbel musiał jednak zrezygnować z generatora prądu, bo ten kosztuje 2 mln funtów. Kiedyś mieszkańcom Libanu wystarczało prądu z sieci (Libańczycy nazywają go prądem rządowym), jedynie czasami były przerwy w dostawach. Obecnie Szarbel ma prąd przez godzinę dziennie i nigdy nie wie kiedy. Wcześniej generatory były w rozsądnej cenie – ok. 60 tys. funtów, czyli przed 2019 r. równowartość 40 dol. Dziś Szarbel musiałby zapłacić dwukrotność swojej miesięcznej wypłaty. Nie trzyma więc nic w lodówce. Jeśli chcą coś zjeść – po prostu kupują i jedzą. Nie przechowują jedzenia, bo nie stać ich na marnowanie.

W ciemnościach

Dostęp do prądu zaczął drastycznie się pogarszać wkrótce po wybuchu w porcie. Gdyby do tej tragedii doszło dziś, mogłoby być tylko gorzej. Bo jednostki straży pożarnej także nie mają prądu. Czasem, gdy strażacy są wzywani na interwencję, muszą się ubierać i zbiegać do wozu po omacku albo przy świetle latarek z telefonów (jeśli mają naładowane baterie). Dlatego Fundacja PCPM w ramach projektu finansowanego ze środków Polskiej Pomocy instaluje strażnicom panele słoneczne. Bez nich prądu nie ma nawet w dyspozytorni, więc strażacy przyjmują zgłoszenia na prywatne telefony komórkowe, które ładują wyłącznie wtedy, gdy akurat działa generator.

Brakuje też paliwa do generatora, a za paliwo do wozu gaśniczego czasem strażacy muszą płacić sami.

Tragedia była wynikiem kombinacji zaniedbań i korupcji, ale politycy zasłaniają się immunitetem.

FOT. DALIA MIKULSKA (3), ARCHIWUM PCPM

eprasa.pl 9d19eaca0d

Znaczna większość nie dostaje wynagrodzenia za swoją pracę – są wolontariuszami.

– W całym Libanie jest tylko pięć jednostek straży pożarnej. Trzy w Bejrucie, jedna na północy i jedna na południu kraju. Cała reszta Libanu opiera swoje bezpieczeństwo na ochotnikach – tłumaczy Przemo Rembielak, strażak i pracownik PCPM. – To dla nich pasja, ale i jakaś forma spędzania wolnego czasu. Kiedy nie ma pożarów, siedzą w remizie, palą sziszę, piją kawę. Ale gdy w pobliżu się pali, zwykle to oni są wzywani do pomocy. W Polsce jest zupełnie inaczej; choć strażacy ochotnicy są bardzo potrzebni, bezpieczeństwo mieszkańców dużych miast opiera się na zawodowcach. Liban nie ma na to środków.

W czerwcu ub.r. aresztowano Ijada al-Masriego, jednego z ochotników. Mężczyzna uczestniczył w wypadku w drodze na interwencję (– Pewnie się śpieszył, a wóz strażacki to wielki pojazd, niełatwo go wyhamować – tłumaczy Przemo). To wtedy ochotnicy dowiedzieli się, że nie tylko nie dostają wynagrodzeń, ale nawet ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej czy zdrowotnego państwo im nie opłaca. I choć są pasjonatami, to było dla nich za dużo. Rozpoczęli strajk, ale i tak nie wolno im odmówić udziału w akcji.

Problemy libańskich strażaków można by mnożyć, podobnie jak problemy całego Libanu. – Staramy się przynajmniej zapewnić im lepsze warunki pracy – opowiada Przemo. – Wyremontowaliśmy remizy, w których pracuje po kilkadziesiąt osób, zapewniliśmy m.in. osobne łazienki dla kobiet i mężczyzn. To są ludzie, którzy ciężko pracują fizycznie i bardzo często ryzykują własnym życiem.

W całym Libanie jest tylko pięć jednostek straży pożarnej.

Frustracja

Libańczycy są sfrustrowani, widząc, jak ich kraj popada w ruinę. Młodych kusi emigracja. Ale nawet to nie jest takie proste, bo obok wszystkich rodzajów kryzysu w ubiegłym roku pojawił się jeszcze kryzys paszportowy – rząd zalegał z płatnościami francuskiej firmie drukującej paszporty, więc tymczasowo wstrzymano ich wydawanie. Tym, którym nadarzyła się okazja wyjazdu – np. propozycja pracy czy stypendium na studia zagraniczne – a nie mieli paszportu, szansa przeleciała koło nosa. Dziś dokumenty znów są wydawane, ale popyt na nie jest tak duży, że wiele osób koczuje całą noc pod budynkiem urzędu, by z samego rana ustawić się w kolejce.

Ludzie stopniowo tracą nadzieję. Zmienić swój kraj już próbowali. Wychodzili na ulice, protestowali. Protesty, które zaczęły się w październiku 2019 r., określane w Libanie mianem thaury, czyli rewolucji, niewiele zmieniły. Teraz Libańczycy zadają sobie pytanie: jaki kolejny kryzys nas czeka?

Dalia Mikulska

eprasa.pl 9d19eaca0d

ZA DUŻO GOŚCI

Europa zaczyna pękać w szwach pod naporem turystów

Mateusz Mazzini

Można do problemu podejść za pomocą dowodów anegdotycznych – pojedynczych scenek, których wszyscy gdzieś byliśmy świadkami. Pisać o słynnych muzealnych eksponatach, których nie da się już oglądać, bo są oblężone przez setki osób zainteresowanych głównie zrobieniem im zdjęcia telefonem. O wielotysięcznych wycieczkowcach wpływających do małych portów i wypluwających z siebie rzeki ludzi, które momentalnie wypełniają ciasne ulice starych miasteczek bałkańskich czy śródziemnomorskich. O ścieżkach do zabytków blokujących się, bo kolejni influencerzy potrzebują pustego tła do fotki na Instagram. O monotonii pamiątek, wszędzie identycznych i wszędzie tak samo agresywnie wpychanych nam do rąk. O hałasie walizek uderzających kółkami o bruk. O pijanych chłopakach wymiotujących na ulicach po wieczorach kawalerskich.

Można też spojrzeć na ten temat przez pryzmat danych czy zjawisk ogólnoeuropejskich. Bo sektor turystyki odpowiada, według obliczeń Parlamentu Europejskiego, za 4% sumarycznie liczonego PKB Wspólnoty. Odsetek ten jednak skacze do 10%, jeśli dodać branże z turystyką związane i od niej zależne: hotelarstwo, tanie linie lotnicze, sektor małych i średnich przedsiębiorstw, takich jak pralnie pościeli zdobywające klientów zwłaszcza w miastach zdominowanych przez najem krótkoterminowy. To również 5% wszystkich globalnych emisji dwutlenku węgla, a biorąc pod uwagę przyśpieszenie po dwóch latach pandemicznej pauzy, liczby te będą w najbliższym czasie tylko rosnąć.

Szczyt przez cały rok

Statystyki dotyczące niektórych części Starego Kontynentu przyprawiają o gęsią skórkę. Liczba stałych mieszkańców Wenecji po raz pierwszy w historii spadła poniżej 50 tys. (do 49 tys.), co oznacza, że na lagunie jest w tej chwili więcej miejsc noclegowych dla przyjezdnych niż osób realnie ją zamieszkujących. Miejskie centrum Florencji ma z kolei 150 tys. zarejestrowanych mieszkańców, ale według obliczeń tamtejszych aktywistów dokładnie drugie tyle – przez okrągły rok – spędza tam noc.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 9d19eaca0d

W tych dwóch włoskich miastach dawno zniknął podział na wysoki i niski sezon, jego szczyt trwa na okrągło. Podobnie w hiszpańskiej Barcelonie, gdzie liczba przyjezdnych wzrosła z 1,7 mln w 1990 r. do 9,5 mln w 2019 r. Albo w Paryżu, gdzie, jak pisze felietonista „Financial Timesa", pochodzący z Amsterdamu Simon Kuper, w ostatnich latach doliczono się w niektórych częściach miasta ponad 100 tys. obcokrajowców na kilometr kwadratowy. Lub we wspomnianym Amsterdamie, w którym dziennie ląduje ponad 200 samolotów tanich linii lotniczych.

Jakkolwiek na ten problem spojrzeć, obraz zawsze będzie załamujący, a przyszłość czarna. Europa tonie w turystach, zapędzając się w ekonomiczny i cywilizacyjny kozi róg.

To już nie jest żart ani przesada, turystyka wymknęła się Europejczykom spod kontroli. Nawet tego lata, rekordowego i zarazem katastrofalnego z powodu niespotykanych upałów, pożarów wybuchających od Portugalii, przez Tunezję, po Grecję, chaosu na lotniskach i trudności występujących także w podróżach mniej obciążających dla środowiska (jak chociażby pociągiem), wycieczkowicze szturmują najpopularniejsze kierunki. Media społecznościowe pełne są relacji ludzi, którzy fotografują się na tle słupów ognia, tak jakby katastrofa klimatyczna wręcz przyciągała. Magnetyzm apokaliptycznych wydarzeń nie budzi wątpliwości. Aczkolwiek chęć spędzania wakacji w miejscu, z którego być może trzeba będzie się ewakuować w środku nocy, bez możliwości spakowania walizki, naprawdę dziwi. I skoro nawet takie przesłanki końca świata nie są w stanie nas powstrzymać przed wyruszeniem na drugi koniec kontynentu w poszukiwaniu morza, słońca i relaksu – którego w takich warunkach raczej się tam nie znajdzie – trudno się spodziewać, że cokolwiek zmieni ten stan rzeczy.

Miasta nie do życia

Miasta, które są wśród turystów najpopularniejsze, coraz bardziej stają się miejscami nie do życia. Ludzi jest w nich po prostu za dużo. W Mediolanie na ikonicznym Piazza Duomo trudno czasami wydostać się z metra, bo z kilku wyjść jest doskonały widok na kościół, który stanowi idealne tło zdjęć na Instagram. Turyści blokują więc przejście, tworząc sztuczny tłum będący zagrożeniem dla porządku publicznego.

Wraz z nadmiarem turystów z centrów miast znikają fundamentalnie ważne elementy ich tkanki: sklepy spożywcze, biblioteki, księgarnie, szpitale, punkty usług rzemieślniczych. Nic z tego nie jest przecież turystom potrzebne, zwłaszcza jeśli zatrzymują się tu na jedną noc czy wręcz nie zatrzymują w ogóle, włócząc się przez pół dnia ulicami, a potem znikając. Koszty natomiast ponoszą ci nieliczni, którzy wciąż żyją tam na co dzień.

Jak niedawno wyliczył amsterdamski ratusz – a opisywał to również Kuper na łamach „Financial Timesa" – holenderskie miasto tak naprawdę na turystach nie zarabia, tylko się do nich dokłada. Tak gigantyczne zwiększenie populacji, a dokładniej rzecz nazywając, użytkowników przestrzeni publicznej, powoduje znacznie szybsze jej zużycie, a co za tym idzie, generuje potrzebę inwestycji, wydatków z budżetu miasta. Zyski natomiast nie zostają na miejscu. Największe hotele należą do globalnych sieci, spośród których wiele jest własnością amerykańskich czy coraz częściej arabskich funduszy inwestycyjnych.

Podobnie jest z liniami lotniczymi, szczególnie tanimi, które jak ognia unikają jakichkolwiek opłat za garażowanie swoich samolotów, bo zarabiają na nich wtedy, kiedy maszyny są w powietrzu. Do tego dochodzi AirBnB, gigant na rynku najmu krótkoterminowego, który wywołuje osobną plagę – wypychanie mieszkańców poza centrum, ściąganie mieszkań z rynku i zamienianie ich w apartamenty dla turystów. To też generuje koszty, bo w większości miast opłaty komunalne rozkładają się po równo na mieszkanie, nie na liczbę użytkowników, a na pewno nie biorą pod uwagę tych, którzy we wspomnianych mieszkaniach przebywają maksymalnie kilka dni.

Popatrzmy na ten schemat na przykładzie Florencji. Jeśli w zabytkowym palazzo, pięknej kamienicy z, dajmy na to, XVI w., znajduje się 12 mieszkań, na tyle części rozkładają się rachunki za wywóz śmieci i często za wodę. Nierzadko jednak z 12 mieszkań aż 11 przerobionych jest na wielopokojowe apartamenty. A te oznaczają więcej ludzi, więcej toalet, większe zużycie wody, więcej śmieci. Jeśli w budynku jest jedna rodzina, która w nim realnie mieszka, a nie pomieszkuje przez parę dni, to ona ponosi nieproporcjonalnie duże koszty obecności turystów w mieście. W dodatku właściciele mieszkań przeznaczonych na wynajem krótkoterminowy często nie zgłaszają swojej działalności w ratuszu, nie płacą przez to opłaty klimatycznej i zysk ze ściągania przez nich turystów jest żaden. Dodajmy do tego problemy infrastrukturalne czy prawne, np. fakt, że florenckie (tak jak weneckie, genueńskie czy zatybrzańskie) dachy objęte są ochroną konserwatorską i nie można na nich zamontować paneli słonecznych, bo naruszają oryginalną architekturę, nie mówiąc o tym, że szpecą turystom widok i tło do zdjęć. W skali globalnej hamuje to zieloną rewolucję energetyczną, w skali lokalnej podnosi rachunki. I znowu płacą ci, którzy tu mieszkają na stałe i którzy na turystach nie zarabiają w ogóle.

Stary Kontynent ma przed sobą tylko jedną drogę rozwoju – bycie parkiem tematycznym.

Trzymaj się od nas z daleka

Nic więc dziwnego, że analiza turystycznego przeciążenia Europy napędza kasandryczne wizje przyszłości kontynentu. Ilja Leonard Pfeijffer, holenderski pisarz mieszkający na co dzień we włoskiej Genui, w bestsellerowej powieści „Grand Hotel Europa" stawia tezę,

eprasa.pl 9d19eaca0d

że zakochany w swojej przeszłości, wielbiący nostalgię i na tej nostalgii zarabiający Stary Kontynent ma przed sobą tylko jedną drogę rozwoju – ewolucję w kierunku stania się parkiem tematycznym, skansenem dla bogatych Amerykanów, Azjatów i Arabów. Tym bardziej że zyski z turystyki są iluzoryczne i, co gorsza, uzależniające. Korzyści ekonomiczne opierania się na turystach to pieniądze małe, ale pewne, wstrzymujące natomiast jakikolwiek rozwój lokalnych społeczności i gospodarek. Młodzi ludzie z Wenecji, Florencji, Syrakuz, Dubrownika czy Granady mają coraz częściej do wyboru pracę w restauracjach, otwarcie własnego pensjonatu, bycie przewodnikiem wycieczek – albo emigrację. I coraz częściej wybierają to ostatnie, a ich miejsce zajmują migranci. Pracujący prawie zawsze na czarno, poza oficjalnym obiegiem pieniądza, w branżach w całości zależnych od ruchu turystycznego. Sprzątają, piorą pościel, dowożą rogaliki na śniadanie, ewentualnie są kierowcami uberów czy innych taksówek zamawianych przez aplikacje. Kiedy więc turystów zabraknie, jak miało to miejsce w pandemii, oni też stają się zbędni. Dalszego rozwoju tej katastrofy tłumaczyć nie trzeba.

Jedynym plusem opisanego tu zjawiska jest rosnąca świadomość negatywnych skutków miejskiej turystyki, przynajmniej na poziomie lokalnym. Władze superpopularnych miast starają się napływ gości zmniejszyć, a przynajmniej uregulować. Niestety, co najwyżej z ograniczonym skutkiem.

Wenecja w 2021 r. zabroniła wpływania do laguny wielkim statkom wycieczkowym – również z powodów środowiskowych, bo jednostki te niszczyły dno akwenu, stawiając pod znakiem zapytania przyszłość miasta na palach, które zaczynało coraz szybciej się zapadać. Ruch turystyczny ograniczyło to jednak w sposób niewielki, bo coraz więcej osób nocuje na kontynencie i do miasta wjeżdża na parę godzin. Nie pomogły warte 5 euro bilety wstępu na lagunę, liczba turystów wzrosła o 60% pomiędzy rokiem 2020 a 2021. Władze miasta w przyszłości chcą zamontować pół tysiąca kamer monitorujących ruch pomiędzy kanałami, a nawet ograniczyć liczbę wjazdów na lagunę do 100 tys. dziennie, ale nie jest pewne, czy to w ogóle się uda. Takie ograniczenia oznaczałyby naruszenie wielkich interesów, w tym globalnych korporacji.

Chorwacki Dubrownik zakazał używania walizek na kółkach w historycznym centrum. Chcesz tu nocować? Walizkę musisz nosić albo zamienić na plecak. To też wydaje się zmianą czysto kosmetyczną, bo nie odstraszy przecież turystów *low-cost*, którzy już wcześniej podróżowali z plecakami.

Globalnym liderem zniechęcania ludzi do odwiedzin stał się natomiast Amsterdam. Najpierw władze miasta rozpoczęły selekcję turystów, biorąc na cel zwłaszcza Brytyjczyków rozkochanych w przyjeżdżaniu do Holandii na wieczory kawalerskie i panieńskie, zakłócających spokój, upijających się i wracających do domu po dwóch-trzech dniach. Za takie ekscesy czekają ich teraz mandaty sięgające nawet kilkuset euro za pojedyncze wykroczenie. Drugim krokiem było wygranie batalii sądowej z lotniskiem Schiphol, dzięki czemu wymuszono zmniejszenie liczby lotów, zwłaszcza tanich linii. Wreszcie Amsterdam zaczął ogólnoświatową kampanię Stay Away – trzymaj się od nas z daleka. Dosłownie komunikuje turystom, że już ich nie chce. Bo szkodzą, śmiecą, niszczą przestrzeń publiczną. Aczkolwiek do sloganu dołączony jest drugi człon, więc jego pełne brzmienie to: trzymaj się z daleka, jeśli chcesz przyjechać tu, żeby rozrabiać. Kampania jest świeża, na mierzalne efekty przyjdzie poczekać, ale władze miasta są pełne nadziei – na ile to w tych warunkach możliwe.

Europa jest od turystyki uzależniona. Nie widać sposobu na ograniczenie tego zjawiska.

Przy okazji jednak Amsterdam robi coś, co tak szlachetne do końca nie jest. Zrzuca bowiem z siebie odpowiedzialność za turystykę. W ratuszu wymyślono, że jeśli zachęci się przyjezdnych do eksplorowania innych części kraju, miasto nie będzie tak obciążone. Ale żeby goście chcieli te miejsca odwiedzać, trzeba ich jakoś zwabić. Dlatego np. zamek w Muiden, miasteczku leżącym 15 km od centrum Amsterdamu, nazywa się teraz „zamkiem amsterdamskim", a plaża w Zandvoort, 40 km od miasta, to „plaża amsterdamska". I rzeczywiście, więcej jest tam teraz gości, zwłaszcza z zagranicy. Co sprawiło jedynie, że te same problemy, które miał z turystami Amsterdam, pojawiły się w miasteczkach znacznie mniejszych.

Europa jest więc nie tylko turystyką przytłoczona, ale też od niej uzależniona. Na horyzoncie nie widać sposobu, by zjawisko to ograniczyć, nie mówiąc o całkowitym zatrzymaniu. Skoro bowiem krytycznej refleksji nie wymusiło na nas dwuletnie przymusowe zamknięcie w domach, trudno sobie wyobrazić, co musiałoby się stać, byśmy przestali chcieć być turystami.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Wolny rynek i zamordyzm

Pamiętam doskonale, jak na początku naszej transformacji upowszechniano w Polsce mit, że gospodarka wolnorynkowa niejako z konieczności wiąże się z demokracją. Że jedna bez drugiej wręcz nie może istnieć. Mit ów nie został stworzony ad hoc. Jego historyczne źródło bije z pewnością w XIX-wiecznym liberalizmie spod znaku Johna Stuarta Milla. Ciekawe, że w Polsce kolportowany był wtedy, gdy całkiem świeże dane empiryczne mu przeczyły. Myślę o Chile pod rządami Pinocheta. To tam nastąpiło połączenie wolnego rynku (kapitalizmu) z zamordyzmem. Model ten został de facto wykorzystany także gdzie indziej, że wspomnę jedynie Koreę Południową, Chiny i Singapur.

Powyższy wstęp był mi potrzebny do tego, aby pokazać, że owa historycznie zrealizowana możliwość wciąż jest aktualna. I to nie w Azji czy w Ameryce Południowej, ale w Europie. Wystarczy popatrzeć na rozwój wypadków w Hiszpanii. Ale i bliżej – w Polsce. Oto rosną akcje partii, która bez ogródek mówi, czego chce: maksymalnej swobody gospodarowania i zamordyzmu. Mam na myśli rzecz jasna Konfederację. Jej hasła, łączące libertarianizm z antydemokratyzmem i potępieniem pluralizmu ideowego oraz politycznego, nacjonalizmem i fundamentalizmem katolickim, to wbrew opiniom wielu komentatorów wcale nie wyraz niespójności wewnętrznej, ale raczej propozycja wprowadzenia w życie ustroju, który historycznie tu i ówdzie już się ziścił. Przerażającego. I to w wielu wymiarach. W sferze nadbudowy, aby użyć tej formuły Marksa, z powodu wyraźnych tendencji antydemokratycznych i autorytarnych, by nie rzec totalitarnych, w sferze bazy (gospodarki) – z powodu ogromnej szkodliwości i zarazem naiwności. Co do tej ostatniej sprawy: program Konfederacji ilustruje chęć wejścia na ścieżkę, która prowadzi dokładnie w odwrotnym kierunku do tego, co najlepiej się sprawdziło w dotychczasowej historii ekonomicznej Zachodu. Chodzi mi o nordycki model kapitalizmu, w którym swobodzie gospodarowania towarzyszy silne i aktywne państwo, dbające o to, aby kapitalizm był starannie uregulowany, a ludzie mieli poczucie bezpieczeństwa socjalnego. O sukcesach tego modelu świadczą czołowe miejsca zajmowane przez państwa skandynawskie w rankingach jakości życia.

W tej sytuacji libertarianistyczny przepis na szczątkowe państwo i faktyczny anarchokapitalizm to de facto przepis na gospodarcze i społeczne nieszczęście. Że jest ono nieuchronne, przekonuje ponownie historia. I wcale nie chodzi tylko o ogromne kłopoty, które od lat przeżywa Chile, niemogące się otrząsnąć z neoliberalnej traumy zafundowanej przez „chłopców z Chicago" – grupę skrajnie wolnorynkowych ekonomistów wykształconych na tej uczelni w latach 70. XX w. Również Stany Zjednoczone oraz Wielka Brytania pod wpływem neoliberalnych/libertarianistycznych idei, głoszonych przez wspierających Pinocheta papieży wolnorynkowego ładu: Friedricha Augusta von Hayeka oraz Miltona Friedmana, a politycznie realizowanych przez Margaret Thatcher oraz Ronalda Reagana, zafundowały sobie ustrój ekonomiczny i społeczny, który doprowadził je do dzisiejszego kryzysu.

Najbardziej przerażająca w sprawie Konfederacji jest jednak skala jej poparcia wśród młodych. Nie przeszkadza im ani haniebny wymiar moralny postulatów tej partii z faktycznym socjaldarwinizmem na czele (przetrwać powinni najlepiej przystosowani, najsilniejsi, najbardziej bezczelni i pozbawieni skrupułów), ani niemądry przekaz ekonomiczny z głównym a nierozsądnym postulatem ciągłego obniżania podatków czy wręcz ich likwidacji. Ta ostatnia sprawa jest szczególnie ciekawa, ponieważ w wielu analizach mówi się, że przesłania ona wielu młodym ludziom wszystko inne. Świadczy to o ich braku wiedzy ekonomicznej i o wielkiej naiwności – na szczęście z wiekiem to podobno przechodzi; wiarę, że bez niczyjej pomocy można sobie doskonale poradzić, brutalnie weryfikuje życie. Bez podatków niemożliwe jest życie w solidarnej wspólnocie państwowej, w której słabsi mogą liczyć na wsparcie silniejszych (pomoc społeczna), a każdy może korzystać z usług społecznych na przyzwoitym poziomie (edukacja, służba zdrowia, transport publiczny, kultura). I ponownie już jeden rzut oka na świat pokazuje, że dobrze się żyje w krajach skandynawskich, gdzie są wysokie podatki, za to usługi społeczne na znakomitym poziomie, a nie w krajach, gdzie podatki są niskie, ale też na usługi społeczne nie ma co liczyć, ponieważ wszystko zostało sprywatyzowane i poddane logice działania rynku kapitalistycznego (Chile, kraje tzw. Trzeciego Świata). Na koniec pozostaje zadać pytanie, kto wyhodował potwora, o którym mowa. Moim zdaniem wszyscy ci, a było ich mrowie, którzy od początku naszej transformacji łączyli ultrakonserwatyzm od góry z ultraliberalizmem od dołu. Dziś mogą sobie pogratulować. Rzesze młodych ludzi wychowane przez ich ideologię wolnego rynku jako złotego cielca chcą wreszcie zrealizować ideały swoich ojców. Domagają się więcej kapitalizmu w kapitalizmie i więcej bezwzględności (egoizmu) w życiu. Pora emigrować. ■

Wiarę, że bez niczyjej pomocy można sobie doskonale poradzić, brutalnie weryfikuje życie.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Misjonarz

Marian Eile wychodził z założenia, że „Przekrój” nie może czytelników pouczać i zawstydzać. Powinien budzić w nich ciekawość, głód wiedzy, ambicje

Rozmawia Teresa Sołtysiak

MARIUSZ URBANEK
– autor biografii Mariana Eilego, założyciela i redaktora naczelnego „Przekroju”, „największego pisma na wschód od Łaby”.

„Do wielmożnego sułtana »Przekroju«” – tak pisał do Mariana Eilego Konstanty Ildefons Gałczyński. We wspomnieniach współpracowników, ale nie tylko, Eile to „geniusz”, „wizjoner”, „cudotwórca”. Czy aby nie przesadnie?

– „Przekrój” był dziełem życia Eilego. On zaś absolutnie mógł powiedzieć: „Przekrój” to ja. Był redaktorem, którego można postawić w jednym szeregu z największymi. Obok Mieczysława Grydzewskiego, naczelnego przedwojennych „Wiadomości Literackich”, u którego Eile terminował, Jerzego Giedroycia, twórcy paryskiej „Kultury”, czy Jerzego Turowicza, szefa „Tygodnika Powszechnego”. Ale w przeciwieństwie do „Przekroju” tamte pisma były elitarne, adresowane do intelektualistów. Eile chciał stworzyć tygodnik dla „inteligentnej sprzątaczki, prostego profesora i prymitywnego ministra”. Marzył o redagowaniu atrakcyjnego, apolitycznego magazynu – Kisiel uważał wręcz, że polskiego „Playboya”, który w PRL był oczywiście niemożliwy, więc „Przekrój” odbiegał od jego wyobrażeń.

Można powiedzieć, że zrobił coś z niczego? Wymyślił pismo, nie mając żadnych wzorców?

– Mógł wzorować się na pismach z Zachodu, ale przede wszystkim przyświecała mu misja podciągnięcia powojennego polskiego społeczeństwa na wyższy poziom. „Przekrój” był redagowany dla nowej inteligencji, dopiero tworzącej się w kraju, którego przedwojenna elita zginęła albo została na Zachodzie. Wychowywał czytelników „Przekroju”, pokazywał im, że kultura nie jest tylko kulturą sowieckiego Wielkiego Brata, ale ma wiele twarzy, także tę zachodnią. To mu się udawało, raz lepiej, raz gorzej, szczególnie w okresie stalinizmu. Jak napisał Ludwik Jerzy Kern, „»Przekrój« był malutką wyspą w morzu komunizmu”, ponieważ był odmienny od całej ówczesnej zideologizowanej prasy. Pozwalał odetchnąć czystszym powietrzem. Eile twierdził, że człowiekowi do życia jak tlen potrzebne są śmiech i rozrywka.

Mówił też, że „nie samym zebraniem i Sofoklesem” człowiek żyje. Gigantyczny sukces czytelniczy „Przekrój” zawdzięcza chyba także lekkiej formie wypowiedzi?

– „Pismo należy robić lekko” – to było motto Eilego. Nawet o sprawach poważnych należy mówić językiem żartu, czasem kpiny. Dobrze wiedział, że gdyby chciał lepić swoje pismo wyłącznie z literatury Kafki, Sartre’a czy malarstwa Picassa i Dalego, nigdy nie osiągnąłby nakładu pół miliona egzemplarzy. Wiedział, że w tygodniku muszą być teksty, które przyciągną ludzi o nieco niższych kompetencjach intelektualnych, ale mających ambicje. Dostawali krzyżówki, wierszyki, felietony o sporcie, fotografie leciutko roznegliżowanych kobiet, tzw. bardotek, a przy okazji porcję kultury najwyższego lotu. Eile wychodził z założenia, że „Przekrój” nie może czytelników pouczać, zawstydzać, obnażać ich kompleksów. Powinien budzić w nich ciekawość, głód wiedzy, ambicje. A to trzeba robić bardzo mądrze, żeby nikogo nie zrazić. Nie mówił więc: zobaczcie, jacy jesteście głupi, a my, najmądrzejsi redaktorzy, powiemy wam, jak żyć i co myśleć. To był jego patent na promocję kultury wysokiej – mimochodem.

Przykładem takiego podejścia był pomysł na propagowanie opery. Jerzy Waldorff, zamiast pisać uczone analizy czy sążniste recenzje ze spektakli operowych, streszczał ich libretta, zwykle przecież pełne przygód, czasem dramatyczne, czasem zabawne, Antoni Uniechowski zaś ilustrował je przepięknymi rysunkami. Dzięki temu ludzie dowiadywali się, że opery nie trzeba się bać. Że Puccini czy Verdi nie są nudni. Część

FOT. MARTYNA URBANEK

eprasa.pl 9d19eaca0d

pewnie chciała potem zobaczyć, jak opera wygląda naprawdę.

„Przekrój" wyróżniał się też rozpoznawalnym stylem graficznym.

– Eile, z wykształcenia prawnik, był utalentowany plastycznie, studiował na ASP, choć formalnego dyplomu nie miał. W „Przekroju" zatrudnił najlepszych grafików: Karola Ferstera, Antoniego Uniechowskiego, Zbigniewa Lengrena, Adama Macedońskiego, później Daniela Mroza czy Sławomira Mrożka. Tworzyli niepowtarzalną oprawę pisma. Ale było to możliwe nie tylko ze względu na świetny zespół, lecz także dzięki… maszynie pozwalającej drukować w kolorze, która ocalała po wojnie w Krakowie. To zdecydowało o lokalizacji redakcji. A dzięki tej maszynie słynne „kociaki" z okładek Wojciecha Plewińskiego nawet na kiepskim papierze wyglądały jak dziewczyny, a nie jak snopki na polu.

O tym, która trafi na okładkę, decydował Eile. Jak wspomina Plewiński, nie zawsze była to według niego najciekawsza, często najgorsza. Eile sygnował wszystko, co się ukazywało?

– To był człowiek orkiestra. Nadzorował proces wydawania pisma od początku do końca. Wymyślał tematy i tytuły, stałe rubryki, akcje, skracał teksty, pisał, rysował, ślęczał nad kolumnami, robił korekty. W życiu skrajny abnegat, w pracy był maniakalnym perfekcjonistą. Pieścił pismo wręcz erotycznie, wspominał Kazimierz Koźniewski.

Ponoć szarą eminencją pisma była Janina Ipohorska. Niektórzy mówią, że bez niej nie byłoby „Przekroju" z taką siłą oddziaływania.

– Ona była – żeby trzymać się metafory muzycznej – „orkiestrą kameralną". Z wykształcenia romanistka i plastyczka, pozostawała w cieniu Eilego, choć była pełnoprawnym członkiem tego tandemu. Mieli podobną wizję pisma, a ona przy okazji pełniła funkcje organizacyjne, pilnowała terminów, dyscyplinowała autorów. Raz w roku wyjeżdżali do Paryża. Oglądali tam nowe spektakle, wystawy i przywozili najnowsze książki, płyty. Żyjąc o bagietce i kawie, inwestowali w materiały przydatne w „Przekroju". Ipohorska stworzyła też najdłużej ukazującą się w peerelowskiej prasie rubrykę „Demokratyczny savoir-vivre", którą podpisywała pseudonimem Jan Kamyczek. Po hekatombie wojennej, kiedy kraj został pozbawiony znacznej części inteligencji, trzeba było ludzi uczyć wszystkiego: co się je nożem i widelcem, a co dwoma widelcami, kto komu powinien być przedstawiony, a kto pierwszy się ukłonić. Ipohorska nie odtwarzała przedwojennego kodeksu savoire-vivre'u, to nie miałoby sensu, dostosowała jego zasady do nowej rzeczywistości. Wymyślała też różne akcje, np. walkę z „cmoknonsensem", czyli zwyczajem całowania kobiet w rękę.

Walczyła również ze zmuszaniem gości, by zdejmowali buty, bo właśnie pani domu wyfroterowała podłogę. Do dziś to walka z wiatrakami.

– Tę walkę przegrała. Ale, zdaniem Kerna i Waldorffa, to w dużej mierze dzięki Kamyczkowi w okresie stalinowskim nie schamieliśmy i nie skretynieliśmy jako naród.

W sumie jednak Ipohorska to postać tragiczna ze względu na miłosne uwikłanie w związek z Eilem.

– Eile miał skomplikowane, dwoiste życie osobiste. Nigdy nie rozwiódł się z żoną Katarzyną, która ukrywała go podczas okupacji, a był przecież z pochodzenia Żydem. Ipohorska to przez lata „ta druga", choć w rzeczywistości nieformalna żona. Była jego towarzyszką w życiu i w pracy, ale ta sytuacja odbiła się na jej psychice. Stała się ofiarą związku z Eilem. Jak wspomina Maria Iwaszkiewicz, z rozpaczy zaczęła pić, aż nastąpił kompletny rozpad jej osobowości. Zachorowała, wyprowadziła się z Krakowa i umarła w sanatorium.

Eile miał chyba zawsze dobrą rękę do współpracowników, przyciągał ludzi utalentowanych.

– Dzięki temu, że pracował przed wojną w „Wiadomościach Literackich", znał ówczesnych „wielkich", więc po wojnie nikt mu nie odmawiał. W „Przekroju" publikowali wszyscy, którzy zostali po 1945 r. w Polsce: Iwaszkiewicz, Dąbrowska, Nałkowska, Szaniawski, i ci, którzy wahali się, czy wrócić: Wańkowicz, Słonimski, Tuwim, także Czesław Miłosz, zanim wyemigrował. W efekcie

„Przekrój" był redagowany dla nowej inteligencji, dopiero tworzącej się w kraju, którego przedwojenna elita zginęła albo została na Zachodzie.

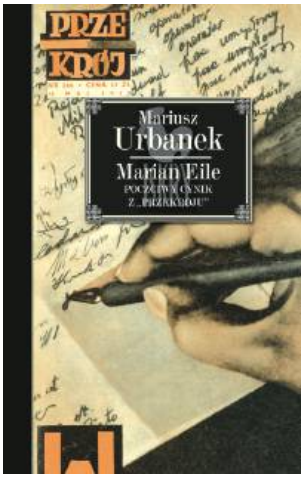

Eile twierdził, że człowiekowi do życia jak tlen potrzebne są śmiech i rozrywka.

Mariusz Urbanek – pisarz i publicysta, autor m.in. biografii Stefana Kisielewskiego, Władysława Broniewskiego, Jana Brzechwy, Juliana Tuwima, Kornela Makuszyńskiego i Jerzego Waldorffa. „Marian Eile. Poczciwy cynik z »Przekroju«" (Wydawnictwo Iskry) zwyciężył w plebiscycie „Najlepsza książka na lato" zorganizowanym przez serwis Granice.pl.

eprasa.pl 9d19eaca0d

nakład z numeru na numer rósł. Iwaszkiewicz opowiadał kiedyś, że jak opublikuje wiersz w „Twórczości", to nie przeczyta go pies z kulawą nogą, ale jak w „Przekroju", to zauważy nawet sprzątaczka, która doceni, że jest dobrym poetą… bo go drukują w „Przekroju"!

Eile dał szansę zaistnienia wielu artystom i publicystom, znanym wcześniej raczej w wąskich kręgach: Waldorffowi, Tyrmandowi, Uniechowskiemu, Mrożkowi, Mrozowi, Plewińskiemu. A przede wszystkim Konstantemu Ildefonsowi Gałczyńskiemu, który dzięki „Przekrojowi" zyskał sławę niewyobrażalną. Młoda inteligencja na przełomie lat 40. i 50. mówiła Gałczyńskim. „Przekrój" drukował co tydzień jego wiersze, felietony, Teatrzyk Zielona Gęś i nie tylko upowszechnił typ purnonsensowego, groteskowego humoru, ale też uczył Polaków czytać poezję. Czy dziś byłoby wyobrażalne, żeby „Polityka", „Newsweek", „Do Rzeczy" publikowały co tydzień liryczne wiersze, niechby nawet najwybitniejsze? Nie, bo to nie podnosi nakładu. Niewątpliwie Eile przyciągał ludzi utalentowanych, inteligentnych, otwartych na świat, dowcipnych, ceniących nieoczywistość i lekkość życia, wbrew szarej rzeczywistości.

Można mówić o wspólnym profilu psychologicznym?

– Na pewno lubili spędzać czas ze sobą. Atmosfera w redakcji – o czym świadczą dziesiątki wspomnień – była niesamowita. Ludzie przychodzili i nie chcieli wychodzić. Eile narzucał im swój tryb pracy. Skoro on zajmował się pismem 12 godzin na dobę, to oni musieli się dostosowywać. Siedziba redakcji przez lata mieściła się w trzypokojowym mieszkaniu przy ulicy Manifestu Lipcowego (ale wszyscy i tak używali przedwojennej nazwy, Piłsudskiego). Największy pokój zajmował Eile, w pozostałych tłoczyli się dziennikarze, graficy, maszynistki, goniec, sekretarka, korektorki. Praca nad gazetą odbywała się nawet w łazience. A skoro pracowali do późnego wieczora, to co mogli później robić? Szli na wódkę i w knajpie… dalej redagowali „Przekrój".

Krystyna Uniechowska, córka Antoniego, wówczas nastolatka, wspominała pobyty w redakcji: „Atmosfera była rodzinna. Wszyscy niezwykle emocjonalnie angażowali się w pracę, byli dla siebie jak »brat łata«. Nie wyczuwało się hierarchii. Była w tym niesłychana mądrość Eilego, który miał autentyczny, a nie tylko formalny autorytet. W redakcji panował kontrolowany chaos, wszędzie kręcił się żywy, wesoły pies Fafik".

– Fafik był „prawie terierem irlandzkim". Eile dostał go na imieniny i Fafik szybko skradł mu serce. Mówił o nim: „To jeden z moich najlepszych autorów, tylko draniowi nie chce się trzymać długopisu w łapie". Fafik dwukrotnie trafił na okładkę „Przekroju", widniał też w stopce redakcyjnej jako pełnoprawny członek zespołu! Ponoć to konflikt o psy stał się przyczyną odejścia z redakcji Jerzego Waldorffa, właściciela spaniela Afiego, poprzednika Puzona. Każdy z panów uważał, że to jego pies jest najpiękniejszy i najmądrzejszy, więc jeden musiał odejść. Oczywiście nie Eile.

Najbardziej przygnębiający w pana książce jest opis lawirowania i zapasów, które Eile toczył z ówczesnymi decydentami politycznymi, by utrzymać pismo przy życiu.

– W tamtych czasach wszystko było polityczne i musiało być pod kontrolą partii komunistycznej. Eile doskonale wiedział, w jakim kraju żyje, i starał się nie drażnić niedźwiedzia, co dzisiaj „prokuratorzy historii" uważają za kolaborację. Dla dobra pisma był gotów na ustępstwa i kompromisy. Na początku mógł jeszcze się łudzić, że władza zostawi „Przekrój" w spokoju, i pismo, które w jakimś sensie oswajało ustrój narzucony przez Sowietów i sprzedawało ludziom marksizm opakowany w bardziej strawne treści, będzie mogło w miarę normalnie funkcjonować, choć za cenę moralnych kompromisów. Ale „Przekrój" coraz bardziej kusił komunistycznych zarządców prasy. Pismo, które czyta co tydzień od 2,5 do 3 mln ludzi, jest doskonałym narzędziem manipulacji. Żadne z partyjnych mediów nie miało takiego nakładu i takiej siły rażenia. Żądano więc od Eilego kolejnych serwitutów, a on do pewnego czasu je płacił, bo uważał, że kulturotwórcza misja „Przekroju" jest ważniejsza.

Strategia gry z systemem – „Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek" – chyba nie do końca się powiodła?

– Ale historia przyznała rację Eilemu. „Przekrój" przeprowadził polską inteligencję przez „morze czerwone", wychował dwa pokolenia Polaków i podtrzymał ich kontakt z kulturą Zachodu. Eile powiedział kiedyś, że „Na Zachodzie zamieszczają reklamy coca-coli, żeby przeżyć – ja w tym celu publikuję zdjęcie Stalina". To kwintesencja tamtych czasów. Stalinizm obszedł się także z „Przekrojem" okrutnie, ale gdzieś od połowy lat 50. Eile robił pismo według następującej formuły: na początku tzw. strony reklamowe, czyli danina dla partii, a prawdziwy „Przekrój" zaczynał się później, od trzeciej, czwartej strony. Ludzie to wiedzieli i akceptowali.

To był człowiek orkiestra. Nadzorował proces wydawania pisma od początku do końca. Wymyślał tematy i tytuły, skracał teksty, pisał, rysował, robił korekty.

Pismo przeszło do historii. Musiałby się pojawić jakiś medialny geniusz, który byłby w stanie postawić je na nogi. Ale Eile też zaczynał od zera.

eprasa.pl 9d19eaca0d

„Przekrój” był atakowany ze wszystkich stron. Z lewej za drobnomieszczaństwo, brak większych ambicji i politycznego zaangażowania. Ale i ze strony opozycyjnej. Leopold Tyrmand napisał: „Wstąpiłem do »Przekroju«, twierdzy poczciwych cyników niewysokiego lotu”. Nie przeszkadzało mu to jednak współpracować z „Przekrojem”.

– Czy to na pewno była krytyka? A może jednak przewrotna pochwała? Tyrmand pisał, że Eile i „Przekrój” rozkładają marksizm za pieniądze marksistów, sprowadzając do Polski jazz, modę, amerykańską kulturę. Kiedy indziej powiedział przecież:

„Przekrój” wychował dwa pokolenia Polaków i podtrzymał ich kontakt z kulturą Zachodu.

„Będą o nas mówić, że jesteśmy ze stajni Eilego”. Według Kisiela Tyrmand był uosobieniem „przekrojowego” stylu. I on, i Eile nie akceptowali komunizmu, ale różnili się w kwestii granic kompromisu. Tyrmand był bardziej radykalny.

Prawie 25-letnie panowanie Eilego w „Przekroju” skończyło się chyba mało elegancko.

– W 1967 r. atmosfera wokół Eilego zaczęła gęstnieć. Czuło się już nadchodzącą antysemicką nagonkę i władze przypomniały sobie, że Eile też jest Żydem. Krytykowano niewłaściwą „linię polityczną” „Przekroju”, promowanie Zachodu i brak zainteresowania kulturą sowiecką. Na mieście krążyły już nazwiska kandydatów na nowego redaktora naczelnego. Zaszczuty Eile wyjechał do Francji, potem zrezygnował z funkcji, choć tak naprawdę zmuszono go do tego. Wrócił do Polski, bo nie potrafił żyć bez „Przekroju”, ale miejsca w piśmie już dla niego nie było.

Pismo po Eilem straciło swoją duszę i blask, przestało być fenomenem medialnym.

– To był powolny zmierzch, a po 1990 r. umieranie. „Przekrój” przechodził z rąk do rąk różnych właścicieli, wydawców, redakcji, tracąc charakter i czytelników. Dziś pod tym szyldem ukazuje się kwartalnik, który nawiązuje do dawnego „Przekroju”, ale ponoć, ze względu na koszty, wkrótce zmieni się w rocznik i stanie pismem dla kolekcjonerów.

Czy można dwa razy wchodzić do tej samej rzeki?

– Zmienił się kontekst polityczny i kulturowy. Kiedyś „Przekrój” był oknem na świat Polaków, ale po 1989 r. to okno przestało być potrzebne. Możemy korzystać z różnych źródeł informacji, mamy internet, który zjada prasę drukowaną. Pismo przeszło do historii. Musiałby się pojawić jakiś medialny geniusz, który byłby w stanie postawić je na nogi. Nie wiem, czy to możliwe, ale Eile też zaczynał od zera.

Teresa Sołtysiak

KSIĄŻKI

Katarzyna Gelles
Róża Luksemburg
Oficyna Wydawnicza Atut, Warszawa 2023

Kiedy w obawie przed carską policją opuszczała rodzinne strony, nikt nie przypuszczał, że ta osiemnastolatka rozpoczyna właśnie jedną z najbardziej spektakularnych karier w dziejach ówczesnej Europy. Na emigracji w Szwajcarii z wyróżnieniem ukończyła studia prawnicze i jako jedna z pierwszych w historii Polek obroniła doktorat. Potem zamieszkała w Niemczech, gdzie zaczęła udzielać się na wielu polach politycznej aktywności, zdobywając renomę jako „błyskotliwa i porywająca mówczyni, rasowy polityk i równocześnie oryginalna myślicielka”. Idee Róży Luksemburg nie odeszły całkiem w zapomnienie. Opowieść o jednej z najsłynniejszych socjalistek.

Ochotnicze straże pożarne
Pamięć. Historia. Współczesność
redakcja naukowa Janusz Gmitruk, Tadeusz Skoczek
Wydawnictwo Muzeum Niepodległości, Warszawa 2023

Artykuły w niniejszej publikacji przypominają o stuleciu zorganizowanego ruchu strażackiego. Cykl tekstów związanych tematycznie ze strażą pożarną otwiera Adam Czesław Dobroński refleksjami o etosie strażackim. Janusz Gmitruk przedstawia sojuszników OSP, Tadeusz Skoczek pisze o wizycie Jana Pawła II u strażaków, Beata Michalec ukazuje działania Warszawskiej Straży Ogniowej we wrześniu 1939 r., a Paweł Bezak prezentuje umundurowanie straży pożarnych w Generalnym Gubernatorstwie. Publikację zamyka wykaz materiałów źródłowych do dziejów straży ogniowej Haliny Murawskiej.

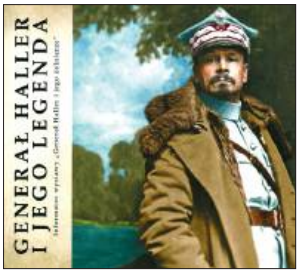

Generał Haller i jego legenda
redakcja Tadeusz Skoczek
Wydawnictwo Muzeum Niepodległości, Warszawa 2023

Publikacja jest informatorem wystawy „Generał Józef Haller i jego żołnierze”, która była częścią cyklu wydarzeń związanych z upamiętnieniem stulecia odzyskania suwerenności, przygotowanych przez Muzeum Niepodległości. Reprodukcje prezentowane na wystawie oraz w informatorze pochodzą ze zbiorów różnych muzeów oraz z archiwum prywatnego. Zdjęcia powstały w okresie I wojny światowej, lecz ukazują generała i jego bliskich także po roku 1945, już na emigracji.

eprasa.pl 9d19eaca0d

Violetta Waluk

Moda na Sokołowsko

Szanse na rozwój kulturalny czy zawrót głowy

Sokołowsko na Dolnym Śląsku – wieś, nawet nie miasteczko – zagubione gdzieś w Górach Suchych w pasmie Sudetów, przez lata niedostrzegane. W tym roku na początku turystycznego lata odbyła się tu wycieczka. To inicjatywa Lokalnej Organizacji Turystycznej Aglomeracji Wałbrzyskiej – od lat w każdy letni weekend chętni mogą zwiedzać z przewodnikiem niebanalne miejsce, poznając jego historię. Inaugurować sezon – to szczególne wyróżnienie. W Sokołowsku stawiła się spora grupa. Na filmiku w internecie można zobaczyć co najmniej kilkadziesiąt osób i… przeczytać nieprzyjemne komentarze, że strasznie ich dużo i że coś tam zadepczą.

Kiedyś mówili o Sokołowsku: zapyziałe, tylko psy wiadomo czym szczekają. Od razu można zaprotestować. Przede wszystkim było pierwszym w Europie prawdziwym uzdrowiskiem leczącym choroby płuc nowatorskimi jak na owe czasy metodami. Później nazwano je polskim Davos, co wśród badaczy dziejów budzi oburzenie. To Davos wzorowało się na Sokołowsku, a właściwie na Görbersdorfie, jak wtedy nazywało się dolnośląskie miasteczko. Po wojnie mocno straciło na prestiżu, a sukcesy na polu walki z gruźlicą podkopały sens jego istnienia. Leczono tu przez jakiś czas alkoholików, chorych równocześnie „na płuca".

W najbardziej nawet niekorzystnych dla Sokołowska czasach znajdowali się ludzie zauroczeni dawnym zdrojowiskiem i otaczającymi je górami. Do pobliskiego schroniska Andrzejówka, z równie ciekawą historią, można przewędrować stąd w kilka godzin. A spacer do leżących na trasie ruin zamku Radosno polecał lżej chorym sam dr Brehmer, twórca kurortu. Były nawet plany zbudowania wygodnej ścieżki, częściowo zrealizowane przez następców słynnego doktora.

Tylko cud…

W dawnym Görbersdorfie fascynował szczególnie główny obiekt sanatoryjny, czynny jeszcze jakiś czas po wojnie i nazwany wtedy Grunwaldem. Wygląda jak gigantyczny, fantazyjny zamek. Wyróżnia go czerwień elewacji z klinkierowych cegieł oraz wykusze, łuki okienne o łagodnych lub ostrych kształtach, balkony zdobione ceglanymi ornamentami, wymyślne kolumny i filary, wieże i wieżyczki, do tego bogata dekoracyjna blacharka. Ten styl określono jako neogotyk z delikatnymi wpływami orientalnymi. Jak był niesamowity, widać na starych fotografiach. Jednak przez lata z godnością obracał się w ruinę. Po wojnie wykorzystywano część gmachu, długo potem można było zobaczyć przez brudne szyby składowane tu stare łóżka szpitalne. Na najniższej kondygnacji działał ośrodek kultury, z interesującą ofertą artystyczną. Odbywały się tu nawet bale sylwestrowe. Ośrodek działał jeszcze wtedy, gdy górne piętra kompletnie się posypały.

Aż przyszedł czas, gdy zabytkowy gigant został całkiem opuszczony. Oczywiście podejmowano próby znalezienia dla niego gospodarza. Na początku lat 90. zjawili się kupcy. I wśród mieszkańców rozeszła się wieść, że chcą w ich Grunwaldzie urządzić ośrodek dla terminalnie chorych na AIDS z całej Europy. W tamtym czasie ludzie histerycznie bali się choroby, więc łatwo sobie wyobrazić, co działo się w Sokołowsku. Do transakcji nie doszło i nie wiadomo, czy naprawdę takie były plany.

Potem jeszcze kilka razy ktoś próbował zagospodarować „zamczysko", zjawiały się nawet maszyny budowalne. Aż pewnego razu zwariowany piroman po prostu to podpalił. To był straszny widok, jak wspomina długoletnia mieszkanka Zofia Przygoda, obecnie sołtyska. Ściana ognia i wylatujące na sporą odległość płonące belki i inne części budowli. Strażakom z trudem udało się uchronić sąsiednie domy. Mówiono, że to cud, że nie spłonęła znaczna część Sokołowska.

eprasa.pl 9d19eaca0d

Sokołowsko było pierwszym w Europie prawdziwym uzdrowiskiem leczącym choroby płuc nowatorskimi jak na owe czasy metodami.

Festiwal Hommage à Kieślowski.

Wielu jego miłośników i przyjaciół stwierdzało wtedy z bólem, że to już koniec, dla Grunwaldu nic się nie da zrobić. Przy głównej ulicy stał więc częściowo osmolony, rozsypujący się coraz bardziej, z zapadającym się dachem. Przejeżdżając obok, niektórzy odwracali wzrok – tylko czekać, aż zapadnie decyzja o rozbiórce. Chyba że stanie się kolejny cud.

„Cud" przybył z Warszawy. Już od dwóch lat Bożenna Biskupska, znana artystka, nazywana przez krytyków sztuki eksploratorką przestrzeni malarskich, rzeźbiarskich, sztuk instalacyjnych, wideo i performance, szukała bezskutecznie odpowiedniego miejsca do działań artystycznych. Jej lokum w Podkowie Leśnej stało się zbyt małe. Grunwald i Sokołowsko zachwyciły ją od razu. I dobrze, że tak szybko podjęła decyzję o kupnie dawnego sanatorium, przyznała w jednym z wywiadów, bo gdyby przyjrzała się dokładniej zapadniętej w znacznej części powierzchni dachu, zarwanym kominom, to nie wiadomo, czy odważyłaby się. A tak nawet córka Zuzanna Fogtt, z wykształcenia architektka, nie zdążyła wyrazić swojego zdania; zresztą ona również szybko uległa fascynacji. Dołączył Zygmunt Rytka, ceniony artysta sztuk wizualnych, prywatnie partner Biskupskiej, dziś już nieżyjący.

Biskupska i jej bliscy nie należeli do twórców pragnących oddalenia i spokoju. Chcieli przyciągnąć do Sokołowska pokrewne dusze, stworzyć im warunki do działania. Stąd oryginalne festiwale – muzyki eksperymentalnej Sanatorium Dźwięku czy sztuk efemerycznych Konteksty. Ich Fundacja In Situ, która zawiaduje tym wszystkim, przejęła też archiwum Krzysztofa Kieślowskiego i opiekę nad festiwalem jego imienia.

Potem już poszli za ciosem i zakupili kolejne obiekty. Jak można było sobie odpuścić choćby kinoteatr, w którym Kieślowski po raz pierwszy zetknął się ze światem filmu? Były plany sprzedania go na hurtownię... Albo inną sąsiadującą z Grunwaldem stylową ruinę, w której po remoncie miał znaleźć miejsce klub seniora? Starania fundacji przyniosły już efekty. Wystarczy spojrzeć na dawne sanatorium na jednym z filmów z 2020 r., pokazanym na Kontekstach. Widać tu, jak świetnie do siebie pasują prace Biskupskiej i wnętrza odratowanego obiektu.

Popularność

Sokołowsko stało się modne tak bardzo, że niektórzy wręcz oszaleli na punkcie tej górskiej wioski. Po kilkudniowym pobycie stwierdzali, że to ich miejsce na ziemi. Kupowali więc nadgryzione zębem czasu lokale za nieadekwatne do ich wartości pieniądze.

Szaleńczej modzie na miłość do Sokołowska przysłużyły się dwie powieści: „Empuzjon" Olgi Tokarczuk, pierwsze jej dzieło już po otrzymaniu Nagrody Nobla, i „Gorzko, gorzko" Joanny Bator. Ta ostatnia książka bardziej dotyczy pobliskiego Unisławia Śląskiego i Wałbrzycha, ale i tak Sokołowsko było w powieści niezbędne. Cóż byłoby wspanialszego dla miłośników świata Tokarczuk i Bator niż wędrówki śladami ich bohaterów? Dawny kurort nie mógł nie trafić na listę miejsc, gdzie zagościły Góry Literatury – prestiżowa impreza pod patronatem i z udziałem noblistki. Zakończone niedawno tegoroczne Góry cieszyły się ogromnym zainteresowaniem. Oceniono, że to największe w tym roku spotkanie artystyczne.

Modzie na Sokołowsko przysłużyły się dwie powieści: „Empuzjon" Olgi Tokarczuk i „Gorzko, gorzko" Joanny Bator.

FOT. MARCIN RUTKIEWICZ/REPORTER, SOKOŁOWSKO FESTIWAL FILMOWY HOMMAGE À KIESLOWSKI

eprasa.pl 9d19eaca0d

Ucichło już po odwiedzinach tłumu gości. Ci obejrzeli kolejny film w kinie, gdzie Kieślowski… Odwiedzili Grunwald, podziwiając prace Bożenny Biskupskiej i ciesząc się z postępu robót renowacyjnych. Powędrowali śladem bohaterów „Empuzjonu", chłonąc powiew dawnych czasów. I wreszcie w dni powszednie zapanuje spokój, w weekendy przybędzie turystów.

Taka sobie spontaniczność

Prawda, dla uciekinierów z wielkich miast to oaza spokoju i zieleni zatrzymana w czasie, z kolei „starzy" mieszkańcy chcieliby tu normalnie żyć, mieć „swoją" Biedronkę czy Dino i miejsca pracy. Dość już tłuką się po wszystko do okolicznych miast. Kiedy gruchnęła wieść, że w Sokołowsku ma ruszyć budownictwo wielorodzinne, a niektórzy zaczęli marzyć o wielkim, nowoczesnym hotelu, takim jak w górskich kurortach, zawrzało nie tylko na forach społecznościowych. Pani sołtys wyraźnie zdegustowana jedynie pokiwała głową. Przecież to miałby być nie za duży blok mieszkalny, bardzo potrzebny. Choćby po to, by personel medyczny tu zamieszkał, a nie męczył się dojazdami. W Sokołowsku wciąż działają ośrodki lecznicze. Na razie nikt już o tej budowie nie mówi.

Nowo przybyli nie zawsze traktują lokum w Sokołowsku jako coś na stałe, dla nich to letni domek. Zjawiają się tu raz na kilka miesięcy albo i rzadziej. Tymczasem dla 30-latka Miłosza Lassoty, który rok temu przeniósł się tu na dobre, magnesem nie były mroczne klimaty czy artystyczna niezwykłość. Kocha góry, a tu wystarczy wyjść z domu, by znaleźć się na szlaku. Wcześniej mieszkał w Wałbrzychu, niby też do gór nie miał daleko… Teraz blisko ma również do uroczych tras czeskich. Granicy tu praktycznie nie ma, wędruje się po polskiej, to znów po czeskiej stronie. Miłosz z górami związał się zawodowo. Zdał egzamin i jest oficjalnie przewodnikiem sudeckim. Popularność Sokołowska z pewnością mu pomaga.

Ci nowi są przeważnie głośni, w przenośni i dosłownie. Na forach społecznościowych reagują na wszystko, co się dzieje lub może zdarzyć, choćby na wieść o budowie bloku mieszkalnego. Chętnie dzielą się wrażeniami. Podkreślają, w jak wyjątkowym miejscu się znaleźli. „Dzikie owce", dwie dziewczyny, które tu osiadły i tak nazwały swoją firmę, skarżą się jednak na dziwny, wilgotny klimat Sokołowska i inne trudności. Chyba nie wiedzą, że właśnie to przesycenie powietrza wilgocią miało uzdrawiająco wpływać na gruźlików. Tak w każdym razie uważał dr Brehmer.

Wszystko, co mogłoby negatywnie oddziaływać na miejscową przyrodę, jest z uwagą śledzone przez Oko na Soko, poważną grupę kierowaną przez ludzi z tytułami naukowymi. Zareagowała ona m.in. na próbę zagospodarowania łąki z cennymi okazami roślin, zamieszkanej przez ginące gatunki zwierząt. Oko na Soko wykazało nierzetelność ekspertyz i łąka z pewnością ocaleje.

I znów warto wspomnieć, że troska o zachowanie tych unikatowych wartości ma już swoje tradycje. Na początku wieku grupa naukowców z Politechniki Wrocławskiej włączyła się do walki o powstrzymanie apetytu kopalni melafiru, eksplorującej tereny w niedalekich górach, tuż przy schronisku Andrzejówka. Tędy wiodą szlaki do Sokołowska, najkrótszy ma 2,5 km, po drodze mija się ruiny zamku Radosno. Tak, tego, który polecał jako cel spacerów dr Brehmer. Jeśli kopalnia skonsumuje kolejne wzniesienia, będzie to miało katastrofalny wpływ na mikroklimat Sokołowska.

Na swoje nieszczęście ta ziemia kryje wysokiej jakości melafiry, surowiec ważny dla gospodarki. KSS Bartnica, jak brzmi oficjalna nazwa firmy wydobywczej, od lat walczy o przedłużenie licencji, zwiększenie limitu i obszaru działania. Przynajmniej na razie wygląda na to, że jej starania spełzną na niczym. Choć kopalnia wylicza, ile dotąd zrobiła dla odnowy terenów po swojej działalności, ile drzewek posadzono, jakie zastosowano nowoczesne metody rekultywacji itd. No i jeszcze, jaką wagę zakład przykłada do właściwego transportu urobku. Zrozumiałe, że nie brakuje zwolenników rozwoju kopalni wśród mieszkańców gminy Mieroszów i pewnie znaleźliby się tacy również w Sokołowsku. Mieć potentata na swoim terenie to realne i natychmiastowe korzyści. A przyroda, a klimat? Przyszłość kopalni, zagrażającej środowisku znacznej części gminy, w tym Sokołowska, od lat budzi emocje. Stanowi też gorący temat kolejnych kampanii wyborczych do samorządu.

Emocje rozpalają także sprawy dosłownie przyziemne, np. zieleń – gdzie i jak ma rosnąć. Są zwolennicy starannego wykaszania i trzymania jej w ryzach pod każdym względem. Starzy mieszkańcy przypominają wtedy, że nie ma tutaj służb sprzątających i samemu trzeba to robić. Przy większym zakresie prac ogłasza się sprawdzony od lat czyn społeczny. Wtedy solidarnie nie zgłaszają się ani nowi, ani zasiedziali. Na placu boju zostaje pani sołtys i kilka emerytek. W sprawie roślinności jest też inna propozycja – pozwolić jej na swobodny wzrost. Zieleń spontaniczna – tak nazywa się ten sposób na trawy i wszystko inne, co porasta. Wyjaśniła to zebranym pani niedawno przybyła do Sokołowska, ale nie wzbudziła entuzjazmu. Pytano, co będzie, jak wraz z bujną trawą pojawią się np. żmije, i to w każdym punkcie wsi.

Czy moda na Sokołowsko potrwa dłużej, czy przeminie, gdy pojawią się nowe fascynacje innym miejscem, jedynym w świecie? W każdym razie zawsze będą ludzie, którzy pokochają ten kawałek Dolnego Śląska.

Violetta Waluk

Nowo przybyli nie zawsze traktują lokum w Sokołowsku jako coś na stałe. Zjawiają się tu raz na kilka miesięcy albo rzadziej.

eprasa.pl 9d19eaca0d

Oko w oko

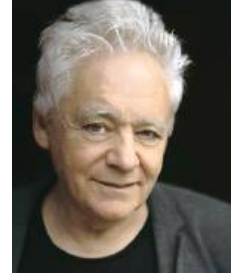

Tomasz Jastrun

Ostra Brama

Kilka dni w Wilnie. Książkę „Abecadło" Miłosz zaczyna słowami: „Wilno było zawsze miastem na pograniczu baśni, choć mieszkając tam, niezupełnie zdawałem sobie z tego sprawę". Lepiej teraz rozumiem słowa poety. Ale czy samo dzieciństwo i młodość nie są krainą baśni? Chociaż mam już swoje lata, Wilno współczesne też wydaje mi się magiczne. Dzielnie wspiąłem się na Górę Giedymina, gdzie baszta i widok z wysoka na miasto. Po drugiej stronie rzeki skupione ciasno wieżowce i apartamentowce, dobrze to wygląda, mała szklana dżungla, która nie spiera się ze starą częścią miasta. Na ulicach wyczuwam większą wrażliwość na estetykę niż w Polsce, oryginalne witryny sklepów, bardzo czysto. Zapach zachodniej Europy, nic z woni Wschodu. Przy kościele św. Anny – niezwykły gotyk – pomnik Mickiewicza z lat 80., fatalny, ale nie lepszy pomnik Giedymina na placu przed katedrą, z lat 90. Upadek sztuki pomnika w naszej epoce ma charakter ponadnarodowy. Giedymin, dziadek Władysława Jagiełły, założył Wilno w 1323 r. Dlatego teraz wielkie obchody 700-lecia. Przy pomniku Mickiewicza tabliczka informuje: „Poeta, filomata, pochodzący z rejonu historycznego Wielkiego Księstwa Litewskiego, jeden z najsłynniejszych przedstawicieli XIX-wiecznej literatury romantyzmu". Dyplomatycznie ani słowa, że był polskim poetą. A to polskie Wilno było przed wojną wielokulturowe i wielojęzyczne, bardzo dużo Żydów, Rosjan, Białorusinów, mozaika kultur. Teraz obok litewskiego dominuje polski, słyszy się rosyjski i ukraiński, też języki zachodnie, tylko już nie słychać jidysz. Jest na Litwie duża mniejszość polska, dzieci i wnuki tych, co nie przesiedlili się na Zachód po wojnie, gdy powstała sowiecka Litwa. Zwykle ludzie prości, wiejscy i niestety zwykle skonfliktowani z Litwinami, do niedawna prorosyjscy.

Upadek sztuki pomnika w naszej epoce ma charakter ponadnarodowy.

Źródła litewskiej niechęci i obaw wobec Polski mają korzenie w okresie międzywojennym i można je zrozumieć. Słynny pozorowany bunt gen. Żeligowskiego w roku 1920 – „bunt" na tajny rozkaz Piłsudskiego – i zajęcie przez polskie wojska Wilna i Kowna, przyznanych traktatami międzynarodowymi Litwie (Litwini w Wilnie stanowili mniejszość). Stosunki dyplomatyczne między Polską i Litwą były zerwane. W 1938 r. Polska zagroziła Litwie wojną, jeśli nie zostałyby nawiązane. Tak sformułowane ultimatum miało bezprecedensowy charakter w dziejach dyplomacji, było jakimś kuriozum. Polska nie domagała się przecież od Litwy jakichkolwiek korzyści terytorialnych, politycznych czy gospodarczych. Jedynym warunkiem było nawiązanie stosunków dyplomatycznych. I Litwini ulegli. Ale zaraz i tak wszystko zmiecie walec II wojny światowej.

A teraz polsko-litewskie animozje zmiata w zaułek historii wojna na Ukrainie. Tu też na każdym kroku znaki solidarności z Ukrainą. Kościoły piękne, bardzo polskie i tak liczne, że trudno wszystkie zwiedzić. Uniwersytet, gdzie studiowali Mickiewicz, Miłosz, liczni wielcy Polacy, ogrody za pałacem prezydenckim, z fontanną i niezwykłym widokiem na stare Wilno. Obiad w ogródku przytulnej restauracji Gabi, przy wąskiej uliczce. Informacja w trzech językach, też po polsku: „W tym podwórku odpoczywał i tworzył poeta Czesław Miłosz, z czego jesteśmy dumni i wdzięczni losowi". Ale mojemu Antkowi nie smakowało zamówione litewskie danie cepelin, co zepsuło nam nastrój.

Cmentarz Na Rossie widziałem przed wieloma laty nocą i zupełnie inaczej go pamiętam, właśnie mrocznie. Teraz w promieniach słońca wielka płyta z sercem Piłsudskiego. Czuję jednak wzruszenie. Jednak, bo przecież coraz bardziej jestem krytyczny wobec dyktatorskich zapędów marszałka. Ale miewał on chwile wielkości, klasę i bliski mi był w żywiołowej niechęci do polskiej prawicy. Wiele pięknych, starych grobów, cmentarz na wzgórzach, jakby na wysokich falach, miejscami zadbany, ale liczne groby już umierają.

Litewska elita mówiła po polsku, chociaż litewski należy do innej grupy językowej. Pamiętam, jak w roku 1989, tuż przed przewrotem, odwiedziłem muzykologa Vytautasa Landsbergisa, miejscowego dysydenta, był poruszony i zadzwonił do Juozasa Tumelisa, swojego współpracownika. Powiedział po polsku: „Czy wiesz, że jest u mnie syn Mieczysława Jastruna?". Polska była dla sowieckiej Litwy oknem na świat, na kulturę Zachodu. A Landsbergis wkrótce zostanie prezydentem Litwy.

Piwo i deser z widokiem na Ostrą Bramę, zmrok, więc Matka Boska tam już świeci. I nagle wielki żal, że Wilno nie należy do Polski, ale zaraz myśl: przecież między naszymi krajami nie ma już granicy, więc zamiast Unii Polsko-Litewskiej mamy o wiele większą Unię Europejską. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy przekroczyliśmy granice. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

MIĘDZY OKŁADKAMI

Juliusz Machulski
Wisząca małpa
Sonia Draga, Katowice 2023

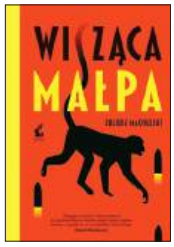

Wkład Polaków w dzieje jest co najmniej taki jak radzieckich uczonych w wynalazczość. Nie byłoby „Dziewczyny z Ipanemy" ani Gagarina w kosmosie, ani muru berlińskiego, gdyby nie uczestnicy pewnej imprezy urodzinowej w partyjnym ośrodku na Kaszubach. A popłynie jeszcze opowieść, jak rozpętałem powstanie warszawskie. Jest rok 1961. Dygnitarze przy cygarach plotą trzy po trzy, nieprawomyślnie i cynicznie – i ciut za długo – a wszystko się nagrywa, co może budzić skojarzenia znacznie bliższe nam czasowo. Ośmieszające PRL-owską machinę postacie są dość sztampowe, ale już intryga, popychana do przodu kolejnymi zwłokami, okazuje się przewrotna i z fantazją, i z puszczaniem oka do czytelników. Warto np. wziąć sobie do serca definicję idioty podaną przez jedną z bohaterek i postąpić odpowiednio, gdy zostanie oficjalnie ogłoszona data wyborów.

Aleksandra Pańko

Robert Walser
Wypracowania Fritza Kochera
tłum. Małgorzata Łukasiewicz
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

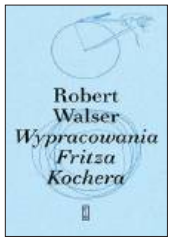

Zapomniane, wczesne prozy Walsera trafiły właśnie do rąk czytelników. „Wypracowania Fritza Kochera" to świetne uzupełnienie znanych już nam publikacji, znów w genialnym przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz (chyba żadna tłumaczka nie czuje tak języka Walsera jak ona). Walser zaczyna od wyznania, że „chłopiec, który pisał te wypracowania, zmarł wkrótce po opuszczeniu szkolnych murów". Wybór chłopca jako rzekomego autora nie jest przypadkowy – tylko dziecko może mieć taką nieskrępowaną wyobraźnię i niezależność. Zarazem nie może tak dojrzale pisać. Bawi się więc z nami autor, a to zabawa wyborna, niemal każde zdanie ma swój smak i swoją harmonię. Wątpię, by ta książka trafiła do masowego czytelnika, ale koneserów może zadowolić.

Rafał Pikuła

FESTIWAL

29. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Karol Dobrowolski Trio & Ludovic Beier – Bleue Mélancolie

Znakomity polski skrzypek jazzowy i kompozytor oraz francuski wirtuoz jazzowego akordeonu wystąpią w bardzo ciekawym projekcie. Usłyszymy mieszankę jazzu, muzyki klasycznej, cygańskiej (jazz manouche) i folku, w której brzmią echa swingu i stylistyki Stéphane'a Grappellego i Django Reinhardta. Karol Dobrowolski od niemal 20 lat mieszka we Francji, swoje artystyczne życie związał z Paryżem. W 2022 r. w wydawnictwie For Tune ukazał się jego album „Bleue Mélancolie", na którym zagrali m.in. węgierski skrzypek cygański Roby Lakatos, wirtuoz skrzypiec z Wenezueli Alexis Cárdenas i włoski pianista Giovanni Mirabassi. Ludovic Beier ma doktorat Sorbony z gypsy jazzu, lecz otwarty jest na wiele stylów i obdarzony wspaniałą jazzową frazą. Towarzyszyć im będzie kontrabasista Michał Jaros, absolwent Wydziału Jazzu i Muzyki Rozrywkowej Akademii Muzycznej w Katowicach.

(ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl.
WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 12 SIERPNIA, GODZ. 19

KURTYNA W GÓRĘ

Szekspir à la Vega

Michał Siegoczyński przygotował w Teatrze Wybrzeże autorską współczesną wersję „Romea i Julii", w poetyce gangsterskiego komediodramatu i neonowej estetyce New Romantic. Problem gdańskiej inscenizacji to myślowa płycizna objawiająca się słabym, oględnie mówiąc, scenariuszem. Siegoczyński łączy w nim fragmenty z Szekspira z pretensjonalnymi frazesami na temat związków, miłości, wojny, polityki, dobra i zła. W rezultacie oglądamy zlepek scen sprawnie zmontowanych, częstokroć jednak bezsensownych – jak ta, w której włoski faszysta tańczy z Maryją Dziewicą. Wariacja na motywach kanonicznego dramatu zmienia się w nie do końca zamierzony pastisz. Jest w tym spektaklu kilka momentów zabawnych, choć to humor zdecydowanie niewyszukany. Bronią się wyłącznie ci, którzy tego, co mówią ze sceny, nie traktują poważnie – choćby Karolina Kowalska w roli szalonej Niani czy Robert Ciszewski jako błędnie zakochany Benvolio.

Michał Centkowski

„Romeo i Julia is not dead", scenariusz i reżyseria Michał Siegoczyński, Teatr Wybrzeże, premiera 23 lipca 2023

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9d19eaca0d

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Turyści i bandyci czasu

Wehikuł czasu jest do pomyślenia wyłącznie jako machina służąca do podróży w przeszłość, dlatego w sektorze, by tak rzec, turystyki temporalnej wydaje się o krok od wynalezienia. Jako machina pozwalająca interweniować w czas miniony nigdy w rzeczywistości nie powstanie, choćby ze względu na osławiony „paradoks dziadka" – działania podjęte podczas podróży w przeszłość mogłyby uniemożliwić jej odbycie w przyszłości. Wyobrażenie sobie wojen toczonych za pomocą wehikułu czasu pozostanie więc domeną fantastów, a korygowanie historii pod hasłem „lepiej, by X nigdy się nie narodził" – możliwe wyłącznie na stronach podręczników historii, wymazujących niewygodne dla aktualnie dominującego dyskursu postacie.

Podróżników w czasie z grubsza można podzielić na dwa typy. Pierwszym są „bandyci czasu", naprawiacze świata o nieposkromionych ambicjach władzy absolutnej. Chcieliby ją rozpostrzeć obustronnie, w przyszłość i w przeszłość, a więc pragną władzy nie tylko wiecznej, ale i odwiecznej. Tak zdaje się działać autokratyzm na panicznym turbodoładowaniu, do tego zmierza kaczyzm w przedwyborczych miesiącach. O to, by władzy w przyszłości nie oddać, dba cały sztab pisowskich podsycaczy zagrożenia, które w pełni usprawiedliwi w oczach narodu odłożenie wyborów – prawdopodobieństwo wprowadzenia stanu wyjątkowego rośnie z każdym spadkiem sondażowym. Watażka Prigożyn i jego najemnicy spadli PiS za podlaską granicę prosto z nieba. Z całą pewnością niebawem nasi ponurzy ministrowie będą mieli na podorędziu poważniejsze *jump scare'y* niż zadek krowy gwałconej przez jakiegoś Semitę, tak by ludność zaczęła się bać już nie tylko o dziewictwo rogacizny, lecz także o życie.

Żeby do jesiennych wyborów doszło, PiS musi mieć absolutną pewność ich wygrania. Łatwiej będzie je odwołać ustawowo, niż nie uznać wyników, gdyby te niespodzianie nie zgodziły się z przewidywaniami. Konsekwencje próby wyborczej reasumpcji mogłyby być znacznie poważniejsze, choć i przed tym w ostateczności kaczyści się nie cofną – raz uzyskanej władzy nie oddadzą dobrowolnie. Odczłowieczanie opozycji jako „wrogów narodu" trwa w najlepsze właśnie po to, by w razie najbardziej niesprzyjającego rozwoju wypadków, kiedy dla zachowania władzy trzeba będzie strzelać, ciągnący za cyngiel nie miał wyrzutów sumienia – wszak nie będzie strzelał do ludzi.

Rozpostarciem władzy w przeszłość zajmują się mędrcy kaczystowscy w instytutach historycznych i oświatowych – pan Roszkowski właśnie ogłosił drugi tom podręcznika, tak korygującego historię najnowszą, by żaden licealista nie miał wątpliwości, że w gruncie rzeczy PiS było historyczną koniecznością, na dobrą sprawę istniało, jeszcze zanim powstało, bez braci Kaczyńskich nie byłoby wolnej ojczyzny, komunizm szalałby w najlepsze, Polska, Europa, a nawet świat cały byłyby w ruinie, a Jan Paweł II, któremu wedle pisowskiej myśli historycznej też trzeba oddać jakąś część zasług, był w zasadzie starszym bratem Kaczyńskich, a jeśli nie był, to na pewno o tym marzył w skrytości ducha, który w końcu zstąpił i odnowił oblicze tej ziemi.

Do drugiego typu podróżników – „turystów czasu" – należę osobiście jako nieuleczalny melancholik. Moje wędrówki w czasie nie są spod znaku „Terminatora", raczej „Pamięci absolutnej", by przywołać dwie najważniejsze role filmowe późniejszego gubernatora Kalifornii. Wnikam w przeszłość nie po to, by ją zmieniać, lecz by ją zwiedzać. Wiem, że przenieść się w czasie można tylko tam, gdzie on się zatrzymał. Oprócz jaskiń, w których czas płynie tak wolno, że dla ludzkiego oka zdaje się stać w miejscu – a zatem wygląda, jakby się zatrzymał przed milionami lat – szukam także spontanicznych skansenów przeszłości znacznie bliższej. *Urban exploration*, w skrócie urbex, czyli odwiedzanie porzuconych domów, hoteli, zakładów pracy, stwarza taką możliwość, w dodatku koszta takiej podróży, o ile w ogóle istnieją, są nieporównanie mniejsze od, dajmy na to, nurkowania do wraku Titanica.

Znalazłem kilka dni temu taki obiekt w Lesie Bakońskim – nie tyle nawet opuszczoną, co jakby nagle i błyskawicznie porzuconą kopalnię manganu, w której nadszybiu zatrzymało się życie codzienne węgierskich górników sprzed dziesiątków lat. Ikonosfera robocza tego miejsca to niesamowity miks wrakowiska maszyn, drelichów i kasków ze zdumiewającą ilością materiałów pornograficznych, wieszanych w szafkach i na ścianach, oprawianych w ramy i oszklonych niczym święte obrazki na ścianach pobliskich wiejskich domostw. Te ołtarzyki wymarzonych kobiet, wizerunki zawsze wiernych i uległych dziewcząt, czekały u góry na robotników wyczerpanych podziemną szychtą. Dziś, w dobie powszechnej dostępności internetowej pornografii w każdym telefonie komórkowym, te erotyczne dewocjonalia są rekwizytornią zeszłego stulecia. ■

FOT. WOJCIECH KUCZOK

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Marek Książek

Mazurski Kloss

Niektórzy dopatrują się w nim pierwowzoru agenta J-23, choć Emil Leyk był przede wszystkim inżynierem i mazurskim bojownikiem o polskość

Legendy pociągają. Dlatego już wiele lat temu czytelnicy prasy chętnie sięgali po artykuły o noszącym niemiecki mundur agencie, który przekazywał ruchowi oporu wiadomości o siłach zbrojnych wroga. Agent miał konspiracyjny pseudonim Inżynier, a służył w Grecji i Danii w stopniu hauptmanna (kapitana) Wehrmachtu. Jego dzieje opisywali dwaj olsztyńscy dziennikarze: Feliks Walichnowski i Włodzimierz Mamiński, którzy uważali Emila Leyka za „mazurskiego Klossa", pierwowzór bohatera kultowego serialu „Stawka większa niż życie".

Pobity przed Niemców

Jego losy były jednak o wiele bardziej skomplikowane. Począwszy od miejsca urodzenia i wychowania – w Prusach Wschodnich, prowincji niemieckiej; dzisiaj to Mazury. Emil Leyk, rocznik 1893, pochodził z polskiej rodziny, jego ojciec Bogumił, znany też jako Gottlieb Leyk, mieszkał w Szczytnie, gdzie miał warsztat kamieniarski i trzy domy, a znalazł także czas na działalność społeczno-religijną. Należał do tzw. gromadkarzy i jako kaznodzieja wyznania ewangelicko-augsburskiego wędrował po okolicy, głosząc słowo boże. Po polsku, stając się w ten sposób działaczem ruchu narodowego. Wydawał również polską gazetę. W tym duchu wychował czterech synów, z których najbardziej znani byli Fryderyk, założyciel Mazurskiego Związku Ludowego, i Emil. Włączyli się oni w akcję plebiscytową w 1920 r., a Emil został nawet pobity przez Niemców.

W tym czasie był już żonaty z Niemką, którą poznał w Monachium, gdzie rozpoczął studia inżynieryjne, ale po pierwszym roku, gdy wybuchła wielka wojna, jako obywatel państwa niemieckiego został wcielony do wojska. Był ranny, a gdy wyzdrowiał, budował fortyfikacje wojenne we Francji, zgłaszając kilka patentów budowlanych. Po wojnie wraz z żoną przyjechał do rodzinnego Szczytna i dzięki pomocy ojca kupił 12 ha gruntu w pobliskim Wielbarku. Postawił tam tartak, cegielnię, betoniarnię oraz dom, w którym urodzili się jego dwaj synowie: Günter i Albrecht. Potem był plebiscyt, w którym zdecydowana większość mieszkańców prowincji głosowała za Ostpreussen (na karcie do głosowania nie było nazwy Niemcy). Postawa Emila nie pozostała bez konsekwencji, bo zdarzył się tajemniczy napad na tartak, a szykanowany podatkami właściciel w rezultacie utracił majątek i wrócił do teściów, do Bawarii. Mając kwalifikacje inżyniera wojskowego, został dyrektorem kopalni kredy w Garmisch-Partenkirchen, wprowadzając tam kolejne patenty (właśnie w Garmisch-Partenkirchen urodziła się jego córka Elfriede). W 1926 r. musiał jednak pożegnać się z posadą na skutek donosu z Prus Wschodnich, że zatrudniono „wrogiego Polaka". Wyjechał więc na trzy lata do USA, ale że żona z trójką dzieci nie chciała tam się przenieść, wrócił do Monachium i pracował w koncernie Todta.

W mundurze oficera Wehrmachtu

W 1937 r. uzyskał tytuł cywilnego inżyniera budowlanego i architekta, a trzy lata później, jako 47-latek, został powołany do Inspektoratu Zbrojeń i Gospodarki Wojennej Wehrmachtu. We wrześniu 1941 r. skierowano go do Salonik, gdzie w stopniu kapitana był zastępcą szefa, a potem szefem okupacyjnej administracji nadzorującej miejscowy przemysł wojenny. Już wtedy podjął współpracę z greckim ruchem oporu i brytyjskim wywiadem, podobnie jak Jerzy Iwanow-Szajnowicz, którego postać przybliżono w filmie „Agent nr 1". Na pewno obaj przebywali w tym samym czasie w Grecji, choć byli w innej sytuacji. Leyk jako ważny oficer Wehrmachtu miał większe możliwości np. podczas wielkiego głodu na przełomie 1941 i 1942 r., gdy organizował dożywianie robotników w podległych mu zakładach. Na Węgrzech zakupił ziemniaki, groch i zboże, przekazując w zamian złom żelazny, co w warunkach okupacyjnych mogło być potraktowane jako sabotaż przemysłu zbrojeniowego. Osobom zagrożonym aresztowaniem przez gestapo wydawał fałszywe dokumenty oraz przepustki przydatne po godzinie policyjnej. Wyszedł z tego bez szwanku.

Gdy zdradzony Szajnowicz po raz trzeci został aresztowany i zginął z rąk hitlerowców, Emila Leyka przeniesiono służbowo do Danii na stanowisko szefa technicznego zakładów wojskowych. Przyjeżdżając na przepustki i urlop do rodziny, odwiedzał brata Fryderyka, działającego w Związku Mazurów, który miał siedzibę w Radości pod Warszawą. Fryderyk należał też do utworzonej w Siedlcach tajnej organizacji o nazwie Polski Związek Wolności, podporządkowanej Armii Krajowej. Byli w niej również „król Mazurów" Karol Małłek, Walter Późny, Jerzy Burski i Hieronim Skurpski – dziś na Warmii i Mazurach nazwiska historyczne. W lipcu 1943 r. Emil przyjął w tym związku pseudonim Inżynier i przekazywał informacje o działaniach armii niemieckiej, w tym o poszukiwaniu przez hitlerowców surowców do produkcji tajemniczej broni zagłady. Liczył, że te wiadomości zmobilizują aliantów do desantu na tereny okupowane.

Powrót do ojczyzny

W tym czasie konspirujący Mazurzy przymierzali się już do

eprasa.pl 9d19eaca0d

Przed dawnym domem Emila Leyka.

Tablicę upamiętniającą mazurskiego bohatera odsłonili jego syn Wiktor Marek Leyk (nz. z prawej) i burmistrz Grzegorz Zapadka.

funkcjonowania w powojennej Polsce. Chcieli mieć udział w zarządzaniu regionem. Wiedzieli, że wyzwolenie od nazizmu nadciągnie ze wschodu. Dlatego dwukrotnie składali memoriał w Polskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego w sprawie „wyrozumiałego traktowania ludności mazurskiej w Prusach Wschodnich", a po 22 lipca 1944 r. przyjął ich Bolesław Bierut, przewodniczący PKWN. Zasadniczo dopięli swego; Jerzy Burski został wicewojewodą, czyli zastępcą płk. Jakuba Prawina, pełnomocnika rządu RP na okręg mazurski, malarz Hieronim Skurpski tworzył Muzeum Mazurskie w Olsztynie, a Fryderyk Leyk i Walter Późny organizowali polską administrację w powiecie szczycieńskim.

Pod koniec wojny sytuacja ludności autochtonicznej w tym regionie była dramatyczna, bo część musiała uciekać przed Armią Czerwoną w pośpiesznej ewakuacji razem z ludnością niemiecką, a pozostałych Warmiaków i Mazurów często traktowano jak Niemców – pisaliśmy o tym w artykule „Przerwane dziedzictwo Mazurów" (PRZEGLĄD nr 5/2012). Emil Leyk po klęsce Hitlera najpierw wrócił do Monachium, ale że nie mógł pogodzić się z żoną – fanatyczką nazizmu, a ich troje dzieci było już dorosłych, zjechał w rodzinne strony, do polskiego już Szczytna. Zachował się dokument biura weryfikacyjnego na granicy potwierdzający, że w okupowanej Polsce Leyk istotnie miał pseudonim Inżynier oraz polski stopień majora. Inaczej jako hauptmanna Wehrmachtu nie wpuszczono by go do kraju, chyba że prosto do więzienia.

Ale i tak trafił za kraty, choć dopiero w szczycie stalinizmu, gdy w jego życiorysie doszukano się służby w niemieckiej armii. Oskarżono go o szpiegostwo i zdradę stanu. Był już wtedy po ślubie z drugą żoną i jako człowiek dojrzały doczekał się z nią dwóch synów: Jerzego (rocznik 1949) i Wiktora Marka (1951). Zdążył być dyrektorem fabryki mebli, lecz nie mógł sobie poradzić z panującym w zakładzie złodziejstwem, więc zrezygnował z posady. Jakiś czas był łącznikiem Szwedzkiej Misji Charytatywnej, współpracującej z Kościołem ewangelickim na Mazurach, by wreszcie założyć własną, rzemieślniczą firmę budowlaną; budował także fabrykę płyt pilśniowych w Nidzie. Po półrocznym pobycie w areszcie wykonywał doraźne prace, a po rehabilitacji w 1955 r. został dyrektorem Zakładu Gospodarki Komunalnej. Zmarł w 1972 r.

Polak z krwi i kości

Pod koniec lipca, z okazji 130. rocznicy urodzin Emila Leyka, na domu, który zbudował w Wielbarku, odsłonięto tablicę upamiętniającą tę nietuzinkową postać. Odsłonili ją syn Wiktor Marek Leyk, znany w regionie działacz mazurski, oraz burmistrz miasteczka Grzegorz Zapadka w towarzystwie wnuczek Emila. O swoim stryju opowiadała Lidia Leyk-Juranek, córka Fryderyka. Tablicę ufundowała IKEA, która przejęła dawny tartak Leyka i postawiła w Wielbarku wielką fabrykę mebli.

– Być może twórcy serialu „Stawka większa niż życie" nawet nie wiedzieli, że istniał taki agent jak mój ojciec. I choć niektórzy uważają go za „mazurskiego Klossa", ważniejsze są jego patenty i osiągnięcia przemysłowe. A dodam, że jako pierwszy z Prus Wschodnich złożył w Berlinie egzamin z rzeźby i sztuki kamieniarskiej. Jego życie powojenne w kraju nie było łatwe, pamiętam, że w ostatnich latach z bratem Fryderykiem użalał się nad tragicznym losem ludu mazurskiego, ale mimo wszystko do końca życia pozostał Polakiem – podkreśla Wiktor Marek Leyk, syn mazurskiego bohatera. ■

FOT. MAREK KSIĄŻEK (3)

eprasa.pl 9d19eaca0d

Polska zarasta barszczem Sosnowskiego

Jedna roślina może mieć nawet 40 tys. nasion, najlepiej ją zniszczyć, zanim się rozsieją

Helena Leman

Jadąc od wsi Warkałki w stronę Gudnik w powiecie ostródzkim, można podziwiać rozległe pola zbóż, ciągnące się aż do linii lasu, poprzecinane zielonymi parowami. Nagle w tym idyllicznym krajobrazie dysonans – pojawia się roślina z rozłożystymi kwiatostanami jak parasole, przypominającymi wyrośnięty koper. Najpierw jedna gdzieś w przydrożnym rowie, potem trzy kolejne na skraju rzepakowego pola i dalej, pośrodku uprawy. Wokół zarośniętego błotka, wyschniętego tego lata, barszczu już zatrzęsienie. Jego dorodne, jasnozielone liście płożą się przy ziemi, grube łodygi przeciskają się przez lipowy gąszcz i wychodzą na pola wokół. Przy wjeździe do Gudnik wita mnie już las barszczu – od polnej drogi aż do położonych niżej popegeerowskich bloków. Kilkumetrowe rośliny o potężnych łodygach stoją dumnie w słońcu, a wokół nich pustynia, nie rośnie nic. Ten widok jest niczym kadr z filmu o zagładzie biologicznej.

Parę kroków dalej w wypielęgnowanym ogródku przy domu krząta się starszy mężczyzna. – Cały czas błagamy, żeby zaczęli coś robić, chociaż ścięli ten barszcz, aby się nie rozsiewał – opowiada. – Gdy działka należała do Agencji Nieruchomości Rolnych, to jeszcze przyjeżdżali i barszcz pryskali. Ale jak kilka lat temu wydzierżawił ją prywatny właściciel, to nie dzieje się nic. Podobno wyjechał za granicę. A tego paskudztwa z roku na rok przybywa, cała wieś jest barszczem otoczona, a gmina chowa głowę w piasek. Co z tego, że wiosną wykopię barszcz z ogródka, kiedy za parę miesięcy znów go pełno. W słoneczne dni, zwłaszcza gdy kwitnie, oddychać trudno, nie mówiąc już o zagrożeniu poparzeniem.

Magdalena Basiak z rady sołeckiej mówi, że ludzie we wsi mają problemy ze zdrowiem, powtarzają się zapalenia gardła, migdałów, alergie, poparzenia u dzieci. Rany źle się goją.

W centrum miejscowości, po drugiej stronie bloków, przy nowiutkiej drodze, która jeszcze pachnie świeżo położonym asfaltem, urządzono z funduszy sołeckich plac zabaw dla dzieci i miejsce spotkań mieszkańców. Postawiono przyrządy do ćwiczeń pod chmurką, grill, drewniany domek z zadaszoną werandą, zrobiono piękny klomb z kwiatami. Co z tego, gdy dosłownie kilka kroków dalej rośnie las barszczu. – Ten plac by nim zarósł, gdybyśmy go nie wykopywali – ciągnie Magdalena Basiak. – Mój ojciec, szukając pomocy, po urzędach dzwonił, najpierw w naszym województwie, potem u sąsiadów w Pomorskiem, nawet do urzędu marszałkowskiego się dodzwonił, bo do naszej gminy nie ma po co chodzić.

Z Gudnik do gminnego Miłakowa są zaledwie 4 km. Na polach przy szosie z daleka widać kilka stanowisk ekspansywnej rośliny. Jedno,

eprasa.pl 9d19eaca0d

duże i zwarte, góruje nad uprawami. Jak tak dalej pójdzie, barszcz może zawitać do stolicy gminy. Mieszkańcy Gudnik mówią, że już tam jest, bo gdy robotnicy robili im przepompownię, zasypali szambo ziemią z pola, gdzie rośnie parzydło, a resztę tej ziemi zabrali ze sobą.

– Pewnie ok. 5 ha barszczu u nas będzie – ocenia Leszek Teller, od niedawna sołtys wsi. – Dzierżawiona działka ma 2 ha, 1,5 ha jest przy blokach, do tego trzeba doliczyć to, co porozsiewane na polach, przy błotkach. Przy blokach ścięliśmy barszcz sami, koszt 900 zł. I już odrasta. Można z nim walczyć, ale potrzeba na to pieniędzy. Jeśli gmina nic nie zrobi, za pięć lat nasza wieś zarośnie, nie wyjdziemy na podwórko.

Działamy w miarę środków

„Barszcz Sosnowskiego jest gatunkiem wysokiego ryzyka i jest szeroko rozpowszechniony w Gudnikach – mówił Krzysztof Szulborski, burmistrz Miłakowa, „Gazecie Olsztyńskiej" w lipcu. – Samorząd naszej gminy od kilku lat wdraża rekomendowane metody jego zwalczania, tj. mechaniczne koszenie oraz chemiczne opryski. Działania są prowadzone systematycznie w obrębie nieruchomości stanowiących własność gminy Miłakowo, w miarę posiadanych środków finansowych. Efektywność i skuteczność prowadzonych zabiegów jest trudna do osiągnięcia, ze względu na obecność inwazyjnych roślin na gruntach przyległych, będących we władaniu innych podmiotów. Zgodnie z polskim prawodawstwem podmiot władający nieruchomością jest odpowiedzialny za przeprowadzenie działań zaradczych i eliminację roślin na swoim terenie". Burmistrz dodaje, że obligował właścicieli sąsiednich nieruchomości do usuwania roślin, podkreśla też, że w tej sprawie konieczna jest kompleksowa współpraca wszystkich posiadaczy gruntów.

Kwestie walki z barszczem Sosnowskiego w Polsce reguluje ustawa z 11 sierpnia 2021 r. o gatunkach obcych (IGO – inwazyjne gatunki obce). Gdy pytam w gminie, czy według ustawy nie powinna podjąć działań zaradczych w sytuacji, gdy dzierżawca gruntu w Gudnikach, na którym rośnie barszcz, jest nieuchwytny, nie otrzymuję odpowiedzi.

Agnieszka Wojciukiewicz z olsztyńskiego WFOŚiGW informuje mnie, że w 2023 r. dofinansowanie na likwidację barszczu Sosnowskiego otrzymało sześć gmin z województwa warmińsko-mazurskiego (Sorkwity, Stawiguda, Gmina Miejska Kętrzyn, Gołdap, Kolno i Korsze) na łączną kwotę 81 784 zł. Wśród nich nie ma gminy Miłakowo. Sorkwity, Gołdap i Kolno były beneficjentami funduszu już pięć lat temu. W 2018 r. te trzy podmioty, a także gmina Wieliczki, Jeziorany i nadleśnictwo Górowo Iławeckie otrzymały łącznie 200 tys. zł na zwalczanie barszczu.

Jak walczy gmina Kępice

Mimo dofinansowań problem z barszczem nie znika, walka jest długotrwała i nierówna. Wiedzą o tym doskonale włodarze pomorskiej gminy Kępice, która od ponad 10 lat zmaga się z tą rośliną i wydała na to ok. 8 mln zł.

– W 2013 r. pozyskaliśmy środki na zwalczanie barszczu z WFOŚiGW, w 2016 r. otrzymaliśmy pieniądze Regionalnego Programu Operacyjnego, a w 2020 z Funduszy Norweskich – wylicza Maciej Chaberski, wiceburmistrz Kępic. – Nie mieliśmy wyjścia, musieliśmy podjąć zdecydowane kroki, gdyż zarastaliśmy tą rośliną. Gdy zaczęliśmy przygotowywać wniosek do RPO, mieliśmy ok. 37 ha barszczu w gminie, a gdy skończyliśmy go pisać, w ciągu roku przybyło 13 ha. To był wyścig z czasem. Jeszcze kilka lat temu na terenie naszej gminy barszcz Sosnowskiego występował na ponad 50 ha, dziś rośnie na ok. 5 ha, ale to nie znaczy, że walka jest skończona. Obecnie 99% stanowisk rośliny to stanowiska nowe. Musimy pilnować, żeby się nie odbudowała. Warunkiem powodzenia jest włączenie się w tę walkę sąsiednich gmin.

Na terenie gminy Kępice funkcjonuje pięć spółdzielni socjalnych zatrudniających osoby wykluczone społecznie. Jedna z nich, Spółdzielnia Razem, wyspecjalizowała się w likwidacji barszczu Sosnowskiego. – 66 tys. zł., które otrzymaliśmy na dwuletni program pilotażowy z WFOŚiGW w Gdańsku, przeznaczyliśmy nie tylko na zwalczanie barszczu Sosnowskiego, ale także na wybór najskuteczniejszej metody jego zwalczania – wyjaśnia prezes Spółdzielni Razem Krzysztof Senger. – Do współpracy zaprosiliśmy dr. Lecha Krzysztofiaka z Wigierskiego Parku Narodowego. Ostatecznie okazało się, że najlepiej u nas sprawdza się kombinacja metod mechanicznych i chemicznych. Zakupiliśmy potrzebny sprzęt i drona do monitoringu. Z 4 mln zł, które otrzymaliśmy z RPO, przeznaczyliśmy też środki na działania edukacyjne, żeby uwrażliwić na problem mieszkańców. Jak ludzie zobaczyli pierwsze efekty naszych działań, to powstał wspólny front walki z tą inwazyjną rośliną. Dzwonią do mnie sołtysi, leśnicy, nawet kierowcy autobusów. Ostatnio jeden z leśników zawiadomił mnie o dużym stanowisku barszczu w środku lasu. Reagujemy natychmiast, gdyż jedna roślina może mieć nawet 40 tys. nasion, najlepiej ją zniszczyć, nim zacznie je rozsiewać.

Prace zaczynają się w kwietniu. Opryski przeprowadzane są miejscowo z użyciem plecakowych opryskiwaczy, żeby nie zaszkodzić innym roślinom. Nieraz środek wtryskuje się bezpośrednio do łodygi. Potem zaczyna się mechaniczna walka, czyli wykopywanie barszczu, które trwa do października. Jego system korzeniowy może sięgać 2 m, to ciężka praca. Koszenie też się stosuje, ale według mojego rozmówcy jest mniej efektywne, gdyż barszcz szybko odrasta.

Spółdzielnia z Kępic zyskała już renomę. Pobliskie gminy zwracają się do niej z prośbami o radę, o przeszkolenie ludzi albo o podjęcie działań, podmiot ten wygrał przetarg na usuwanie barszczu w sąsiedniej gminie Kobylnica. W tym roku kończy się trzyletni projekt dotowany z Funduszy Norweskich, na który gmina Kępice otrzymała 3,5 mln zł. Gdy pytam Krzysztofa Sengera, co dalej, odpowiada: – Na obecnym etapie nie potrzebujemy już tak dużych środków, ale na pewno będziemy się ubiegać o dofinansowanie z WFOŚiGW na monitorowanie barszczu, a może jeszcze znajdziemy jakiś inny program, nasz referat inwestycji w gminie jest prężny.

FOT. HELENA LEMAN

eprasa.pl 9d19eaca0d

W gminie Kępice barszcz usuwa się z gruntów gminnych i prywatnych.

Barszcz zwiększa areał

– Gmina może podejmować działania także na prywatnych nieruchomościach, jeżeli ich posiadacze nie mają możliwości przeprowadzenia tych działań we własnym zakresie, w szczególności ze względów finansowych, i zwrócą się z wnioskiem do gminy. Ponadto gmina może przeprowadzić działania zaradcze na koszt posiadacza nieruchomości, jeśli w ciągu roku od otrzymania od gminy zawiadomienia nie przeprowadzi on zwalczania IGO. Mówi o tym art. 21 ustawy o gatunkach obcych – informuje mnie 25 lipca Jakub Troszyński, rzecznik prasowy Generalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska.

Dane o rozprzestrzenianiu się i zwalczaniu tych roślin są dostępne w kompendium „Metody zwalczania barszczy kaukaskich", jak również w karcie informacyjnej, opracowanych przez GDOŚ w ramach projektu. – Zgodnie z kartą informacyjną barszcz Sosnowskiego zwiększa areał na terenie kraju – podkreśla rzecznik. – W ciągu ostatnich 20 lat stwierdzono wiele nowych stanowisk gatunku, jego populacja wzrasta przez tworzenie dużej liczby młodych osobników i zasobnego banku nasion. Po przedostaniu się na tereny nadrzeczne rozszerza zasięg inwazji na całą dolinę w dół rzeki, w okresie wysiewu nasion silne wiatry mogą się przyczynić do powstania stanowisk rośliny w promieniu wielu kilometrów.

Na moje pytanie, czy zwalczanie IGO, w tym barszczy kaukaskich, nie powinno być prowadzone z urzędu, systemowo przez państwo, rzecznik odpowiada, że ustawa o gatunkach obcych weszła w życie pod koniec 2021 r., a przepisy wykonawcze pod koniec 2022 r.: – Są to stosunkowo nowe przepisy i ta współpraca będzie się teraz kształtować.

Informacje o stanowiskach IGO są dostępne na portalu Geoserwis.

Zbyt długie procedowanie ustawy wytykała rządzącym NIK w raporcie z czerwca 2020 r.: „Przewlekłe prowadzenie prac związanych z opracowaniem przepisów sprawiło, że nie dotrzymano terminu rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady UE, który dla barszczu Sosnowskiego upłynął 14 lipca 2019 r. Na szczeblu krajowym nie dokonano całościowej diagnozy zagrożenia barszczami kaukaskimi oraz nie zdefiniowano działań związanych z ich zwalczaniem. Nie opracowano spójnego i całościowego systemu finansowania zwalczania barszczy kaukaskich".

Aż 11 z 21 gmin skontrolowanych przez NIK nie korzystało ze środków WFOŚiGW, a z badania kwestionariuszowego wynika, że 109 z 201 gmin nie ubiegało się o dofinansowanie. Niektóre gminy w ogóle nie zajmują się tym problemem. Według Najwyższej Izby Kontroli brak przepisów wskazujących podmiot zobowiązany do usuwania barszczy z terenów, które nie są w zarządzie gminy, uniemożliwia prawidłowe zwalczanie tych roślin. Izba w 2019 r. kontrolowała też gminę Kępice, wynik był pozytywny.

IGO zagrażają bioróżnorodności

Na liście inwazyjnych gatunków obcych stwarzających zagrożenie dla Unii jest 88 pozycji. Numer 42 ma barszcz Mantegazziego, 58 – barszcz perski, a 59 – barszcz Sosnowskiego, nazywane barszczami kaukaskimi. Najbardziej ekspansywny jest ten ostatni. Zarasta Polskę, walczą z nim nie tylko gminy, ale również parki narodowe i nadleśnictwa.

Jak czytam w artykule Anny Krzysztofiak i Macieja Romańskiego z Wigierskiego Parku Narodowego, gdzie rozpoczęto walkę z barszczem w otulinie w 2004 r., roślinę sprowadzono do Europy Zachodniej pod koniec XIX w. jako ciekawą dla ogrodów botanicznych i ozdobną do przydomowych ogródków. Jedne źródła podają, że barszcz dotarł do Polski w 1958 r., drugie jako „winowajcę" wskazują Zakład Roślin Pastewnych Instytutu Hodowli i Aklimatyzacji Roślin w Krakowie, któremu parzydło podarował na przełomie lat 60. i 70. Instytut Uprawy Roślin z Leningradu. Kaukaskie gatunki barszczy były obiektem eksperymentów, które miały doprowadzić do powstania wydajnej rośliny pastewnej. Prawdopodobnie wtedy w materiale genetycznym nastąpiły zmiany, które spowodowały, że powstał gigant dorastający do 3,5 m.

Roślina, popularnie nazywana „zemstą Stalina", została wprowadzona w pegeerach na terenie całego kraju. „Szybko z niej zrezygnowano, bo ludzie pracujący przy niej doznawali ciężkich poparzeń, a mięso i mleko krów karmionych paszą z liści barszczu pachniało kumaryną – mówiła Anna Krzysztofiak jednej z gazet. – Zagrożenie ze strony barszczu należy rozpatrywać w dwóch kategoriach. Z jednej strony to zagrożenie dla rodzimej flory, roślina tworzy zwarte łany, eliminując inne gatunki roślin. Drugim zagrożeniem jest działanie barszczu na ludzki organizm, poparzenia powoduje zarówno kontakt z rośliną, jak i z jej sokiem". Wskutek poparzenia i wywołanych nim komplikacji w 2015 r. zmarła 67-letnia kobieta, a kilka lat później mężczyzna z okolic Gryfic.

•

Sołtys Gudnik mówi, że gmina wystosowała pismo do Krajowego Ośrodka Wsparcia Rolnictwa w sprawie odebrania dzierżawy obecnemu dzierżawcy działki, na której rośnie barszcz. Potem ma się odbyć nowy przetarg. Mieszkańcy Gudnik znaleźli nawet chętnego, który stanie do przetargu, to osoba z sąsiedniej wsi, ma sprzęt i obiecuje zrobić porządek. Gmina miała skosić barszcz na dzierżawionej działce do 17 lipca, jest 2 sierpnia i ten dalej rośnie. – Już nawet ma nasiona – martwi się Leszek Teller. – Barszcz u nas był zawsze, ale w pegeerze sobie z nim radzili. Kosili go regularnie, potem wysypywali na pryzmy i palili.

Przed oddaniem tekstu, 2 sierpnia, otrzymuję odpowiedź z Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Olsztynie, że burmistrz gminy Miłakowo zgłosił obecność barszczu w Gudnikach 20 lipca 2022 r. i RDOŚ wprowadziła to do Centralnego Rejestru IGO zgodnie z ustawą. Jednak do dyrektora RDOŚ nie wpłynął raport o przeprowadzonych działaniach zaradczych na terenie gminy.

Helena Leman
h.leman@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Barbie u czarodzieja

Ostatni raz widziałam lalki w poczekalni u czarodzieja. Leżały na korytarzu w kartonowych pudłach – większość na golasa. Sterczały im biednie sfilcowane włosy. Niektóre w ogóle nie miały głowy, inne zachowały nawet cekinowy strój albo suknię z naderwaną falbanką. Był deszczowy styczeń, przyszłam do czarodzieja z bólem kręgosłupa – na akupunkturę. Ludzi przygnały tam różne bolączki: migrena, zaniemówienie, spuchnięta ręka, utrata równowagi, śmierć przyjaciela, ból i smutek. Matki przywiozły na wózkach bardzo chore dzieci. A i tak najsmutniejsze wydawały się lalki – inscenizowały zbiorowe pochówki w rozklejonych kartonach i złośliwie odgrywały nasze defekty.

Siedziałam przy nich schowana za gazetą. Próbowałam bronić się przed taką sobą, nazywając czarodzieja czarodziejem, wciągając zapach kadzidła (klasyk), popatrując ironicznie na kryształy. W końcu nieczęsto odwiedza się takie miejsca. Ale jakaś wymuszona była ta ironia i jakaś klasowa. Z pudła dochodził charakterystyczny zapach lalek z gumy. Leżące tam Barbie nie miały na sobie żadnego różu, kolor ich skóry przypominał manekiny do testów zderzeniowych. A uśmiechy wypadały ponuro i sztucznie, jak słynny Pan Am Smile – uśmiech stewardes z linii lotniczych Pan American World Airways.

Coś, co w dzieciństwie było najpierw zbyt kosztownym pomysłem na szczęście, później powodem wizyt u sąsiadki, aż wreszcie – od grudniowych świąt – tajemnym centrum wszechświata – leżało przede mną w pudłach i nawet czekające na magika dzieci nie chciały tym czymś się bawić. A przecież byłam tą lalką, ty też byłaś tą lalką. Dawałaś jej swój głos, swój czas – cenne atrybuty. Wymyślałaś historie o niej, organizowałaś koncerty, jako jej menedżerka byłaś przedsiębiorcza i wyrozumiała. Wycierałaś jej czoło, kiedy była chora. A kiedy ty byłaś chora, leżała z tobą i przyłączała się, kiedy śniłaś, że biegniecie gdzieś bez końca i biegniecie.

A potem, czytając pierwsze artykuły feministyczne, widziałyśmy w niej małą faszystkę, która sabotowała życie dziewczynek, wyglądając absurdalnie ślicznie – lalka o nierealnych kształtach, uśmiechnięta jak przygłup. Idealnie bierna, seksowna, milcząca. A do tego – symbol mieszczańskiej Ameryki, popowy kapitalizm w najgorszym stylu: przedmiotowość, próżność i forsa. Ale kiedy dorosłyśmy – zidentyfikowałyśmy inne, groźniejsze i bardziej sugestywne symbole kapitalizmu. A lalka stanęła w nostalgicznym szeregu z pachnącymi karteczkami, którymi wymieniałyśmy się w dzieciństwie, z gumowym diabełkiem z odpustu i pająkiem na pompkę.

To dlatego firma Mattel – mimo że widzowie poszli masowo do kina – nie odnotowała oczekiwanych wyników sprzedaży. Na film poszły takie dziewczyny jak ja, które albo chciały mieć, albo miały Barbie, ale z pewnością nie kupiłyby jej teraz ani dla siebie, ani dla swoich dzieci. Te odbiorczynie – mamy i niemamy – znały hipsterskie filmy Grety Gerwig (np. „Frances Ha") i liczyły na fun, wzruszenie, niepoprawność, niespodziankę. Co dostały? Chyba raczej wakacyjnego produkcyjniaka, ale zabawnego i bez pretensji. Film zresztą od razu do swojej tożsamości się przyznaje. Sprawnie wykorzystuje bajkowe gadżety. A może warto zobaczyć w nim film „dla dzieci"? O złych i dobrych, o lalce, która stała się człowiekiem (nieśmiertelność za człowieczeństwo – zdarty, ale wciąż aktywny toposik!), o nierównościach i upodmiotowieniu, o śmieszności panów, którzy zawsze wybierają sami siebie. Poprawnościówka z pewnością nastawiona na sukces kasowy. Ale wątki emancypacyjne czy równościowe, które idą przez masowe produkcje, też potrafią zapracować na przychylne spojrzenie. Przecież nie chcemy zadzierać nosa jak ci filmowi panowie i chwalić tylko tego, co stawia bariery, co dostatecznie trudne i niezrozumiałe, żeby stało się dystynkcją. Bawmy się – niekoniecznie lalkami Barbie. Ale kinem? Dlaczego nie! ■

Na film poszły takie dziewczyny, które albo chciały mieć, albo miały Barbie, ale nie kupiłyby jej teraz ani dla siebie, ani dla swoich dzieci.

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku, Twitterze, Instagramie, YouTubie i LinkedIn

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 9d19eaca0d

Połączeni górskim szlakiem

Kiedy widzimy, że osoby z niepełnosprawnościami robią coś na własną rękę, czujemy, że w mikroskali wpływamy na całe społeczeństwo

Dominika Tworek

Niedzielne popołudnie w Górach Bystrzyckich, z letnim słońcem i delikatnym wiatrem, bywa bramą do spełnienia marzeń. Dla 40-latki Izy, od dziecka chorującej na porażenie mózgowe, zdobycie szczytu Jagodna to moment przezwyciężenia własnych ograniczeń, nie tylko tych fizycznych. Iza na co dzień porusza się o kulach. Dziś na specjalnym wózku wjechała na górę, skąd pierwszy raz od dwóch dekad podziwiała rozpościerający się przed nią górski krajobraz.

– W mojej rodzinie wszyscy kochają góry, a ja dotychczas mogłam jedynie popatrzeć na nie z dołu. To powodowało we mnie uczucie gorszości. 20 lat temu zdobyłam Ślężę, ale od tego czasu moje zdrowie znacznie się pogorszyło. Pogodziłam się więc z myślą, że już nigdy na żadną górę nie wejdę. Dzisiaj zobaczyłam, że niekoniecznie tak musi być, a przeświadczenia, które na co dzień utrudniają mi życie, blokują przed działaniem – „do niczego się nie nadaję", „wiele rzeczy nie potrafię", „jestem gorsza od innych" – odeszły w niepamięć. Ta wyprawa pomogła mi ułożyć pewne rzeczy w głowie – mówi uczestniczka piątej edycji akcji „Łączą nas góry", w ramach której odbyło się już ponad 40 wycieczek po malowniczych Sudetach.

Dla jej towarzyszki Agnieszki przełomowym wydarzeniem w życiu było zdobycie najwyższego szczytu Karkonoszy, czego dokonała tydzień wcześniej. 36-latka, mimo znacznego stopnia niepełnosprawności, weszła na Śnieżkę na własnych nogach. To olbrzymie wyzwanie fizyczne, jakiego się podjęła, zalało ją morzem satysfakcji.

Iza i Agnieszka na szlaku w Górach Bystrzyckich.

– Zawsze chciałam chodzić po górach, ale nie miałam odwagi robić tego w pełnosprawnych grupach. Teraz czuję, że odnalazłam życiową pasję, która zawsze gdzieś we mnie tkwiła, po prostu miałam opory przed jej realizowaniem. W górach czuję się jak w domu. Uwielbiam kontemplować przyrodę. Czerpię z tego prawdziwą radość. W tym roku przygotowuję się do zdobycia Kasprowego Wierchu – cieszy się Agnieszka, która choruje na dziecięce porażenie mózgowe, w związku z czym – jak sama mówi – porusza się „inaczej niż wszyscy". Dodatkową wartością wycieczek jest dla niej swoboda, którą tu odczuwa. – Staram się żyć normalnie. Myślę, że największe bariery tkwią w głowach osób niepełnosprawnych. A takie spotkania pokazują, że nie trzeba bać się wyjścia z domu, że można przyjemnie i aktywnie spędzać czas. Lubię znajdować się w środowiskach, dla których jestem normalna, które nie zwracają tak bardzo uwagi na moją niepełnosprawność. Na co dzień muszę jednak udowadniać ludziom wokół, że wszystko ze mną w porządku. Ciągłe tłumaczenie, że nie, nie jestem zmęczona, nie bolą mnie nogi, bywa frustrujące, nawet jeśli wynika z opiekuńczości. Tutaj panuje miła, rodzinna atmosfera. Na każdej wycieczce poznaję nowe osoby z różnych zakątków Polski. Zawsze z niecierpliwością czekam więc na kolejne wyprawy.

Przeciwwaga dla pędu

Turystyka górska to fantastyczna forma rehabilitacji i rekreacji. Od pierwszej odsłony projektu uczestnicy przeszli już ponad 380 km sudeckich szlaków. Za organizację wypraw odpowiada świdnicka fundacja Ładne

eprasa.pl 9d19eaca0d

Ignaś urodził się z niedotlenieniem, chorym sercem i zespołem Downa, ale przemierza góry z rodzicami – Justyną i Michałem.

Marzena z mężem i dwójką synów bierze udział w akcji od trzech lat.

Historie. Akcja to pomysł małżeństwa Anny i Daniela Gerusów.

Dla Daniela wędrówki po górach to pasja, z którą związał życie: – Robię to od 20 lat i dziś nie wyobrażam sobie funkcjonowania inaczej. Te wyprawy stanowią przeciwwagę dla szybko pędzącego świata, nawału obowiązków, nowych celów, które cały czas przed sobą stawiamy. Współcześnie wszyscy żyjemy z ogromną prędkością, która powoduje w nas nieustającą presję. Mnie też wciąga ten cały wir. A góry to mój sposób na spokój, dla głowy i ciała. Ta akcja wynika z chęci podzielenia się z innymi prostymi rzeczami, które dają takie wędrówki. Gdy cieszy zwykłe zjedzenie kanapki na szczycie, ciepła herbata w schronisku w deszczowy dzień, zachód słońca czy mgła nad lasem. W górach można naprawdę docenić to, co nas otacza.

Potrzeba podzielenia się tymi doświadczeniami zrodziła się w Danielu, kiedy na świecie pojawiły się jego dzieci. Zabierał je w góry, już gdy miały kilka miesięcy. To zasiało w nim myśl, żeby dać taką możliwość również dzieciakom, które mają w życiu bardziej pod górkę niż jego własne. Wtedy dostrzegł, jak wiele jest w Sudetach tras, gdzie teoretycznie można się poruszać wózkiem, lecz w praktyce na szlakach tych nie spotkał ani jednej osoby z dysfunkcją ruchu.

– Dość szybko udało nam się pozyskać środki, za które kupiliśmy kilka wózków inwalidzkich przystosowanych do jazdy po górach. Na zorganizowaną przez nas wycieczkę nikt jednak się nie zgłosił. Słyszeliśmy, że to bez sensu lub że jest niebezpieczne. Pierwsze pięć rodzin namówiliśmy, chodząc po świdnickim parku. Podbiegaliśmy do osób na wózkach z tekstem: „Cześć, jestem Daniel, organizuję wycieczki w góry dla takich rodzin jak wasza. Jedźcie z nami!”. Dla nich to był oczywiście szok, ale się zgodzili, zresztą do tej pory z nami jeżdżą. Te początkowe wyprawy były bardzo kameralne. Uczestniczyło w nich może 20 osób. Ale niosą piękne wspomnienia. Pamiętam, że kiedy jedna z uczestniczek pierwszy raz w życiu włożyła stopy do strumyka, popłakała się ze szczęścia – opowiada Anna.

Wycieczki mają charakter integracyjny – biorą w nich udział zarówno osoby z niepełnosprawnościami, jak i zdrowe. Inicjatywa zachęciła wiele osób z niepełnosprawnościami do podejmowania działań na własną rękę. Ci, którzy wcześniej właściwie nie wychodzili z domu, dziś – z pomocą wolontariuszy, których w bazie jest ok. 430 – sami inicjują coraz to nowsze fizyczne aktywności, a wokół akcji utworzyła się cała społeczność. Takie oddolne projekty, które w niewymuszony sposób łączą ze sobą ludzi, mogą być lekiem na jeden z największych problemów współczesności – poczucie osamotnienia, które deklaruje (według różnych badań) nawet jedna czwarta mieszkańców świata.

– Wymiar społeczny tej akcji to wartość dodana, niezamierzona.

eprasa.pl 9d19eaca0d

Kiedy widzimy, że osoby z niepełnosprawnościami robią coś na własną rękę, poza nami, czujemy, że w mikroskali wpływamy na całe społeczeństwo. Chociaż początkowym celem było dla mnie tylko i wyłącznie dzielenie się przyjemnością, wraz z rozwijaniem się projektu pojawiła się we mnie niezgoda na problemy tych osób – tłumaczy Daniel. – Zacząłem dostrzegać, że często nie mają one kontaktu z innymi ludźmi, brakuje im przyjaciół. A nawet jeżeli mają jakieś znajomości, to są one powierzchowne. Zwykle potrzeby takich rodzin są na tyle specyficzne, że przyjaźnie z osobami zdrowymi rozpadają się. Zdrowi często nie rozumieją rzeczywistości osób z niepełnosprawnościami, nie potrafią się do niej dostosować.

„Łączą nas góry" jest przestrzenią, w której bardzo łatwo nawiązać nowe relacje. – Dla nas, zdrowych, przebywanie tu jest bardzo terapeutyczne, ponieważ uświadamia nam nasze realne położenie, że tak naprawdę możemy wszystko, że nie mamy żadnych ograniczeń – zwraca uwagę organizator.

Takie spotkania pokazują, że nie trzeba się bać wyjścia z domu, że można przyjemnie i aktywnie spędzać czas.

Bez szufladek i problemów

Uczestnicy wycieczki nie kryją satysfakcji. 130-osobowa grupa maszeruje dumnie, z uśmiechem na twarzach. Tutaj nie rozmawia się o problemach. Pod nogami plączą się zadowolone psy i ucieszone dzieciaki.

Trzyletni Ignaś przemierza szlak na plecach taty. Mimo że urodził się z niedotlenieniem, chorym sercem i zespołem Downa, dziś jest wesołym chłopcem, zaciekawionym wszelkimi bodźcami płynącymi z otoczenia.

– Odkąd w zeszłym roku dowiedzieliśmy się o akcji, byliśmy na wszystkich wydarzeniach. W tym sezonie odliczaliśmy dni do startu wycieczek. One przynoszą nieocenione korzyści psychofizyczne naszemu dziecku. Dotychczas Ignaś miał znikomy kontakt z innymi dziećmi, przez to, że mieszkaliśmy w bardzo małej irlandzkiej miejscowości. A tutaj czuje się jak w raju. Uwielbia ludzi, zarówno dorosłych, jak i dzieci, a także zwierzęta. Realizuje więc wszystkie swoje potrzeby socjalne. A gdy się zmęczy podczas przechadzek, zasypia w ramionach taty i to go niesamowicie uspokaja – opowiada Justyna.

Dorośli również zyskują na weekendowej aktywności. – Pierwsze miesiące po urodzinach Ignasia były dla nas niesamowicie ciężkie. Zwłaszcza gdy leżał na intensywnej terapii po drugiej operacji serca, w bardzo poważnym stanie. Choroba syna odseparowała nas od ludzi. Zwłaszcza w pandemii, kiedy nie mogliśmy z nikim się kontaktować, bo przy tak małej odporności dziecka wszystko mogło doprowadzić do krytycznej sytuacji. A tutaj mamy kontakt z ludźmi, którzy – podobnie jak my – przeżyli ciężkie chwile. Co prawda, nie rozmawiamy o przeszłości, raczej cieszymy się tymi pięknymi momentami, ale mamy poczucie wzajemnego zrozumienia. Chociaż na chwilę udaje nam się zapomnieć o tym, co było trzy lata temu. Głowa w pełni odpoczywa – dodaje 43-latka.

Wśród swoich

Swobodna atmosfera jest olbrzymim atutem także dla 35-letniej Marzeny, która z całą rodziną – mężem i dwójką synów – od trzech lat bierze udział w akcji. – Na szlaku możemy liczyć na pomoc innych uczestników. Tutaj nikt nikogo nie ocenia, nie trzeba się zachowywać w zaszufladkowany sposób – podkreśla kobieta. – Dominik ma siedem lat, urodził się z zespołem Downa i wadą serca. A rok starszy syn Mateusz ma autyzm, patrzy więc na świat inaczej, w miejscach publicznych zdarza mu się wpaść w panikę, którą odreagowuje, machając rękami, skacząc i piszcząc. Z tego względu na co dzień mierzymy się z różnymi negatywnymi opiniami. Często słyszymy, że jest niewychowany. Jako matka nieraz czuję się przez to wykluczona społecznie. To nie jest wina mojego syna, że zachowuje się w taki sposób.

Społeczny ostracyzm nieraz wywołuje w Marzenie chęć alienacji. – Czasami odechciewa mi się wychodzić do ludzi, pojawia się potrzeba zaszycia się w domu. Liczę na to, że w przyszłości w społeczeństwie będzie więcej empatii i akceptacji dla różnych zaburzeń i niepełnosprawności. Boję się, bo wkrótce moje dzieci zaczną odczuwać na własnej skórze to, że są inne. Zresztą to już się dzieje. Dominik nie wie, że jest inny, chory, a bardzo lubi dzieci. Mateusz też bardzo chciałby się bawić z rówieśnikami, ale nie umie, właśnie ze względu na zaburzenie autystyczne. Zdarzyło się wiele razy, że moje dzieci były wyśmiewane przez grupę. Dla mnie jako matki są to bardzo przykre sytuacje. A tutaj czujemy się swobodnie, wśród swoich. Wiem, że żadna krzywda nie spotka moich dzieci.

Dominika Tworek

FOT. DOMINIKA TWOREK (4)

eprasa.pl 9d19eaca0d

Wyprawy w poszukiwaniu osobliwości, ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU REPORTERSKICH PODRÓŻY

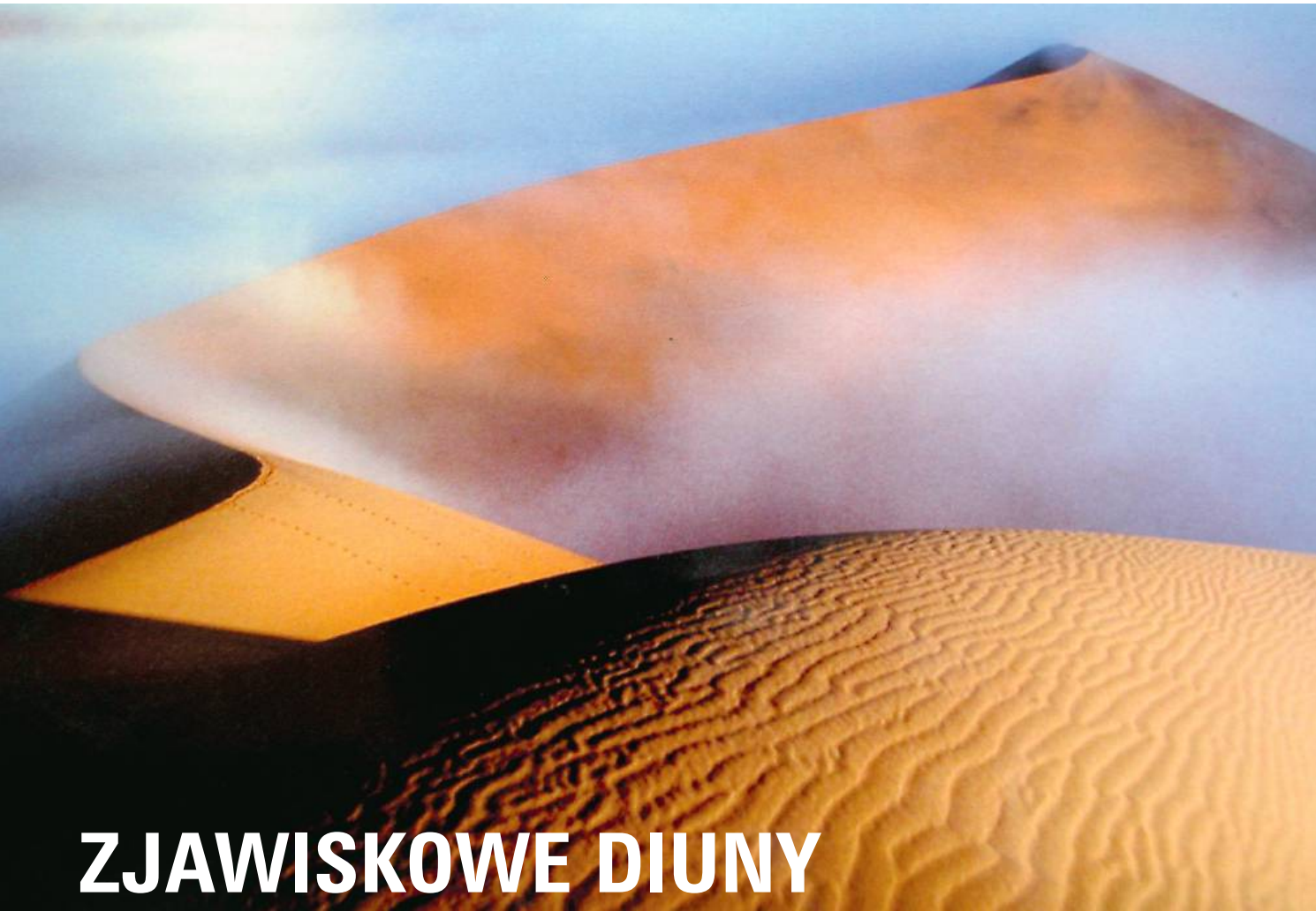

ZJAWISKOWE DIUNY

Znane z malowniczych pocztówek pobudzających fantazję pofalowane wydmy są w stanie urzec każdego swoim hipnotycznym majestatem. Na najstarszej pustyni świata, Namib, diuny potrafią osiągać wysokość 300 m. Ktoś stwierdził, że prostota ich form oraz sinusoidalne zarysy przywodzą na myśl zmysłowe kobiece kształty. Taką piaszczystą pustynię wyobraża sobie każdy, kto nigdy jej nie oglądał. Połacie niemal sterylnego piasku, które wydają się ciągnąć bez końca, zawsze takie same, a zarazem wciąż inne, w rzeczywistości przybierają różne formy, zależnie od ilości czy spoistości piasku oraz od kierunku wiatru, który nieustannie je kształtuje.

Wbrew ogólnemu mniemaniu obszary piaszczyste z klasycznymi barchanami stanowią tylko niedużą część pustyń, te zaś pokrywają ok. 20% powierzchni lądów. Na wielkiej niczym Europa Saharze wydmy stanowią zaledwie piątą część przestrzeni. Zwykle przeważają tam krajobrazy kamieniste, żwirowe bądź skaliste.

eprasa.pl 9d19eaca0d

Zdjęcia – archiwum Autora

eprasa.pl 9d19eaca0d

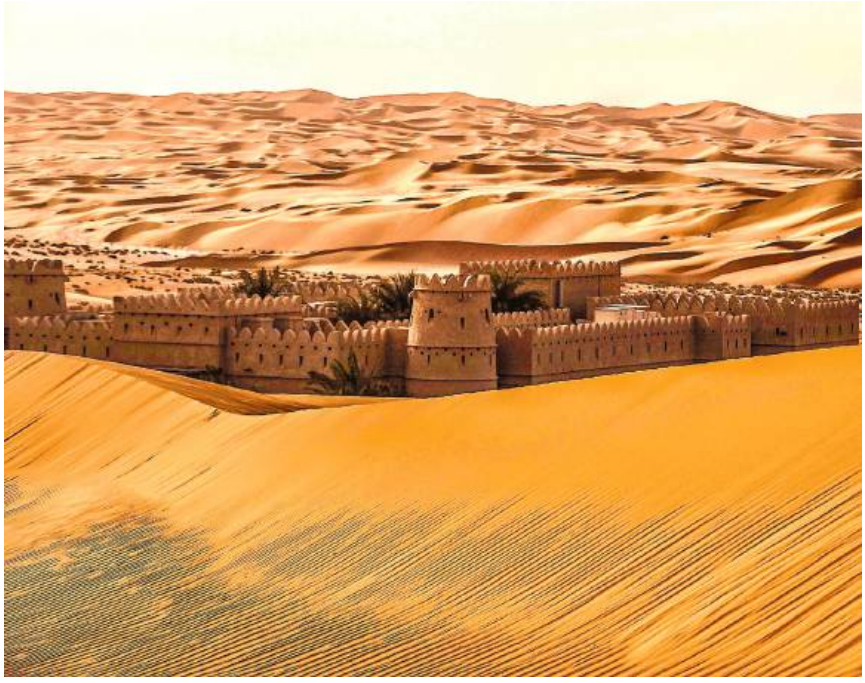

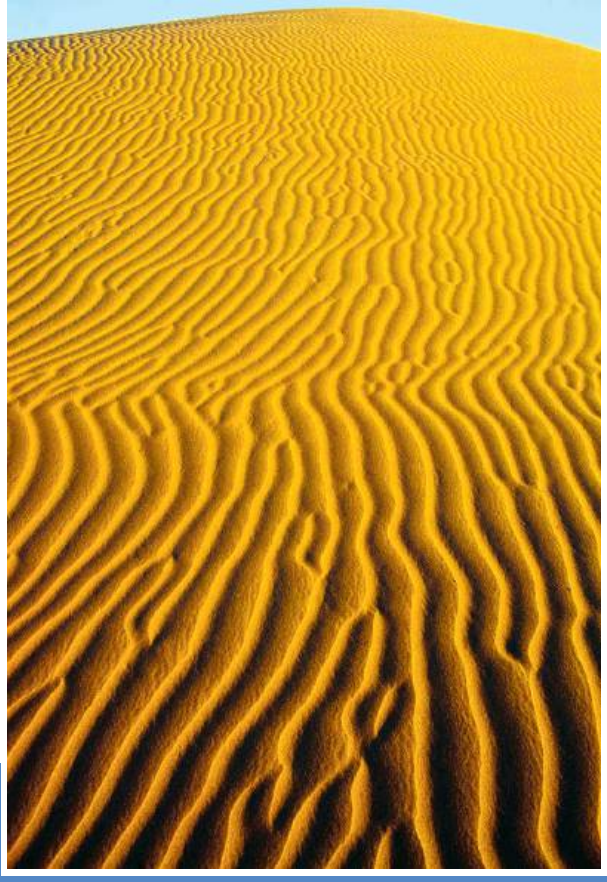

JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator, twórca survivalu w Europie.
www.palkiewicz.com

eprasa.pl 9d19eaca0d

JOLKA

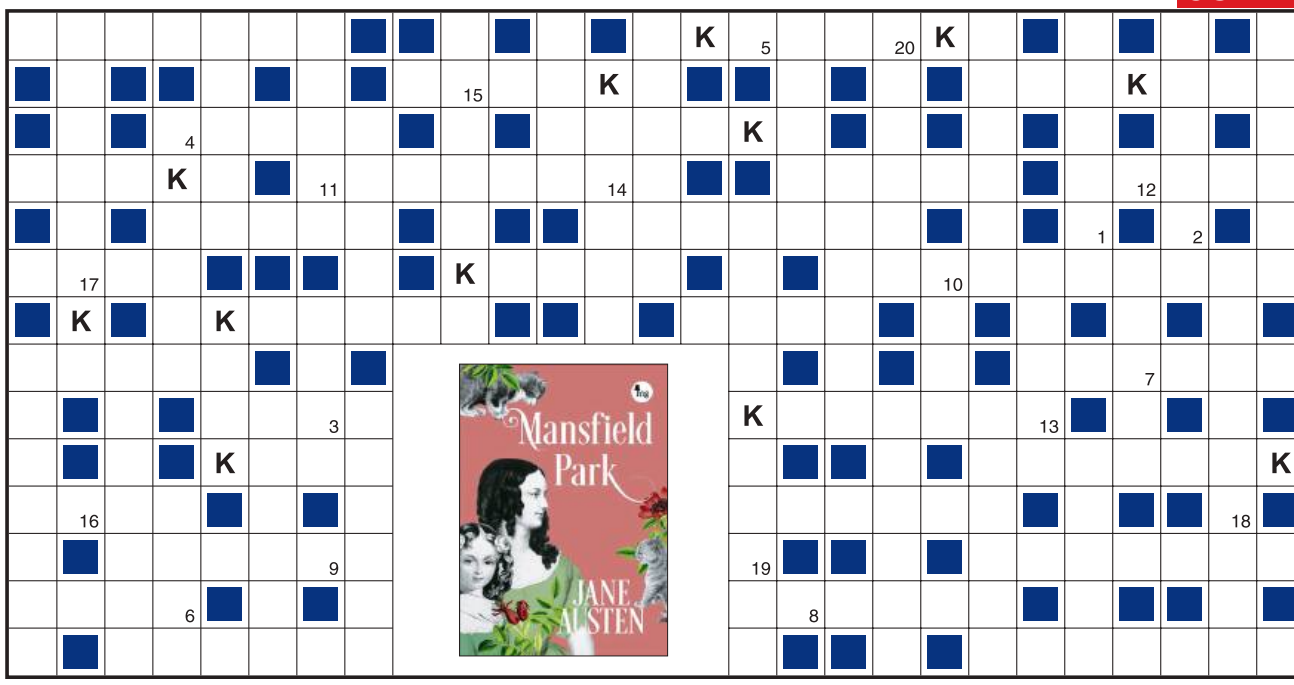

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery K ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- Hanuszkiewicz lub Ferency
- niemiecki producent sprzętu sportowego
- z Maksem w „Seksmisji"
- ogłoszenie na łamach
- potrzebna do oglądania telewizji
- różne towary oferowane w sklepie
- koszowym był Iwan Sirko
- nie wierzy w Boga
- korzyść, przewaga z francuska
- malarz Józef, kanclerz Willy
- świadectwo szkolne
- przesyłka dla niecierpliwego
- z wanilii, z ziół, słodowy
- napój o magicznych właściwościach
- znawca i miłośnik piękna
- drugie imię Ignacego Daszyńskiego
- kompozytor Nowowiejski, reżyser Falk
- odłamki muru, cegły
- metoda waloryzacji płac i świadczeń
- perfumował noc szopenowską w „Bajce o słowikach"
- na głowie motocyklisty
- tam pójdziesz na „Oppenheimera"
- nie przegapi „Oppenheimera" ani „Barbie"
- okularnik, królewska lub plująca
- mniej złośliwy od szydercy
- „…wszędzie, zwariowało, oszalało moje serce"
- pomieszczenie do przechowywania
- w góry czy nad nie?
- grecki rzeźbiarz, autor „Ateny z Marsjaszem"
- przeciwległy do zenitu
- popędzanie spóźnialskiego
- Kaczyński twierdzi, że są wrogiem
- białogłowa, kobieta
- przyczyna kompleksów Cyrana
- osobistość w mieście, regionie
- karnet – dawny …balowy
- obręcz na beczce
- antywirusowa lub środowiska
- resztka po produkcji
- złudne wrażenie zmysłowe
- punkt widzenia jak dział fizyki
- i noża, i krytyki, satyry
- kształt jak spłaszczony okręg
- środowisko naturalne nandu
- kierunek z góry na dół
- harmonogram w punktach
- margines szosy
- ptasi, ostrogorzki lub wężownik
- zdolność szybkiego reagowania
- koryto trzyma ją w ryzach
- zaczątek sera
- słoneczny lub okoliczności
- w muzyce Borys albo Getz
- mięsna przekąska z żółtkiem
- Egzotyczny z Izabelą Skrybant
- stosowanie przemocy, by zastraszyć
- puls
- pontyfikalne nakrycie głowy papieża
- stolica z placem Skanderbega
- wpada weń medium
- wojskowy …stanu to pucz
- sprzedaż towarów przez producenta

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1129". Do rozlosowania książki „Mansfield Park" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 13 sierpnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1126" z nr. 29: *Wszystko ma swoje granice.*
Nagrody otrzymują: Mirosława Gierczyńska z Kałuszyna, Wojciech Kłosowski z Warszawy, Irena Popławska z Ełku.

eprasa.pl 9d19eaca0d

Czas zwijania

Kolejne dni przynoszą nam informacje potwierdzające tezę, że partii rządzącej Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie jest do niczego potrzebne (ewentualnie jako biuro turystyczne). I że proces zwijania nie jest przypadkowy.

Zacznijmy od banału. Dwa białoruskie śmigłowce przeleciały nad Polską. Pomińmy działania rządu, MON itd. MSZ w tej sprawie wystosowało taki komunikat: „W związku z naruszeniem przestrzeni powietrznej RP przez dwa białoruskie śmigłowce w dniu 1 sierpnia 2023 r., do Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w trybie natychmiastowym wezwana została Chargé d'affaires Ambasady Białorusi". I już wiadomo, że pisał go analfabeta. Nie ma czegoś takiego jak chargé d'affaires ambasady Białorusi, tak jak nie ma ambasadora ambasady Białorusi. Jest chargé d'affaires Białorusi i tyle. A jeżeli funkcję tę pełni kobieta, to chargée d'affaires. Czy to takie trudne?

Wiadomość druga – z wyższej półki. Polska okłada się z Ukrainą na oświadczenia, ambasadorowie są wzywani do MSZ, potem wysyłane są w świat jakieś dziwne komunikaty.

To nieważne, że ostatnią turę awantur zaczął Przydacz. Ważne, że sprawa Wołynia, a teraz ochrona polskich rolników to nie są rzeczy, które pojawiły się przed chwilą, znienacka. Były miesiące, a nawet lata, by je przepracować, rozwiązać problemy. Jak widać, nic nie zrobiono, szczytem marzeń polskiej dyplomacji były wyjazd do Kijowa i fotka z prezydentem Zełenskim. I takie sprawy załatwiono. Innych nie. A dzisiaj, gdy mleko się rozlało, mamy wyścig, kto głośniej krzyknie i będzie się awanturował.

Nawiasem mówiąc, kwestię ceł na ukraińskie zboża Kijów załatwia, rozmawiając z komisarz UE Ursulą von der Leyen i w Berlinie, pomijany jest w tych spotkaniach komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski. Skutecznie. Tak wyglądają sukcesy polskiej dyplomacji.

O tym, że obecna władza zwija służbę zagraniczną w sposób świadomy, świadczy historia z wizami. Jednym jej elementem jest Centrum Decyzji Wizowych, które umieszczono w Łodzi i którego otwarcie zapowiadał minister Rau. Centrum było już wcześniej zaplanowane i przygotowywane. Drugi element to prowadzona od kilku lat akcja zmniejszania służby konsularnej i wyrzucania z niej osób kompetentnych. A także opieranie się przy wydawaniu wiz na outsourcingu. Czyli na firmach zewnętrznych, które przyjmowały wnioski, mające później trafiać do Łodzi. Preferowana była zwłaszcza VFS Global, wielka firma obsługująca 55 państw, założona w Indiach. Mieliśmy w MSZ w związku z tym awantury, doświadczeni konsulowie alarmowali, że przyjęcie outsourcingu na zasadach, które proponuje firma zewnętrzna, otwiera granice Polski dla niekontrolowanej imigracji. Konsul w rozmowie mógł sprawdzić, czy kandydat do pracy w Polsce zna chociaż angielski, jakie jest jego prawdziwe wykształcenie, czy jego uprawnienia zawodowe nie zostały kupione na bazarze itd. Firmy zewnętrzne tego nie sprawdzają, dla nich liczy się kilkadziesiąt dolarów, które pobierają za pośrednictwo. Przy 400 tys. wiz to spora suma, która teraz przejdzie im koło nosa.

Odłóżmy te miliony dolarów na bok. Z punktu widzenia obywateli ważniejsze jest, że polska służba zagraniczna wycofuje się z obszaru działań konsularnych. Znaczy się, najlepiej, jak nie będzie niczego. *Attaché*

Marsjański łazik studentów Politechniki Częstochowskiej na dorocznym konkursie robotów University Rover Challenge organizowanym przez The Mars Society. Utah, USA.

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 9d19eaca0d

PENETRACJE

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI,
REDAKTOR SENIOR

Co się zmieniło?

– Styl papiestwa. Kościół jest instytucją ludzką, czyli błądzącą. Zawsze taką był. Obecny papież nie boi się wskazywać na te błędy. Możliwa jest też krytyka pontyfikatu. Dzięki temu jest normalniej. Ludzie nie boją się zadawać pytań. Trwa kolejny etap pozbywania się atmosfery cudowności i wiary mimo wszystko. Zaczyna się nowa epoka w relacjach Stolica Apostolska-wierni. Wiele rzeczy, które były pozorami, przestaje funkcjonować. Franciszek, poza tym, że narzucił inny styl papiestwa, zatrudnił nowych ludzi w kurii.

Monde diplomatique

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ,
REDAKTOR NACZELNY

Wreszcie można delegitymizować krytykę militaryzmu, powszechnej inwigilacji, obsesji bezpieczeństwa narodowego, zachodnich wojen kolonialnych, a także przemocy policji i straży granicznej. Dziś wszystkie te tyleż poważne, co oczywiste zagrożenia dla zdobyczy demokratycznych stały się gwarantem ocalenia cywilizacji zachodniej przed barbarzyństwem ze Wschodu. Tak w każdym razie zdaje się je widzieć większość polskiej klasy politycznej i mediów. Dopomaga im powrót myślenia w kategoriach zimnowojennych, które zawsze było wrogiem jakiegokolwiek myślenia. Zgodnie z jego zasadami każdy, kto krytykuje USA za imperializm albo Warszawę za barbarzyńską politykę na granicy wschodniej, jest agentem Putina, i odwrotnie – każdy, kto krytykuje Putina za represje i wojnę w Ukrainie, jest agentem Waszyngtonu.

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

JAN MENCWEL,
STOWARZYSZENIE MIASTO JEST NASZE

Odkrywka węgla brunatnego to po prostu ogromna dziura w ziemi. Na przykład taki dół zrobiony przez zakład w Bełchatowie, największą tego typu kopalnię w kraju, jest widoczny z kosmosu. Jeśli wykopie się taką wielką dziurę, to ona jest zalewana – zaczynają ją wypełniać wody gruntowe. By wydobywać węgiel, trzeba tę wodę wypompowywać, bo ona nieustannie napływa. Dlatego cała okolica powoli się osusza. W okolicach Konina nie doszacowano zasięgu oddziaływania kopalni. Gdyby nie protesty społeczników, być może do dziś byśmy się nie dowiedzieli o skali tej katastrofy.

Twój STYL

MAGDALENA RÓŻCZKA,
AKTORKA

Zawód traktuję egoistycznie – po prostu kocham grać. Nie dorabiam do tego ideologii. Nie mam marzenia o „roli życia". Raczej ciekawość i otwartość na to, co przyjdzie. Ale telefon nie dzwoni bez przerwy. Chodzę na zdjęcia próbne i jestem pogodzona, że tak już będzie. Propozycja roli bez castingu to rzadkość. Te sprawdziany zjadają mi nerwy. Niedawno spięłam się na zdjęciach próbnych, gdy teoretycznie nic nie powinno mnie stresować – fajne sceny, świetny reżyser, którego znam, wspaniała castingerka, wszyscy życzliwi. I tylko ja byłam nieżyczliwa wobec siebie. Wpadłam w panikę i zagrałam poniżej możliwości. Ciągle brak mi poczucia wartości.

FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (3), POLSKA ORKA POLITYCZNA.

eprasa.pl 9d19eaca0d

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.

		U				

* plusy na sosie

	S				

* śniadanie wprowadza w błąd

							W	

* zostawia wagony

ROZWIĄZANIA: OKULARY, OSZUST, MANEWROWY

Aby język giętki…

JERZY BACZYŃSKI O OPOZYCJI
Przez lata tkwiąca w pułapce umiaru, racjonalności, oczekiwania na programy, wreszcie zaczyna pokazywać prawdziwe emocje.

MARCIN DUMA O WYBORACH
Mimo gniewu i chęci zmiany 20% wyborców PiS i Lewicy nie chce iść głosować – nie widzą swoich reprezentantów.

ANDRZEJ STANKIEWICZ O ADAMIE BIELANIE
Za dietę europosła sprzedałby własną matkę.

PAWEŁ POTOROCZYN O PIOTRZE GLIŃSKIM
Szykuję się do roli oskarżyciela posiłkowego w jego procesie o nasze 500 mln zł, za które banda darmozjadów kupiła sobie jachty i wille.

EWA LIPSKA O TŁUMACZACH
Trzeba być wyjątkowym wielbicielem poezji albo szaleńcem, a najlepiej jednym i drugim, by tłumaczyć wiersze.

MARTYNA WOJCIECHOWSKA O STOSUNKU DO DZIECI
My, dorośli, często debatujemy nad tym, co byłoby dobre dla naszych dzieci, ale ich samych nikt nie pyta o zdanie.

ZBIGNIEW ZAMACHOWSKI O KOMPUTERZE
Ja w ogóle mejli nie sprawdzam, bo tego nie cierpię. Wejście do komputera jest dla mnie udręką.

EWA SZYKULSKA O BAŁAGANIARSTWIE
Otoczona idealnym porządkiem czuję niepokój, nie umiem się w nim poruszać.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl 9d19eaca0d

Inside-Outside, nr 02, Know me inside not outside, 2022

Inside-Outside, nr 04, Freedom, 2022

Inside-Outside

Katarzyna Moczulska

Pinakoteka Design
Gdańsk, ul. Norwida 3
do 18 sierpnia

Przedmiot w kulturze współczesnej dawno przestał być jedynie odpowiedzią na ludzkie potrzeby, ułatwieniem trudów codzienności. Dziś gromadzenie rzeczy staje się fetyszem, sportem, sposobem na budowanie wizerunku i zamanifestowanie swojego miejsca w strukturze społecznej. W debiutanckim cyklu „Inside-Outside" artystka Katarzyna Moczulska analizuje przedmiot jako maskę, ale też jako portret, który w pośredni sposób opowiada o kondycji współczesnego człowieka. Potwierdzenie mają słowa malarza Luciana Freuda: „Wszystko jest autobiograficzne i wszystko jest portretem, nawet jeśli jest to krzesło".

Inside-Outside, nr 10, The Best Friends, 2023

Inside-Outside, nr 11, Collector's Splash, 2023

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9d19eaca0d

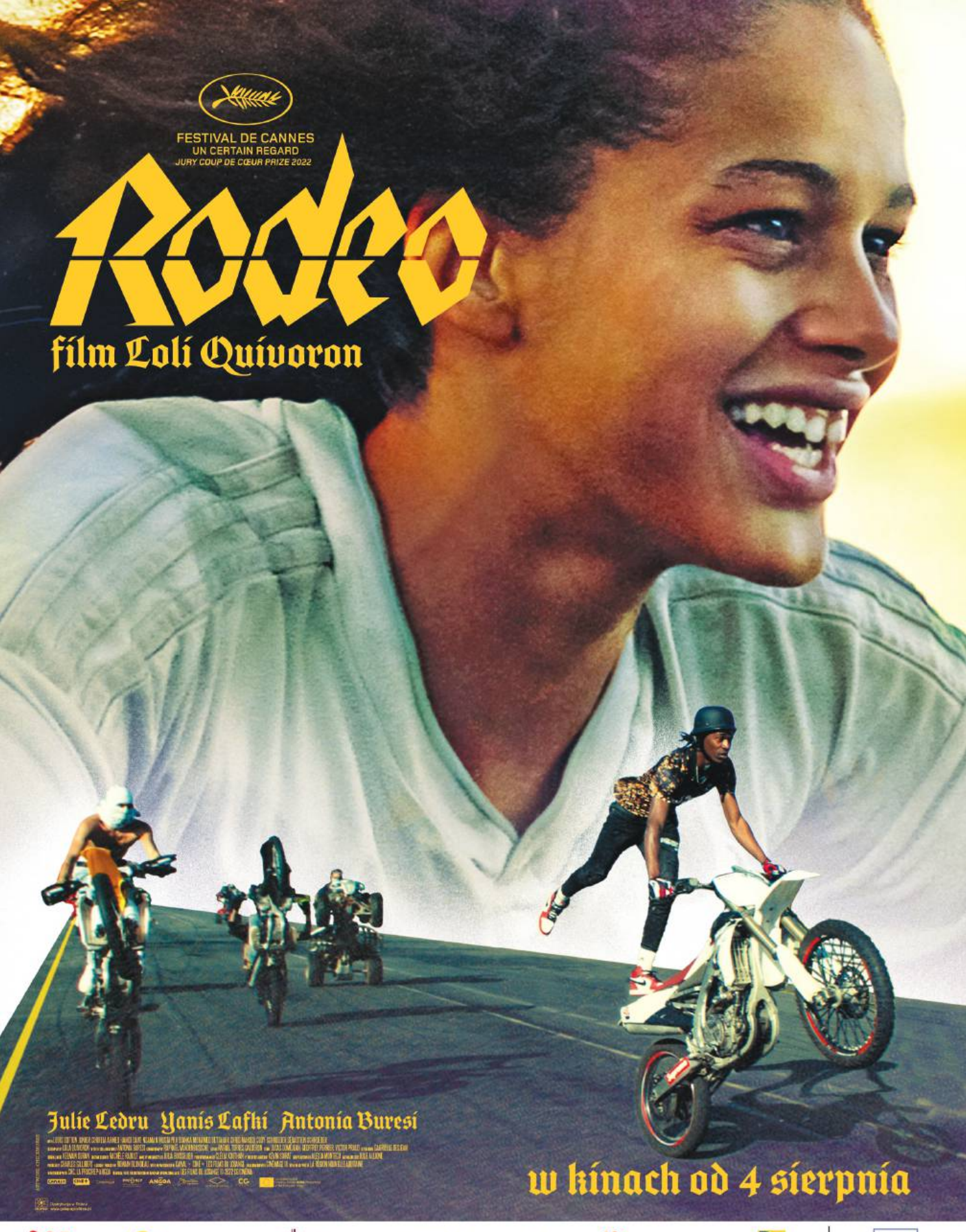

FILMWEB
dla Lejdis.pl
wysokieobcasy.pl
GAZETA.PL
Przegląd
INSTITUT FRANÇAIS
eprasa.pl 9d19eaca0d

Przewrotna komedia o sile kobiet

Nadia Tereszkiewicz

Rebecca Marder

Isabelle Huppert

Fabrice Luchini

Dany Boon

André Dussollier

Mistrzowska komedia François Ozona

Cineuropa

Moja ZBRODNIA

reżyseria François Ozon

PONAD MILION WIDZÓW WE FRANCJI!

w kinach od 4 sierpnia

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA